



Powiat
Gniezno

Królewska Tradycja

Biblioteka Powiatu Gnieźnieńskiego
tom 3

PRYMAS Z KASZUB

z abp.
HENRYKIEM
MUSZYŃSKIM

rozmawia
KRZYSZTOF
ŁUKASIK



PRYMAS
Z
KASZUB



**Powiat
Gniezno**
Królewska Tradycja

Inicjatorem powstania niniejszej
książki było Starostwo Powiatowe w Gnieźnie,
które sfinansowało także jej wydanie.

PRYMAS
Z KASZUB
z abp.
HENRYKIEM
MUSZYŃSKIM

rozmawia
KRZYSZTOF
ŁUKASIK



Powiat
Gniezno

PLINTA

Fundacja
GAUDENTINUM

Książkę przygotowało na zlecenie Starostwa Powiatowego w Gnieźnie
Wydawnictwo Popularnonaukowe Plinta
Gniezno, os. Piastowskie 16a/34, e-mail: ilustracje@o2.pl

Współpraca: Fundacja Gaudentinum
os. Orła Białego 20, 62-200 Gniezno, tel. 61 426 36 51

Projekt graficzny: Jarosław Gryguć

Zdjęcia pochodzą z prywatnego archiwum księdza arcybiskupa
Henryka J. Muszyńskiego. Wykorzystane w publikacji fotografie zostały
sprezentowane księdzu arcybiskupowi Henrykowi Muszyńskiemu
lub wykonane na jego prośbę między innymi przez następujące osoby
(w kolejności alfabetycznej): Jerzy Andrzejewski, Anna Borczykowska,
ks. dr Mirosław Jasiński, Krzysztof Łukasik, Daniel Rutkowski,
Waldemar Wylegalski, kl. Mariusz Zawadzki.

ISBN 978-83-927119-1-9

© Copyright by Krzysztof Łukasik & Starostwo Powiatowe w Gnieźnie
Gniezno 2012

SPIS TREŚCI

SŁOWO WSTĘPNE 6

Rozdział 1

JESTEM Z KASZUB 9

Rozdział 2

CHCIAŁEM BYĆ PROBOSZCZEM 32

Rozdział 3

PROFESOR PISMA ŚWIĘTEGO 52

Rozdział 4

POMOST MIĘDZY POLSKĄ A EUROPEJĄ 66

Rozdział 5

METROPOLITA GNIEŹNIEŃSKI 89

Rozdział 6

PAPIEŻ POLAK I JEGO PIELGRZYMKI 104

Rozdział 7

PRYMAS POLSKI 118

Rozdział 8

ARCYBISKUP SENIOR 138



Józef Kowalczyk
Arcybiskup Metropolita Gnieźnieński
Prymas Polski

SŁOWO WSTĘPNE

Z zadowoleniem przyjąłem wiadomość o przygotowaniu publikacji zatytułowanej „Prymas z Kaszub”, która ma przybliżyć czytelnikom działalność duszpasterską i prymasowską księdza arcybiskupa Henryka Muszyńskiego w Archidiecezji i Metropolii Gnieźnieńskiej.

Po przeprowadzeniu przez bł. Jana Pawła II reorganizacji struktur administracyjnych Kościoła, który jest w Polsce, mocą bulli *Totus Tuus Poloniae Populus* z dnia 25 marca 1992 roku, Archidiecezja Gnieźnieńska została powierzona nowemu pasterzowi, arcybiskupowi Henrykowi Muszyńskiemu. W ten sposób, po wielu dziesięcioleciach, Arcybiskup Gnieźnieński zamieszkał na stałe w Archidiecezji i podjął codzienną pracę duszpastersko-administracyjną w tym Kościele partykularnym oraz w Metropolii Gnieźnieńskiej, która w wymiarze historycznym jest pierwszą metropolią w naszej Ojczyźnie. Mając już swoje doświadczenie duszpasterskie, najpierw w charakterze biskupa pomocniczego w diecezji chełmińskiej, a później biskupa włocławskiego, arcybiskup Henryk podjął z całym zaangażowaniem pracę w Archidiecezji Gnieźnieńskiej organizując, przy pomocy swoich kompetentnych współpracowników, struktury administracyjne, a zwłaszcza Kurię Metropolitalną w Gnieźnie i jej odpowiednie agendy duszpasterskie.

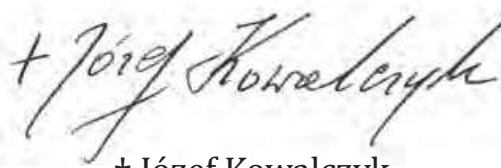
Okazało się w praktyce, jak ważna jest stała rezydencja biskupa diecezjalnego w powierzonych mu diecezji. Bezpośredni kontakt z kapłanami i ludem Bożym tchnął nowego ducha w życie Archidiecezji, ożywił i zaktywizował działalność duszpasterską wszystkich, którzy od strony organiza-

cyjnej i realizacji praktycznej zaangażowani są w dzieło nowej ewangelizacji, do której zachęcał bł. Jan Paweł II.

Papież Benedykt XVI podczas pierwszej apostolskiej podróży zagranicznej, jaka miała miejsce w maju 2006 roku, powiedział podczas spotkania z kapłanami w katedrze św. Jana w Warszawie, że najważniejszym i podstawowym zadaniem kapłana i biskupa jest być przykładnym szafarzem słowa i sakramentów. Arcybiskup Henryk, jako wykładowca zagadnień biblijnych i teologii w seminarium oraz na akademickiej uczelni w Warszawie, sprawdził się jako wysoko kwalifikowany szafarz słowa i sakramentów i dał temu później praktyczny wyraz w swojej gorliwej pracy Pasterza Kościoła Gnieźnieńskiego.

Z posługą arcybiskupa gnieźnieńskiego związany jest tytuł Prymasa Polski, który w pełnym wymiarze został przywrócony Arcybiskupowi Gniezna, z motywów historycznych i prawnych, dokumentem papieża Benedykta XVI z dnia 8 grudnia 2009 roku.

Cieszę się, że ta nowa publikacja ukaże z całą dokładnością pracę duszpasterską, administracyjną i naukową arcybiskupa Henryka Muszyńskiego. Ufam, że zainteresuje ona czytelników zarówno działalnością osoby „Prymasa z Kaszub”, jak i przypomni historyczne znaczenie pierwszej stolicy Polski, jaką jest Gniezno oraz rolę pierwszej metropolii w historii Kościoła w Polsce, a także stanie się ważnym przyczynkiem do uzupełnienia dotychczasowych opracowań związanych z duszpasterską posługą arcybiskupów gnieźnieńskich, prymasów Polski.



† Józef Kowalczyk
Arcybiskup Metropolita Gnieźnieński
Prymas Polski



Jestem z Kaszub

Kaszuby, a dokładniej Kościerzyna, to miejsce urodzenia Księdza Arcybiskupa. Proszę opowiedzieć o Kaszubach.

Kaszuby to piękne, unikalne miejsce, kraj mojego dzieciństwa, tam upłynęła moja młodość. Są tam piaszczyste plaże, wzgórza, jeziora, wartkie rzeki, rozległe lasy. Legenda mówi, że Kaszuby zostały stworzone z tego, co Panu Bogu uchowało się na dnie przepastnego wora po obdzieleniu innych krain i lądów. Właśnie dlatego ta ziemia jest tak różnorodna. Jest na niej wszystko! Dopiero z czasem uświadomiłem sobie, że jeżeli ktoś ma zakodowany taki obraz w duszy, to może być szczęśliwy. Jak każde miejsce, gdzie upłynęła młodość, wiąże się ono z najpiękniejszymi wspomnieniami, tam wchodziłem w życie, planowałem przyszłość. Im jestem starszy, tym częściej wracam do macierzy. Nie tylko wspomnieniami. Kiedy żyłem w ciągłym biegu, lata całe nie bywałem w Kościerzynie. Teraz znów tutaj bywam, przyjeżdżam na uroczystości, niestety, najczęściej na pogrzeby. Odżywają znajomości, które dotychczas były na drugim planie. Głęboko sobie też cenię to, że Kościerzyna nadała mi obywatelstwo honorowe.

Jaka jest etymologia nazwy Kaszuby i czy mieszkańiec tej ziemi to Kaszub czy też Kaszuba?

Słownik Poprawnej Polszczyzny PWN dopuszcza obydwie formy, zarówno Kaszub, jak i Kaszuba. Nad źródłosłowem tej nazwy już wielu się zastanawiało, ale w moim przekonaniu nie znaleźli odpowiedzi, która by

mnie definitywnie przekonała. Niektórzy mówią, że Kaszuba pochodzi od rozłożystego ubioru, co jest bardzo możliwe, bo Kaszubi, jak zresztą i inne grupy, wyróżniają się bardzo wyraźnie swoim strojem. Inni jeszcze mówią, że nazwa pochodzi od rośliny, która nazywała się szuba, z przedrostkiem ka-, tak jak pusta i ka-pusta. Mnie to wszystko nie przekonuje, natomiast Kaszubi mają bardzo proste wyjaśnienie, mianowicie: Kaszuba to po prostu Kaszuba, takie właśnie rozwiązanie mnie satysfakcjonuje.

Kościerzyna w latach trzydziestych XX wieku była niewielką miejscowością na pograniczu polsko-niemieckim, w tak zwanym korytarzu gdańskim.

To było nieduże miasteczko, przeżywające po roku dwudziestym znaczący rozwój polskich instytucji, organizacji, stowarzyszeń takich jak Gryf, Towarzystwo Czytelni Ludowych, Towarzystwo Śpiewacze. Pielęgnowano tradycje polskie i nie ulega wątpliwości, że bliskość Niemiec oraz czasy zaborów miały ogromny wpływ na utrwalenie polskiej świadomości narodowej wśród tych, którzy byli Polakami. Była to reakcja na naciski, które zmierzały do wyeliminowania tego, co rdzennie polskie. Skutki germanizacji były widoczne. Pod zaborem szkoły były wyłącznie niemieckie, to właśnie w tym czasie powstała katolicka szkoła nauczycielska, później seminarium nauczycielskie, w której językiem wykładowym był język niemiecki. Matka chodziła do takiej szkoły prowadzonej przez urszulanki. Oczywiście to wpłynęło bardzo mocno na świadomość narodową tych, którzy byli Polakami. W czasach Kulturkampfu trwała walka o polskość. Najlepszym dowodem na to jest udział Kaszubów w powstaniu listopadowym i wielkopolskim. Co znamienne, już przed dwudziestym rokiem powstały niektóre instytucje polskie, obalono niemieckiego burmistrza. Świadomość polska była silna. Dopiero w czasach okupacji, gdy nie można było powiedzieć „*jestem Polakiem*”, kto nie chciał powiedzieć „*jestem Niemcem*”, ratował się mówiąc „*jestem Kaszubą*”. Jako dziecko zawsze mówiłem o sobie Kaszuba. Istniała czarna lista inteligencji polskiej, byli na niej ci, których nie można było zgermanizować. Tych ludzi w 1939 roku aresztowano i rozstrzelano. To była jawna segregacja narodowa. Pozostałych poddano germanizacji. Obydwoje moi rodzice chodzili do szkoły niemieckiej, mówili biegle po niemiecku, ale byli Polakami. Ojciec pracował w starostwie i też był na tej liście.

Proszę przedstawić swoją rodzinę.

Rodzicom, Franciszkowi i Marii, urodziła się najpierw córka Czesława, która wcześniej zmarła i przez następne siedem lat byli bezdzietni. Przybrali więc za syna dziecko, którego rodzice zmarli. Nie wiedziałem, że Marian to mój przybrany brat, nazywał się też Muszyński. Po siedmiu latach urodziła się moja siostra Janina i co dwa lata – ja i brat Roman. Byliśmy oczekiwanymi dziećmi, otoczonymi życzliwością, tworzyliśmy typową małomiasteczkową rodzinę, głęboko wierzącą. Uważam, że miałem bardzo szczęśliwe dzieciństwo. Kiedy dzisiaj z perspektywy ponad pół wieku patrzę w przeszłość, widzę, że w gruncie rzeczy cała moja postawa życiowa, zaufanie do ludzi, otwartość na wszystkich, a także w dużym stopniu powołanie kapłańskie, mają swoje korzenie w rodzinie. Kiedyś nie widziałem tego tak wyraźnie, dzisiaj to analizuję w świetle wiary i widzę, że to był dla mnie znak od Boga. Tam są korzenie mojego powołania, zaufania, zawierzenia. Wtedy też zrodziło się głębokie uczucie patriotyzmu, przynależności do Polski. W tym względzie nie miałem nigdy żadnych wątpliwości. Patriotyzmu i polskości uczyłem się od mojego ojca, który wychowywał się w czasach zaborów. Pochodził z rodziny wielodzietnej i właściwie był samoukiem, bo umiejętności potrzebne do pracy w polskim starostwie zdobył sam. Ojciec wszystko, do czego doszedł w życiu, osiągnął własną ciężką pracą. Od niego nauczyłem się tego, że do wszystkiego można dojść własnym wysiłkiem, jeżeli człowiek tego chce i ma dość wytrwałości. Korzystałem z tego przykładu, ucząc się na przykład języków obcych.

Ksiądz Arcybiskup urodził się w roku 1933, w roku w którym Adolf Hitler doszedł do władzy i zaczął snuć plany o tysiącletniej Rzeszy i odzyskaniu ziem oddanych Polsce. Czy ta świadomość zagrożenia towarzyszyła dzieciństwu na Kaszubach, w korytarzu gdańskim?

Byłem za młody, żeby mieć tę świadomość. Dzięki Bogu, wzrastałem w atmosferze pełnej życzliwości, miłości moich rodziców, choć moje pierwsze wspomnienia są związane z początkiem wojny. Dziś nie potrafię powiedzieć, na ile są rzeczywiste, na ile wynikają one z opowiadań rodziców. Pamiętam moment, kiedy przygotowywałem się do pójścia do szkoły. Zachowało się zdjęcie zatytułowane „Pierwszy krok szkolny”, jestem na nim z torbą cukierków, która do połowy była pusta, choć tego nie było widać. Taką tytkę cukierków dostawało każde dziecko, które rozpoczynało naukę.

Pierwszego września, w wieku sześciu i pół roku, miałem pierwszy raz pójść do szkoły. Przygotowywałem się do tego dnia, ale zanim rozpoczął się rok szkolny, zostaliśmy ewakuowani. Któregoś dnia obudziłem się, myślałem że już pójdę do szkoły, tymczasem w tornister – zamiast książek – zapakowano mi ciepłe rzeczy i ewakuowano nas pociągiem. Pamiętam dokładnie nastrój pierwszych dni wojny. Musieliśmy wszystko zostawić. Jako rodzinę urzędniczą wraz z innymi ewakuowano nas przed rozpoczęciem wojny ze słynnego korytarza w głąb Polski. Mówiono, że Niemcy mogą uderzyć z dwóch stron i nas odciąć. Na zachód, za Chojnicami, była granica niemiecka – Człuchów już był niemiecki, z drugiej strony Prusy Wschodnie zaczynały się bezpośrednio za Wisłą. Jechaliśmy pociągiem w nieznaną – z nadzieją, że szybko powrócimy. Wszystko miało znamię tymczasowości. Jechaliśmy przez Bydgoszcz, Kutno, Warszawę, Lublin, Chełm Lubelski aż dotarliśmy nad Bug. To było już po 17 września – zapamiętałem tę datę. Za Bugiem stała armia radziecka. Chcieliśmy się przeprawić na rosyjską stronę, ale jeden z miejscowych gospodarzy ostrzegł nas, żeby tego nie robić, bo nas tam wymordują. Trzeba było wybierać. Ojciec był członkiem Polskiego Związku Zachodniego i obawiał się zemsty Niemców po powrocie. Decyzję pomogli nam podjąć polscy żołnierze, którzy dali nam konie. Wozem konnym wracaliśmy do domu. W Skurczu ojciec dowiedział się o śmierci kolegów ze starostwa, rozstrzelali ich Niemcy. Nie mógł w to uwierzyć. Matka odwiedziła wtedy jednego Niemca-autochtona, właściciela majątku, i od niego dowiedziała się, co się działo po wejściu hitlerowców. Niemiec zapytał, co z jej mężem. Matka powiedziała, że nie wrócił z nią, on doradził, żeby się nie pokazywał w okolicy i nie ujawniał. No i ojciec nie wrócił z nami, ukrywał się.

Nie było problemu z odzyskaniem opuszczonego mieszkania?

Nasz dom rodzinny był już zajęty przez Niemców. Jak to dzieci, z ciekawości poszliśmy zobaczyć, jak tam wygląda i czy ktoś tam zamieszkał. Ostrzegano nas, by nie przyznawać się, że tam mieszkaliśmy. Dowiedzieliśmy się, że już w pierwszych dniach września Niemcy byli w Kościerzynie i zaczęła się straszna eksterminacja inteligencji. Pojechaliśmy w rodzinne strony mojej matki, do Wysina, maleńkiej wioski i tam zamieszkaliśmy w niewielkim gospodarstwie po babci ze strony mojej matki. Kaszuby, podobnie jak Śląsk, traktowano jak tereny niemieckie wcielone do Rzeszy, nazwano je Westpreussen i zakazano tam nawet używania języka polskiego. Wysin,

w którym nie było ani jednego Niemca, przeznaczono do wysiedlenia. Wieś została otoczona, nikogo nie wypuszczali. Wcześniej ktoś nas ostrzegł, że powinniśmy uciekać. Uciekliśmy po raz drugi, chowaliśmy się u znajomych, tułaliśmy się po okolicy. Gospodarstwa Polaków w Wysinie oddano Niemcom z Reichu. Dopiero kiedy Niemcy osiedlili się, pozajmowali duże gospodarstwa, mogliśmy wrócić do naszej wioski, bo na domek po babci nie było amatora. I tutaj, już we względnym spokoju przeżyliśmy do końca wojny.

Jak Niemcy traktowali Kaszubów?

Każdego, kogo nie dało się zgermanizować, likwidowano. Nie mówiono o mordowaniu, zabijaniu, ale wyniszczaniu. Niemcy mieli przygotowane listy osób do likwidacji, według nich wyszukiwano ludzi; wiedzieli kogo wysłać do którego obozu, kogo rozstrzelać a kogo zachować. Używanie języka polskiego było zabronione, ale w domu mówiliśmy po polsku, z kolegami i ze sobą również, tylko po cichu, ale oficjalnie – na zewnątrz – po niemiecku. Sam nie wiem, kiedy się go nauczyłem. Przez pierwsze dwa lata okupacji nie było szkoły dla polskich dzieci. W końcu ją otwarto, ale to nie była szkoła tylko narzędzie germanizacji. Dzieci przede wszystkim musiały się nauczyć życiorysu Adolfa Hitlera, a gdy nie potrafiły wymówić niektórych słów, musiały je tak długo powtarzać, aż nauczyły się ich na pamięć. Każde dziecko musiało znać odpowiedź na pytanie: *Gdzie jest Polska?* Oczekiwana odpowiedź wtedy brzmiała: *Polski nie ma i nigdy nie będzie.* W szkole była wielka mapa Europy, którą prawie w całości obejmowała Wielka Rzesza Niemiecka. Owocem tej germanizacji było to, że nauczyłem się języka niemieckiego. Moi rodzice uczyli się w szkole niemieckiej, ale w domu mówiło się po polsku. Podczas okupacji po cichu i ze strachem. Germanizowano nas na siłę, zwłaszcza młodych ludzi i dlatego, kiedy pytano o narodowość, odpowiadaliśmy że kaszubska. Niemcy się wtedy wściekali ze złości. Po wojnie dowiedziałem się, że doszło do zatargu o Kaszubów między Heinrichem Himmlerem, szefem policji i ministrem spraw wewnętrznych III Rzeszy, a Albertem Forsterem, namiestnikiem okręgu gdańskiego. Himmler był zdania, że Kaszubi są tak mało wartościowi jak Cyganie. Forster nie oponował, lecz twierdził, że choć rasowo mało warci, znają się na rybołówstwie, więc niech pracują do końca wojny na rzecz Rzeszy. Te informacje dotarły do mnie długo po wojnie.

Skoro ta szkoła nie edukowała, to może pozwalała nauczyć się języka niemieckiego?

Kiedy się nauczyłem niemieckiego – nawet nie wiem. Jak to dziecko – nie było żadnej nauki, tylko zakaz mówienia po polsku. No a dziecko szybko się uczy. W domu mówiło się po polsku, otoczenie mówiło po kaszubsku i dialektem, w którym było dużo germanizmów. Po wojnie miałem duże problemy językowe, bo nie wiedziałem, co jest polskie, co kaszubskie. Nie znałem dobrze języka niemieckiego ani literackiego języka polskiego, bo mówiliśmy tak jak mówiła ludność miejscowa. W gimnazjum w Kościerzynie uczyła polonistka z Warszawy, pisaliśmy wypracowania i kiedy kreśliła mi w zeszytcie, byłem przekonany, że to ona się nie zna. Cały świat tam mówił jak ja – ten świat, który był moim światem. A polonistka pytała: *Skąd żeś to wziął? Takiego słowa nie ma w języku polskim.* W czasie okupacji ukończyłem cztery klasy, po wojnie zostałem przyjęty w Wysinie do piątej i nie chodziłem do szóstej, bo ją „przeskoczyłem”. W roku szkolnym 1945/1946 przyjęto mnie do siódmej klasy. Dostałem podręczniki i udało mi się nadrobić prawie wszystko, za wyjątkiem matematyki, której nie lubiłem, nie umiałem i nigdy się nie nauczyłem. Czasem nawet teraz śni mi się klasówka z matematyki, a ja przecież nie znam wzorów. Nie znałem też żadnego języka obcego, a takie były wymagania, język niemiecki się nie liczył. Ukończyłem siódmą klasę i zostałem przyjęty warunkowo do gimnazjum. Warunkiem przyjęcia do gimnazjum było nadrobienie przez wakacje braków edukacyjnych, czyli musiałem nauczyć się języka angielskiego. Na prywatne korepetycje dojeżdżałem na rowerze z Wysina, gdzie jeszcze mieszkaliśmy, do Kościerzyny. Pedalując rowerem, pokonując 25 kilometrów, powtarzałem sobie nieregularne słówka. Byłem przekonany, że ci, którzy uczyli się języka wcześniej, mówią biegle po angielsku. Po wakacjach okazało się, że ich wyprzedziłem w nauce. Język angielski nadal szlifowałem. Doszedłem do wniosku, że języka obcego można się nauczyć samemu i później często to stosowałem. W Jordanii angielski był drugim językiem oficjalnym i bardzo mi się to przygotowanie przydało, tam się w nim jeszcze doskonaliłem. Lubię języki obce, to miłość do nich nadała istotny kierunek mojemu życiu. Dla mnie to znak Opatrzności. W seminarium odkryłem, że najlepiej nauczyć się definicji na pamięć i to w języku oryginalnym, to znaczy po grecku albo po łacinie, bo jak znam definicję, to później sobie już poradzę. Dziwnym zbiegiem okoliczności ten właśnie fakt zdecydował o kierunku całego mojego życia. Na egzaminie wikariuszowskim otrzymałem temat „Prymat Piotra”. Wyrecytowałem po

grecku cały, dość długi tekst z Mateusza i mój profesor powiedział, że to się jeszcze nie zdarzyło, żeby wikariusze recytowali po grecku. Ten właśnie fakt zdecydował o tym, że skierowano mnie na studia biblijne.

Jaki wpływ na wybór drogi życiowej mieli rodzice?

Do dziś wzorcem osobowym człowieka i chrześcijanina jest dla mnie mój ojciec. Matki przez długi czas nie doceniałem, nie doceniałem też tego, co robiła dla naszej rodziny. Mam dziś z tego powodu pewne wyrzuty sumienia. Całe życie zajmowała się gospodarstwem domowym. Nasz dom rodzinny był źródłem mojego powołania kapłańskiego. Podczas wojny, gdy nie było kościoła ani szkoły dla dzieci polskich, dom rodzinny był i szkołą, i kościołem. W Wysinie był kościół, ale przez całą wojnę stał zamknięty i służył jako magazyn. Dlatego co niedzielę – od godziny dziesiątej do jedenastej – zawsze były modlitwy w domu, bo to był czas odprawiania sumy parafialnej, czas przeznaczony dla Pana. Jako dziecko wcale nie byłem tym zachwycony, bo wydawało mi się, że to za długo. Różaniec, po nim litania, po litanii modlitwy. Ta modlitwa rodzinna musiała trwać godzinę. Dziś jestem ogromnie wdzięczny rodzicom, że nauczyli mnie, że jest czas przeznaczony dla Boga. Są takie godziny i momenty, które są własnością Boga w sposób szczególny, ale one są bardziej potrzebne człowiekowi niż Bogu. Wspólnoty można się nauczyć poprzez bycie ze sobą, także podczas modlitwy. Modlitwy, których się nauczyłem, a którym niektórzy się dziwią, wyniosłem z domu – na przykład po modlitwie różańcowej do Matki Bożej odmawiam modlitwę do świętego Józefa. Tak zawsze było w domu i do końca moich dni ten sposób odmawiania będę pielęgnował. Ojciec nam opowiadał, że jak wojna się skończy, znów zostanie otwarty kościół i gdy ludzie zaśpiewają w nim po raz pierwszy „Boże coś Polskę”, to nikt nie dokończy śpiewu, bo wszyscy się rozpłaczą. Stało się tak, jak ojciec zapowiedział, byłem przy tym. Ojciec był dla mnie wyrocznią. Ojciec był jedynym mężczyzną w rodzinie, który ze względu na swój wiek nie podlegał obowiązkowi wojskowemu, nie został zmobilizowany w 1939 roku i mógł opiekować się rodziną. Pod jego opiekę schroniły się liczne krewne, których mężowie byli w Wehrmachcie i w pewnym momencie – około 1944 roku – w naszym domu było łącznie 18 osób. Siedmioro dzieci spośród mieszkańców naszego domu uczęszczało do szkoły w Wysinie. Większość z nich stanowili gdańszczanie, częściowo nawet niemieckojęzyczni. Później prawie wszyscy, poza moją najbliższą rodziną, zamieszkali w Niemczech. Były wśród

nich dwie siostry, jedna jest w Niemczech, druga została w Polsce.

Męska opieka była potrzebna, bo ewakuowano nas trzykrotnie. Pierwszy raz przed wojną z Kościerzyny, później wyrzucili nas Niemcy z Wysina, na koniec Rosjanie, gdy podczas oblężenia Gdańska zajęli Wysin na siedzibę swojego sztabu. Z tym, że po powrocie z pierwszej ewakuacji ojciec dołączył do nas i ujawnił się dopiero w 1941 roku, kiedy przyjechał na pogrzeb swojej matki. Dostał pracę w opiece społecznej, dojeżdżał do gminy w Nowej Karczmie, woził ludziom zapomogi. Było to już po zakończeniu akcji specjalnej, skierowanej przeciw Polakom, dlatego dali mu spokój. W tym czasie, pomimo wojny, jedni się rodzili, inni umierali, także w naszej rodzinie.

Kościerzyna leżała w Polsce, Wysin również, ale z czasów zaborów pozostało tam wielu Niemców. Przybyło ich w czasie okupacji. Jak układały się relacje między Polakami i Niemcami w tym szczególnym miejscu?

Z autopsji niewiele mogę powiedzieć o okresie przedwojennym, ale ojciec twierdził, że żyliśmy obok siebie w zgodzie. Narodowość z reguły pokrywała się z wyznaniem. Niemcy byli protestantami, Polacy katolikami. Relacje między Niemcami i Polakami były w miarę poprawne, a nawet przyjazne, sam nie potrafię tego ocenić. Wiem, że ojciec miał poprawne stosunki także z Niemcami. Z jednym z nich, panem Echaustem, katolikiem, chyba nawet był zaprzyjaźniony. Ten Niemiec przed śmiercią prosił ojca, żeby zaopiekował się jego żoną, protestantką. Tak się stało i pani Echaust przez całą wojnę mieszkała z nami, aż do swojej śmierci. Gdy myśmy całą rodziną odmawiali różaniec, ona siedziała w tym samym pokoju na krześle i czytała Biblię. Kiedy ona czytała Biblię, rodzice mówili nam, dzieciom: *Nie wolno przeszkadzać, bo pani Echaust się modli*. Późno odkryłem, że Biblia może być modlitewnikiem. To dla mnie był początek ekumenizmu. Kto był Niemcem, a kto hitlerowcem, okazało się dopiero po wybuchu wojny. Wielkim zaskoczeniem było, że wielu Niemców, dobrych sąsiadów, nagle pojawiło się z opaskami ze swastyką na rękawach. Kościerzyna i okolice zostały zgermanizowane, a władzę przejęli Niemcy. Nie było tam miejsca dla Polaków. Kaszubi, których nie wymordowano na początku wojny, byli germanizowani. Starsi chodzili do niemieckich szkół, znali język. W Wysinie podczas wojny zamieszkali osadnicy niemieccy – wszyscy byli hitlerowcami. Między chłopcami dochodziło do sprzeczek, a nawet do bójk, ale w szkole niemieckie dzieci skarżyły na nas nie z powo-

du bójek, ale z powodu rozmów po polsku. To było najcięższe wykroczenie i bito nas za to. Ostrzegano, że jak nie przestaniemy mówić „po swojemu” to cała rodzina pójdzie do obozu. Podczas okupacji dostaliśmy tak zwaną trzecią grupę, w ten sposób matka ratowała nas przed wywiezieniem do obozu.

Trzecia grupa czyli autochtoni, uważani przez Niemców za osoby częściowo spolonizowane i dlatego należące do trzeciej kategorii obywateli III Rzeszy. Do wpisu na tę listę zmuszano przede wszystkim Ślązaków, Kaszubów, Wielkopolan pod groźbą wysiedlenia całej rodziny do obozu koncentracyjnego lub przesiedleńczego. Podczas okupacji na tej liście znalazło się około milion osiemset tysięcy obywateli polskich. Ceną za to był pobór mężczyzn do służby w wojsku niemieckim. Doświadczył tego na przykład biskup Szczepan Wesoły, sufragan senior Archidiecezji Gnieźnieńskiej, który jako Ślązak wraz z bratem znalazł się w Wehrmachcie.

My też przeżyliśmy rodzinną tragedię – mój brat, rocznik 1924 w wieku 17 lat został wcielony do Wehrmachtu – to był dla niego i dla nas dramat. Kiedy rozpoczęła się wojna, nikt z nas nie przypuszczał, że potrwa aż tak długo, że będzie musiał pójść do wojska. Przysłał nam zdjęcie w mundurze niemieckiego żołnierza z napisem po polsku: „Pamiętka z czasów niewoli – Wasz brat Marian”. Taka przesyłka przysłana niemiecką pocztą groziła poważnymi konsekwencjami. W wojsku zachorował na gruźlicę, przed śmiercią zwolniono go z wojska do domu. Prosił o księdza, ale nie chciał się spowiadać po niemiecku. Ksiądz myślał że to prowokacja i nie chciał spowiadać niemieckiego żołnierza po polsku. Nawet w obliczu śmierci przeżywał wielki, dodatkowy dramat, a my wszyscy razem z nim. Śmierć sama w sobie jest już dostatecznie dramatyczna. Umarł w wieku dwudziestu lat i spoczywa na cmentarzu w Wysinie. Tylko Bożej Opatrzności zawdzięczamy to, że mimo wszystko odszedł do Pana pojednany z Bogiem.

Niemcy z Wysina uciekli w 1945 roku i dziś zaliczani są do wysiedleńców. Na Śląsku i Pomorzu było ich podobno około 850 tysięcy. Byłem świadkiem tej ucieczki, znaku nadejścia nowych czasów.

Dla dwunastoletniego chłopca wyzwolenie spod niemieckiej okupacji było zapewne radosnym przeżyciem?

Ojciec wierzył, że w końcu Niemcy przegrają, więc i ja w to wierzyłem. Przyjściu Rosjan towarzyszyła ogromna radość, cieszyliśmy się, że możemy znów mówić po polsku, publicznie i głośno. To był dla nas dowód, że żyjemy ponownie w Polsce, że już nie ma Niemców. A ja nie musiałem już pasać krów u bauera i pracować podczas żniw na snopowiązałce. Do naszej zapadłej wioski dochodziły tylko szczątkowe wiadomości o terrorze, który szalał wokół, ale i tam widziałem, jak powieszono chłopca w moim wieku. Każdy, kto przeżył wojnę w takich warunkach jak my, miał bardzo wyostroszoną tożsamość narodową. Po wojnie wydawało mi się, że teraz Niemcy będą musieli mówić po polsku, a za używanie języka niemieckiego będą karani. Tak wyglądało dziecięce wyobrażenie sprawiedliwości. Skoro nas bili za polską mowę, to gdy znów nastanie Polska, my będziemy bili Niemców za mówienie po niemiecku. Ojciec mi wtedy wytłumaczył, że nie można za zło płacić złem. Niemcy tak robili, ale to nie jest powód, żeby sumę zła powiększać. Przyznam, że przez długi czas byłem przekonany, że każdy Niemiec to hitlerowiec, bo tylko takich Niemców spotykałem w czasie wojny. Dopiero znacznie później zrozumiałem, że ci Niemcy, których spotykałem, byli przesiedleńcami, przysłanymi z zadaniem zgermanizowania terenów wcielonych do Rzeszy.

W 1945 roku to już była nowa rzeczywistość. Polska Ludowa dekonspirowała się powoli. Na początku wydawało się, że powróciła Druga Rzeczypospolita. Pamiętam Mszę świętą na stadionie w Kościerzynie z udziałem samego towarzysza Bieruta i generała Żymierskiego. Wszyscy się dziwili, że oni klęczeli w pierwszym rządzie. Ludzie mówili do siebie: *Nie jest tak źle, skoro się modlą to nie są komunistami*. Dopiero później coraz lepiej było widać, że nowa Polska musi być ateistyczna, przynajmniej z założenia. Zamiast wolności wprowadzono indoktrynację. Dla mnie nowe było także to, że otwarto w Wysinie kościół zamknięty przez całą wojnę i wrócił do niego ksiądz proboszcz Józef Sobisz.

Podczas okupacji kościół był zamknięty, księża wywiezieni. Modlitwy można było odmawiać po polsku w domu, ale co z pierwszą Komunią świętą, z bierzmowaniem?

Podczas okupacji, w 1943 roku przeszliśmy razem z siostrą w trybie

przyspieszonym przygotowanie do spowiedzi i Pierwszej Komunii świętej. Odbyło się to w ten sposób, że kilka razy byliśmy w oddalonym o 12 kilometrów kościele w Garczynie, gdzie przygotowywał nas ksiądz Makowski, oczywiście po niemiecku. Wychodziliśmy rano z domu razem z siostrą i wracaliśmy wieczorem. Krótco potem przyjechał biskup Splett z Gdańska, będący administratorem diecezji chełmińskiej i wybierzmował wszystkie dzieci, które były u Komunii świętej. Nauka katechizmu, nabożeństwa, a z czasem także spowiedź odbywały się po niemiecku. Wiele lat później gdańszczanie ofiarowali mi na znak wspólnoty dawne, ołowiane naczynko do olejów świętych, używane przy bierzmowaniu, z którego prawdopodobnie biskup Splett mnie bierzmował. Po wyzwoleniu i powrocie proboszcza do Wysina, kiedy wznowiono posługę pasterską, chodziliśmy po raz drugi na lekcje katechizmu. Trzeba się było nauczyć formuł katechizmu i spowiedzi po polsku. Kiedyś odnosiłem się do tego dość sceptycznie, bo to przygotowanie ograniczało się prawie wyłącznie do przyswajania sobie formuł katechizmowych. Dzisiaj umiem to docenić. Niekiedy przypominam sobie te formuły, widzę jakie one są precyzyjne i krótkie i myślę, że w pewnym sensie dzisiaj przesadzamy w drugą stronę. Komunia święta jest oczywiście przeżyciem, ale minimum treści wiary dziecko powinno jednak poznać.

Jest jeszcze jeden szczegół – jeśli ktoś chce, może powiedzieć, że to jest przypadek – ja nie będę z tym polemizował. Ksiądz Sobisz był na wygnaniu w Generalnej Guberni, a kościół przez okres wojny zamieniono na magazyn. Pierwszą Mszę świętą sprawował więc w kaplicy cmentarnej. I wtedy wybrał mnie do służenia podczas mszy, a ja przez całą wojnę byłem w kościele na Mszy świętej może kilka razy. Spytałem więc, co mam robić. Usłyszałem, że mogę dzwonić przez całą mszę, ale z krótkimi przerwami i tak zaczęła się moja posługa przy Ołtarzu Pańskim. Nie czułem się przygotowany nawet do tego, żeby dzwonić podczas mszy. Zostałem jednak pierwszym ministrantem mojego proboszcza, a po latach i jego pierwszym prymicjantem.

Które ze wspomnień z dzieciństwa powraca jako najpiękniejsze?

Dzień Pierwszej Komunii świętej. To był absolutnie wyjątkowy dzień. Dostaliśmy z siostrą nowe ubrania, zawieziono nas do kościoła powózką, użyczoną przez niemieckiego gospodarza, a wyjście do kościoła to było wielkie wydarzenie w tamtych czasach. Za czasów okupacji to było niewątpliwie coś niepowtarzalnego, bo do oddalonego o kilkanaście kilometrów kościoła

chodziło się tylko w wielkie święta. Rodzice opowiadali nam, czym jest i jaki ma przebieg Msza święta. Wyjaśniali, jak w niej należy uczestniczyć i opowiadali swoje przeżycia z mszy. W duszę dziecka zapadło, że Msza święta to coś wspaniałego. To przekonanie stało się podstawą mojego powołania kapłańskiego. Pierwsza Komunia święta była więc zapowiedzią czegoś wzniosłego, pięknego, budziła moją tęsknotę. Przecież wtedy, i w późniejszym okresie, nawet powojennym, towarzyszył nam ciągły strach. To co słyszeliśmy, jako dzieci, było straszne. Podczas wojny ciągle wisiała nad nami groźba obozu koncentracyjnego, wracało wspomnienie tamtej egzekucji na wsi. Po wojnie również budziły mnie ze snu strzały. Komuniści też potrafili ten strach dobrze wykorzystać i ludzi nim szantażować. Pierwszy raz na UB znalazłem się, gdy wzięli nas, trzech chłopców, z ulicy. Szliśmy i śpiewali głośno po angielsku „It’s a long way to Tiperary”. Powiedziano nam, że *tu nie śpiewa się głośno po angielsku i uważajcie, my nie takich potrafiliśmy uspokoić*. To było jakby przedłużenie tego strachu wojennego. No i partyzantka była wokół, polska partyzantka, czekali na wolną Polskę, słyszało się rozmaite rzeczy. To nie było tak, że czterdziesty piąty rok to był definitywny koniec wojny. Zdarzały się zabójstwa w okolicy, sporo ludzi aresztowano, nie wracali oni do domów. Jako dzieci i młodzież odczuwaliśmy potworną presję ideologiczną w szkole. Dla mnie najważniejsze było pozostanie sobą, nie chciałem zatracić wiary i stać się komunistą. Nie mogę powiedzieć, czy już wtedy mógłbym to nazwać utratą swojej indywidualnej tożsamości.

Był to jeden z powodów, dla czego wybrałem seminarium duchowne. Pozwoliło mi ono pogłębić wiarę, a następnie poznać istotę posługi kapłańskiej. Potem dopiero uświadamiałem sobie inne motywy; uznałem, że sama prawda nie wystarczy, tak Pan Bóg mnie dziwnie prowadził. Problem obiektywnej prawdy był dla mnie problemem numer jeden. Gdy w świetle wiary analizuję swoje życie, widzę, że Pan Bóg w sposób niemal namacalny potrafi prowadzić.

Te angielskie śpiewy na ulicy Kościerzyny były już w czasach gimnazjalnych, po lekcjach angielskiego?

Zdałem ten wymagany egzamin ze znajomości języka angielskiego i przyjęto mnie do gimnazjum w Kościerzynie. Wtedy znów tam zamieszkaliśmy. Nauka do matury trwała wtedy pięć lat. Na początku były wielkie nadzieje, bo można było mówić po polsku, czytać polskie książki, a później upadek

tych nadziei. Nasilała się indoktrynacja. Nie było prawdziwej historii Polski, tylko zamiast niej historia ruchów rewolucyjnych od Spartakusa do Wielkiej Rewolucji. Naciskano, by wstępować do Związku Młodzieży Polskiej, więc ja uciekłem od ZMP do Polskiego Czerwonego Krzyża, pokazałem, że nie jestem „typem aspołecznym”. Wspominam ten okres jako czas walki o pełną prawdę. Jedyne przedmiot, z którym się wtedy w pełni identyfikowałem i poświęcałem mu najwięcej uwagi, to była religia. To pewnie był kolejny motyw pójścia do seminarium.

Ale przecież nawet w tych trudnych czasach były chwile radości?

Młodość była radosna i szczęśliwa, nie uczestniczyliśmy w tym, co się dzieje wokół, nie wiedzieliśmy zresztą, co się dzieje, czego dokonują komuniści. Według własnej oceny byłem człowiekiem bardzo towarzyskim, brałem udział w szkolnych przedstawieniach teatralnych, grałem między innymi księdza Robaka w inscenizacji „Pana Tadeusza” Mickiewicza. Kochałem muzykę, zamiłowanie do muzyki prawdopodobnie odziedziczyłem po ojcu, który przed wojną śpiewał w chorze.

Głębokie umiłowanie piękna muzyki zaszczepił mi profesor Lubomir Szopiński. Wielki muzyk, więzień obozów, wychowanek Wiłkomirskiego; ogromnie zdolny dyrygent i wiolonczelista. Wyczytałem, że w Stutthof znalazł gdzieś wiolonczelę i zaczął grać. Złapał go na tym Niemiec i zapytał, czy to był Bach czy Mozart. A on, że to jego kompozycja. To go uratowało. Poszedł do innych obozów, ale wszędzie tam grał i dyrygował.

Śpiewałem w chórze szkolnym, później w chórze miejskim, grałem w orkiestrze szkolnej, tańczyłem w Zespole Pieśni i Tańca Ziemi Kaszubskiej. Jeździliśmy na konkursy, wszędzie zajmowaliśmy pierwsze miejsca. Gdybym nie był księdzem, pewnie byłbym muzykiem, choć nie mogłem się zdecydować na jeden instrument. Grałem na skrzypcach, fortepianie, na organach kościelnych, ale nie nauczyłem się dobrze grać na żadnym. Mieliśmy fortepian i graliśmy na nim, z siostrą na cztery ręce, gdy przychodzili goście. Lubiłem muzykę i lubiłem taniec. Gdy były zabawy, miałem dylemat: tańczyć czy grać na akordeonie, czego się też sam nauczyłem. Często wolałem grać na akordeonie, bo nie mieliśmy go w domu, czasem zastępowałem też organistę szkolnego. Wspominam ten czas z radością, ponieważ dziś, niestety, jestem wtórnym analfabetą muzycznym. Czasem żałuję, że zamiast próbowania swoich sił na różnych instrumentach, nie nauczyłem się dobrze pisać na

maszynie pięcioma palcami.

Sportowcem nie byłem, bo jedynym osiągalnym dla nas sportem był tenis stołowy, ping pong. Piłeczki sprowadzało się z Anglii, bo te nasze prędko pękały. Mieszkałem obok kortów tenisowych i gdy udało mi się zdobyć starą raketę tenisową, od piątej rano, przed lekcjami, byliśmy z kolegą na kortach, bo później były zarezerwowane dla tych znakomitszych mieszkańców. Graliśmy tak długo, aż mi pękła moja rakietka, a na nową nie było mnie stać. Gdy graliśmy w piłkę nożną, stałem na bramce. Dzisiaj moim hobby nadal jest muzyka, lubię oglądać dobry sport w telewizji: piłkę nożną, tenis, ostatnio piłkę ręczną.

A koleżanki i koledzy, jacy byli?

Moja młodość to był złoty wiek stalinizmu. Maturę zdawałem w 1951 roku. Towarzyszyła nam olbrzymia presja ideologiczna, która budziła sprzeciw. Już w gimnazjum próbowano nas zastraszyć, wzywano do UB, mówiono o antypolskiej polityce Watykanu. Mieliśmy jednak dobrych nauczycieli. Gdy mówili *W książce jest napisane, że...* dawali nam do zrozumienia, że niekoniecznie się z tą książką zgadzają. No i były jednak dosyć wyraźne podziały. Ja należałem do tak zwanej frakcji klerykalnej, inni – wyszli na przyzwoitych ludzi – byli zetempowcami. To rzutowało na nasze relacje, wywoływało napięcia i budowało dystans, trzeba było zachować ostrożność w kontaktach międzyludzkich.

Chodziłem z siostrą do jednej klasy, koleżanki przychodziły do siostry, koledzy do mnie, odbywały się miłe spotkania koleżeńskie. Były śpiewy, tańce, flirty, nie było telewizji, była za to muzyka, prawdziwa wspólnota i więź. Teraz, po latach, odżywają niektóre znajomości. Cieszę się, gdy otrzymuję pozdrowienia, gdy napisze dawna koleżanka szkolna, z którą nie widzieliśmy się całe lata. Coraz mniej nas jest, dzięki temu te dawne znajomości nabierają szczególnego znaczenia.

Każdy w okresie młodości był zakochany, Ksiądz Arcybiskup także?

Byłem zakochany jak każdy młody człowiek. Imponowały mi nie tylko piękne, ale także mądre dziewczyny. Zawsze musiały mieć coś więcej niż tylko powab. Nie imponował mi sam blichtr, ale piękno i coś dodatkowego. To była tylko miłość platoniczna, jak dziś określiłaby to młodzież. Dodawało

to uroku mojej młodości. Dziś, gdy się spotykamy, możemy z tego żartować, i żartujemy, że poszedłem do seminarium, bo nikt mnie nie chciał. A ja tego nie żałuję, bo to była radość, która nie rodziła smutku ani cierpienia. Bogu dzięki, umiem się cieszyć z tego, że rozwój duchowy człowieka nie zbiega się z rozwojem fizycznym, bo gdy z racji wieku siły fizyczne słabną, rozwój duchowy niekoniecznie musi zmierzać w tym samym kierunku. Raczej w miarę dojrzewania duchowego z reguły rozwija się umysł. Na starość doświadcza się wielu ograniczeń, ale otwierają się nowe perspektywy, których dawniej się nie widziało. Pewne rzeczy, które kiedyś były oczywistością, teraz wcale nie są już takie oczywiste.

Młody człowiek po zdaniu matury staje przed koniecznością wyboru dalszej edukacji, myśli o przyszłości...

Po maturze nie bardzo wiedziałem, co z sobą zrobić. Przed maturą liczyłem się z wyborem seminarium, po egzaminie musiałem podjąć wiążącą decyzję. Wiedziałem, że powinienem wybrać uczelnię humanistyczną, bardzo pociągała mnie muzyka. Pojechałem na rekolekcje zamknięte do sióstr zmartwychwstanków, do Wejherowa. Byłem na takich rekolekcjach po raz pierwszy w życiu i prosiłem Boga, by pokazał mi, którądy mam iść. Miałem tydzień na spokojną refleksję. Wtedy zapadła decyzja, że pójdę do seminarium duchownego w Pelplinie. Były dwa istotne powody: tam mogłem zachować swoją tożsamość religijną, tam też mogłem dowiedzieć się całej prawdy bez zakłamania, w wymiarze religijnym i historycznym. To był czas, gdy kwestionowano ją na każdym kroku, bałem się, że mogę się zagubić wobec takiej presji ideologicznej. Gdy niedawno spotkałem się w Gnieźnie z arcybiskupem Edmundem Piszczem i wspominaliśmy dawne lata, z dumą podkreślał, że tam w Pelplinie mieliśmy do czynienia z niezakłamaną prawdą. Zanim przyszedłem do seminarium, jeden z kolegów z Kościerzyny, który był już na trzecim roku, powiedział: *Ty do seminarium? Co ty tu będziesz robił? Ty się zupełnie nie nadajesz!* To była dla mnie wielka próba – sądziłem, że może znał mnie na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że się nie nadaję? Być może na zasadzie przekory powiedziałem: *To pójdę i zobaczę, sam się przekonam.* To był wielki krok w inny świat. W seminarium dojrzewałem powoli do kapłaństwa.

Jak zareagowali rodzice na ten nieoczekiwany wybór?

Mój ojciec ucieszył się. Kiedyś mówił mi nawet, że sam chciał zostać księdzem, ale znacznie wcześniej, to nie miało żadnego związku z moją decyzją. Matka też cieszyła się, bo to byli ludzie głęboko wierzący. Natomiast nigdy nie odczuwałem z ich strony jakiegokolwiek nacisku czy nawet zachęty. Jak poszedłem do seminarium, ojca zwolnili z pracy. Wtedy spytałem: *Tato, to może ja wystąpię z seminarium?* Powiedział mi: *Nawet gdyby przyszło mi kamienie tłuc, z tego powodu nie musisz występować.* Gdy był ciężko chory, wezwał mnie telegraficznie z seminarium. Odchodził świadomie, pobłogosławił nam wszystkim a mnie powiedział: *Miałem pragnienie, żeby zobaczyć ciebie przy ołtarzu. Jeśli taka jest wola Pana – że mam odejść, to odchodzę, abys był dobrym kapłanem.* Nie doczekał momentu, gdy stałem się księdzem.

Matka była bardzo dzielna, zwłaszcza po śmierci ojca, gdy żadne z dzieci nie było jeszcze samodzielne. Gotów byłem wtedy nawet wystąpić z seminarium, żeby pójść do pracy. Wtedy matka zupełnie sama powróciła do Wysina, gdzie z pomocą dobrych ludzi poprowadziła małe gospodarstwo. Miała krowę i zajmowała się rolnictwem i w ten sposób umożliwiła mi ukończenie seminarium. Zmarła na trzy miesiące przed moją nominacją biskupią. Umarła w grudniu, a w lutym otrzymałem wiadomość o nominacji. Uznałem, że to znak, by żadne drugorzędne motywy nie wpływały nigdy na mój wybór. Skupiłem na tym, co istotne – kapłańskim i biskupim powołaniu.

Matkę chował mój serdeczny przyjaciel, dzisiejszy arcybiskup Edmund Piszcz, który był wtedy biskupem pomocniczym. Na pogrzeb przyjechali seminarzyści i kilkudziesięciu księży. Interweniował u proboszcza Urząd Bezpieczeństwa, uważali, że odbyła się nielegalna procesja, bez zgody władz. Proboszcz oświadczył jednak, że był to „zwykły pogrzeb”.

W seminarium mieli wątpliwości, czy maturzysta Muszyński ma rzeczywiście powołanie do kapłaństwa.

Ja sam nie bardzo wiedziałem, czy jestem na właściwym miejscu. Bogu dzięki, określili kryteria, które pozwalały poznać, jakie są istotne znamiona posługi kapłańskiej. Nie odbyło się oczywiście bez doświadczeń. Rektor Józef Grochocki zapytał mnie, dlaczego tak późno się zgłosiłem, dopiero pod koniec lipca. Powiedziałem, że nie mogłem się zdecydować. *Proszę pana, takich my nie potrzebujemy.* Zadał mi pytanie, czy byłbym gotów zostać męczennikiem. To było dla mnie jak uderzenie, zbulwersowało mnie. Powiedziałem szczerze,

że mam dobrą wolę, ale nie wiem, czy miałbym dość siły. Wydawało się, że na tym koniec. Nawet moich dokumentów nie obejrzał. Zapytał jednak, skąd przyjechałem. Gdy usłyszał, że z Kościerzyny, zaczął mnie wypytywać o miasto, o znajomych. Interesowało go to żywo, gdyż przed wojną był prefektem w Kościerzynie. Na koniec kazał zostawić dokumenty. Nie miałem wielkiej nadziei, więc byłem bardzo zaskoczony, kiedy dostałem zawiadomienie, że ksiądz biskup Kazimierz Kowalski przyjmuje mnie w poczet alumnów wyższego seminarium. W liście zaznaczono, że *przywieźć ze sobą należy, prócz bielizny osobistej i pościeli, również jedną żarówkę do lampy elektrycznej oraz sztuciec*. Nikt nie wiedział, co to ten sztuciec. Tego określenia się nie używało. Jak widać, nie wszystko od początku było jasne i klarowne. Trzeba było rozszyfrować wolę Bożą. Ostateczna decyzja, co do wyboru mojej drogi życiowej, zapadła na trzecim roku. Rozumiałem powoli, że głównym motywem bycia kapłanem nie może być ani nauka, ani też wyłącznie dążenie do poznania prawdy. Sensem posługi kapłańskiej musi być gotowość niesienia pomocy i służba. Pytałem się, gdzie mogę najwięcej pomóc ludziom. W znalezieniu odpowiedzi pomógł mi przykład mojego ojca, który cieszył się, gdy mógł pomagać ludziom, pomogły też przeżycia wojenne. Dzisiaj z perspektywy lat widzę to bardzo jasno – jako dziecko przeżywałem wiele ludzkich dramatów, bodaj bardziej ze słyszenia niż w rzeczywistości, jednak sprawiły one, że chciałem po prostu ludziom pomagać i uznałem, że właśnie jako kapłan będę mógł najlepiej służyć ludziom.

Teraz, po przeszło pięćdziesięciu latach posługi kapłańskiej mogę potwierdzić, że dzielona z innymi radość jest podwójną radością, a dzielony smutek jest smutkiem połowicznym. Mam też świadomość, że więcej otrzymałem piękna, dobra, życzliwości niż mogłem dać. Święty Franciszek mówił: *Tylko to, co gotowi jesteście dzielić z innymi, możemy w pełni posiadać*.

Czy po śmierci ojca ktoś inny stał się dla Księdza Arcybiskupa podobnym autorytetem?

Nie mogę wskazać tylko jednego wzorca osobowego, mogę powiedzieć że przykładem naukowca intelektualisty był profesor Franciszek Manthey, światły, mądry, dwujęzyczny. Wyprzedzał swoją epokę, wykładał w seminarium dogmatykę według Schmausa, miał niemiecki podręcznik, a mówił piękną polszczyzną.

Miałem też świętego ojca duchownego – jezuitę ojca Bratka. Nasz rok

był bardzo liczny, więc sprowadzono ojca duchownego, kiedyś księdza diecezjalnego. Niesłuchanie prosty, ale szczery, autentyczny kapłan i wspaniały człowiek. Wielkoduszny, otwarty, nie waham się powiedzieć: święty. Zawsze mi imponował, miałem świadomość, jak bardzo nie dorastam do jego miary. Później zrozumiałem że to jest to pawłowe przekonanie, że kiedy jestem słaby, wtedy jestem silny, bo liczę na Pana Boga.

Kiedy zostałem biskupem, moim niedoścignionym wzorem i autorytetem stał się biskup Konstanty Dominik, też z Kaszub, i też konsekrowany 25 marca, tyle że w 1928 roku.

To są moje trzy wzorce. Wiele zawdzięczam też innym. Rektor Józef Grochocki uczył nas liturgiki i jemu zawdzięczam ukochanie liturgii. Żył nią i potrafił nam tę fascynację przekazać. Liturgia pozostaje do dziś centrum mojego życia. Natomiast w seminarium miałem dwóch patronów męczenników, pamięć męczeństwa kapłanów z czasów wojennych była wtedy bardzo żywa. Ma to pewnie także związek z tym pytaniem, *czy mógłbym zostać męczennikiem*. Byli to: ksiądz Wincenty Frelichowski, dzisiaj błogosławiony, patron harcerzy i biskup Michał Kozal, który był biskupem tylko dwa tygodnie, bo święcony był w sierpniu przed wojną. Poszedł z Gniezna do Włocławka, w odwrotnej kolejności niż ja. Ja przybyłem z Włocławka do Gniezna. To były znaki milowe na drodze mojego życia. Na początku duży wpływ na wybór drogi mojego życia wywarł ksiądz Sobisz, imponował mi, ładnie mówił, był mądry i – ciekawa rzecz – wspominał zawsze Dominika jako swojego mistrza, bo był rektorem seminarium za jego czasów. Biskupa Dominika nie znałem, umarł w Gdańsku internowany w czasie wojny. Leży na cmentarzu w Pelplinie. Teraz prawie wszyscy moi rówieśnicy też są na cmentarzu, a przyszłością Kościoła są klerycy. Gdy poproszono mnie o rekolacje w seminarium w Pelplinie, nie mogłem oczywiście odmówić. Dziękuję Bogu, że doczekałem emerytury. Jestem jedyny w episkopacie z roku trzydziestego trzeciego. Jeszcze niedawno przy życiu było nas trzech – biskup Adam Śmigielski z Sosnowca, arcybiskup Zygmunt Kamiński ze Szczecina i ja.

Mnie jedyne Pan Bóg zostawił i pytam się po co? Pewnie dlatego, żebym dojrzał do wieczności. W tym miejscu przypomniało mi się pewne żartobliwe wydarzenie z Pelplina. Zmarło dwóch kanoników po kolei, trzeci zaprzyjaźniony z nimi powiedział: *Pan Bóg zabiera tych „porządných”, sam zostałem, zaczynam się obawiać o siebie*.

Czy z tego licznego rocznika seminaryjnego w Pelplinie, liczącego ponad osiemdziesięciu kleryków, jeszcze ktoś został biskupem?

Z mojego rocznika nie było żadnego innego biskupa. Zostałem wybrańcem, ale to nie z powodu moich zasług, zadecydował o tym cytat po grecku. Gdy się na to patrzy w świetle wiary, to wszystko przyjmuje znamię znaku. Dlaczego uczyłem się w języku oryginalnym – bo kochałem języki, a ten dar pochodził od Pana Boga. Było też w tym trochę nieco zwykłej przebiegłości, wiedziałem, że jak znam definicję, to sobie poradzę z jej wyjaśnieniem. No i widziałem, jak profesorowie się cieszyli, gdy im się dokładnie zacytowało definicję, zwłaszcza ich definicję.

Ma to też niestety pewne minusy. Cytatów teologicznych uczyłem się po łacinie. Dzisiaj jak chcę coś zacytować, muszę to sobie przypomnieć po łacinie i przetłumaczyć na polski. Może to wyglądać na popisywanie się, czego bardzo nie lubię. Muszę jednak cytować po łacinie, bo po polsku nie potrafię. Za to w pracy naukowej dokładność cytatu jest bardzo pomocna. W przypadku duchowieństwa nie mam żadnych hamulców, bo jak nie rozumieją, to niech żałują lub niech się uczą łaciny.

Dobrze, że dziś klerycy uczą się cytatów po polsku, bo mają gotowy repertuar na homilie. Warto się uczyć za młodu, powtarzam to często młodym ludziom, bo na starość jest znacznie trudniej uczyć się na pamięć.

Jako wielki dar odbieram dzisiaj fakt, że coraz pełniej myślę kategoriami Biblii, jest to wielkie błogosławieństwo.

Jak było w seminarium duchownym? Pierwsza połowa lat pięćdziesiątych to były trudne i biedne lata.

Komunistyczne władze próbowały wobec nas zastraszenia. Zamykano seminaria, zatrzymano w areszcie domowym biskupa Kowalskiego, nie wiedzieliśmy, co się dzieje i co może nas czekać. Czasy były niespokojne, pełne napięć, trzeba się było liczyć nawet z męczeństwem. Po aresztowaniu prymasa Stefana Wyszyńskiego ostoją wolności było Radio Wolna Europa, które co dzień przywoływało osobę i dzieło prymasa, odliczając kolejne dni jego uwięzienia. Przypominało każdego dnia od nowa o jego uwięzieniu, o tym, że Kościół w Polsce jest bez prymasa. Było to nie tylko przypomnienie, ale również wezwanie do ustawicznej modlitwy. Innych wiadomości w seminarium nie wolno było słuchać, nie wolno też było czytać gazet komunistycznych. To odcięcie od wiadomości odczuwaliśmy jako ochronę przed utratą chrześci-

jańskiej osobowości, nie było to dla nas uciążliwe. Przyjmowaliśmy to w duchu wiary – kto się godził na kapłaństwo, to i na celibat i należało pracować, żeby do tego dorastać. W 1956 roku wraz z Władysławem Gomułką wróciły nadzieje na normalność, ale prędko się zorientowano, że to tylko manewr taktyczny – robimy krok do przodu i dwa do tyłu. Modyfikowano socjalizm na miarę polskich warunków. Cel był ten sam – uszczęśliwić ludzi bez religii. Mówiono wtedy, że wraca stare, nie ufano władzy. Nawet gdy ogłoszono że Jurij Gagarin wyleciał w kosmos, wielu ludzi w to nie wierzyło, myśleli że to też propaganda. Pamiętam, że Kaszubi mnie pytali, czy ja w ten lot wierzę.

A jak Ksiądz Arcybiskup odnalazł się w murach seminarium po okresie gimnazjalno-licealnym wypełnionym muzyką, tańcem, śmiechem?

Początek był niesłychanie trudny, seminarium to był zupełnie inny świat. W pierwszym powitalnym przemówieniu ksiądz rektor powiedział: *In alium virum mutaberis – Masz stać się innym człowiekiem*. Pierwsze wrażenia najbardziej utrwalają się w pamięci. Usiłowałem zrozumieć, dlaczego obowiązuje taka forma formacji zupełnie dojrzałych ludzi. Dopomógł ojciec duchowny, pokazał że świat zewnętrzny jest światem nacisków, indoktrynacji, zagrożeń w aspekcie ateizmu. Trzeba ukształtować osobowość chrześcijańską, a potem kapłańską. Potrzebna jest izolacja, żeby stać się człowiekiem Bożym. To do mnie przemówiło, zaakceptowałem ten sposób. Znalazłem dopełnienie w nauce, nauczyłem się samodyscypliny. Zrozumiałem, że formacja dorosłego człowieka musi być autoformacją. Ponadto nauka wypełniała mi prawie cały czas. Uczyliśmy się głównie ze skryptów kopiowanych na powielaczu. Z lekturą były kłopoty, czytaliśmy „Tygodnik Powszechny”, nauczyliśmy się też czytać między wierszami. Radia nie słuchaliśmy, telewizji jeszcze nie było. Byliśmy najliczniejszym rocznikiem powojennym. Seminarium mieści się w klasztorze pocysterskim. Biskup Kowalski kazał wyremontować dla nas sale na piętrze, w każdej było nas kilkunastu, może więcej. Warunki były isticie spartańskie. Do jedzenia dostawaliśmy tylko obiad i chleb na śniadanie i na wieczór. We wszystko inne trzeba się było zaopatrzyć własnym sump-tem, ale nie robiliśmy z tego problemu, ponieważ były to warunki normalne w tamtych czasach. Wielkim plusem było to, że dzieliliśmy się ze sobą nawet jedzeniem. Gdy ktoś miał coś lepszego, nikt nie zjadał tego sam. Gdy przychodziła paczka z domu, była do podziału. Oczywiście było, że trzeba się dzielić. Niestety, z czwórki przyjaciół z tych lat, bezpośrednich przyjaciół, z którymi

siedzieliśmy w jednej ławie, żyje już tylko jeden. Do moich najbliższych kolegów należał też dzisiejszy arcybiskup Piszcz.

Arcybiskup Edmund Piszcz też był w seminarium w Pelplinie?

Oczywiście, ale był o rok starszy święceniami. Nasze losy przeplatały się i przeplatają do dziś. Szedłem dosłownie jego śladami. Najpierw jako prefekt rytu odpowiedzialny za liturgię w seminarium i w katedrze pelplińskiej. Ksiądz Piszcz poszedł na studia i ja poszedłem na studia. On wrócił do seminarium i ja wróciłem. Został prefektem studiów i ja też, został wyświęcony biskupem sufraganem, ja przejąłem po nim dom opieki społecznej w Pelplinie, którym się opiekował. Został biskupem pomocniczym, ja zostałem biskupem pomocniczym i zamieszkałem w tym samym domu. On został biskupem diecezjalnym i ja zostałem biskupem diecezjalnym. On został arcybiskupem metropolitą i ja zostałem arcybiskupem i metropolitą. Wreszcie doczekał emerytury i ja jej doczekałem. Jeżeli Pan Bóg będzie respektował tę hierarchię, pozostaje problem otwarty – kto będzie przemawiał nad moim grobem. Ale to zostawiamy Panu Bogu. Do grona młodszych kolegów z seminarium pelplińskiego należą między innymi: biskup Jan Szłaga, świętej pamięci biskup Andrzej Śliwiński. Do wychowanków należą też: biskup Wiesław Mering, który został moim następcą w ciągle mi bliskiej i drogiej diecezji wrocławskiej; biskup pomocniczy toruński Józef Szamocki, biskup Edward Zielski, pracujący w dalekiej Brazylii. Z wszystkimi łączą mnie do dziś żywe, braterskie więzy.

A przyjaźń? Miał Ksiądz Arcybiskup wśród nich prawdziwego przyjaciela?

Najsilniejsze przyjacielskie więzy łączyły mnie z moim starszym kolegą z Pelplina, księdzem Januszem Pasierbem, człowiekiem duchowo bardzo mi bliskim, artystą wielkiej wrażliwości, poetą. Łączyła nas w sposób szczególny miłość do Biblii. Ja byłem biblistą, a jego pasjonowała Biblia, więc o niej dyskutowaliśmy; on mnie z kolei ukulturalniał. Przez lata dojeżdżaliśmy razem z Warszawy do Pelplina. Co drugi tydzień przez cztery godziny jazdy rozmawialiśmy, on czytał mi swoje wiersze. Niby była to konieczność, a okazała się wielkim błogosławieństwem. Nigdy byśmy sobie tego czasu nie użyczyli, gdyby nie te przejazdy. Pytał mnie wtedy o tematy biblijne,

a ja później odnajdywałem je w jego wierszach. Nigdy sam nie potrafiłbym tego tak pięknie wypowiedzieć. Jako osobowości byliśmy tak bardzo różni, a jednocześnie duchowo sobie bardzo bliscy. Punkty ciężkości naszego wartościowania były podobne, a nawet identyczne i to nas łączyło. W ostatnich dniach straciłem drugiego, bardzo drogiego przyjaciela – arcybiskupa Józefa Życińskiego, metropolitę lubelskiego. Coraz więcej bliskich i drogich mam po drugiej stronie Życia, ale taki jest porządek rzeczy. To coraz pełniejsze osamotnienie w sensie ludzkim. Czy to jest ksiądz, czy to są małżonkowie, coraz mniej mamy bliskich na tym świecie, a coraz bardziej realna i bliska staje się wizja wieczności. To jest normalny porządek rzeczy, dojrzewanie do pełni.

Rodzina nie odczuwała konsekwencji, że syn i brat pobierał nauki w seminarium?

Odczuła to dotkliwie, choć nie o wszystkim wiedziałem. Jak wcześniej wspominałem, po przyjęciu mnie do seminarium ojca zwolniono z pracy. Gdy zmarł, ja byłem na trzecim roku. Siostra po maturze zamiast na studia poszła do pracy w banku, bo ktoś musiał pracować na rodzinę, a brat był jeszcze w gimnazjum. Nikt z nas nie był wtedy samodzielny. Stałem nawet wobec konieczności wystąpienia z seminarium i byłem gotów to zrobić, bo uważałem że jako najstarszy syn mam zobowiązania wobec rodziny. Wtedy matka zupełnie sama udała się na maleńkie gospodarstwo, gdzie mieszkaliśmy w czasie wojny i chociaż nigdy nie pracowała na roli, z pomocą dobrych ludzi poprowadziła to gospodarstwo. Była tam zupełnie sama, nie miała koło siebie nikogo ze swoich bliskich. Dzięki jej poświęceniu mogłem zostać w seminarium. Młodszy brat, ponieważ miał brata księdza, nie dostał się na studia. Po maturze złożył dokumenty na studia medyczne, ale doradzono mu, żeby je wycofał, bo na pewno się nie dostanie, skoro brat jest w seminarium duchownym. Dowiedziałem się o tym dopiero jako biskup, trzymano to przede mną w tajemnicy. Nigdy mi o tym nie wspominał, co dużo mówi o naszej sytuacji rodzinnej. Jestem im za to bardzo wdzięczny, mam tę świadomość, że ukończyłem studia kosztem mojego rodzeństwa. Chciałbym im za to wyrazić wdzięczność – nie tylko za to co zrobili, ale także jak. Matka musiała się wszystkiego nauczyć na tej gospodarce, sama, w obcym otoczeniu. Myśmy przyjeżdżali tak często, jak to było możliwe, zwłaszcza brat, i jej pomagali. Chciała, żebym wytrwał w seminarium i modliła się za mnie.

Ja w czasie wakacji wynajmowałem się do kosy, żeby trochę zarobić. Moi towarzysze żniwiarze byli bardzo wielkoduszni, powiadali, że przez pierwsze trzy dni będą tego kleryczka oszczędzać, niech się nauczy. Te pierwsze dni były najtrudniejsze, na nieprzyzwyczajonych dłoniach pojawiały się pęcherze. Miałem ambicję, żeby nie korzystać z taryfy ulgowej, tylko im dorównać. Po trzecim roku, gdy ojciec umarł, pojechałem w wakacje na dodatkowy zarobek przy selekcji ziemniaków. To było moje pierwsze doświadczenie życiowe, prawdziwy chrzest bojowy i to w państwowych gospodarstwach rolnych.

W jaki sposób kleryk mógł zarobić pieniądze w pegeerze?

Razem z kolegą, także klerykiem, za zgodą rektora pojechaliśmy na ziemie zachodnie. Trochę po znajomości, dzięki dobrym ludziom, którzy pomogli nam, jako studentom, znaleźć pracę sezonową. Wcześniej musieliśmy ukończyć przeszkolenie z elementarnej wiedzy o chorobach ziemniaków. Posłano nas na teren powiatów: Wałcz, Choszczno, Łobez. Ludzie nie wiedzieli, że jesteśmy klerykami. Nasze zadanie polegało na obchodzeniu zakontraktowanych pól ziemniaczanych, głównie pegeerowskich i pisaniu raportów, w jakim procencie zostały porażone chorobami. Zajeżdżaliśmy więc do wsi, od sołtysa dostawaliśmy przewodnika, który miał nas prowadzić na pola. Zwykle na początek była propozycja: *Po co będziecie chodzić po polach, siądziemy i wypijemy sobie...* Zetknęliśmy się tam twarzą w twarz z życiem. Nie ukrywam, że kontakt z tymi ludźmi, którzy nie wiedzieli, że jesteśmy klerykami, był dla nas dość szokujący. Co dla mnie było nieuczciwością, dla nich było normalne: *Co pan będziesz na pole chodził? Przecież chodzi o papier. Tylu było tu przed panem i wszyscy byli normalni.* Gdy zapytaliśmy o możliwość pójścia do kościoła na Mszę świętą w powszedni dzień, zaczęto podejrzewać, że jesteśmy Świadcami Jehowy. Ci ludzie uważali, że prawdziwy katolik nie chodzi codziennie do kościoła. Jeszcze większe zaskoczenie wzbudziliśmy u jednego plebana, którego spotkaliśmy przypadkowo. Jako dowód zaufania przyznaliśmy się, że jesteśmy klerykami. Nie uwierzył, posądził nas, że chcemy coś wyłudzić lub że zostaliśmy podstawieni. Takie to były czasy – obcemu nie można było wierzyć. Zarobiliśmy wtedy pięćdziesiąt złotych brutto od hektara. To były moje pierwsze zarobione pieniądze, nie musiałem już prosić rodziny o fundusze na drobne wydatki.

Chciałem być proboszczem

Jakie marzenia miał kleryk Henryk Muszyński, gdy zbliżał się koniec nauki w seminarium?

Nie przychodziła mi do głowy żadna inna myśl, jak zostać wikariuszem, a później pójść na probostwo. Widziałem siebie jako proboszcza, a szczytem moich marzeń był mały ogródek przy plebani. Ukochania ziemi nauczył mnie ojciec, który umiał się cieszyć widokiem rosnących kłosów. Chciałem mieć ładny ogródek, w którym mógłbym mówić brewiarz. Nigdy nie myślałem o karierze naukowej. W 1957 roku, roku moich święceń, pojawiła się możliwość pracy w szkole. To była wielka niespodzianka, władze pozwoliły na naukę religii w szkole. Było wtedy takie zapotrzebowanie na katechetów, że odbyły się podwójne święcenia księży, w kwietniu i w grudniu. Wcześniej przekonywano biskupa Kowalskiego, że kleryków jest za dużo, zaś w momencie święceń żałowano, że jest nas zbyt mało. Doświadczyłem wtedy i znalazłem dodatkowe potwierdzenie, że trzeba budować życie na zaufaniu Bogu, a nie na ludzkich kalkulacjach. Boli mnie, gdy ktoś nadużyje to zaufanie, ale nie zmieniam tej zasady.

Nadszedł dzień 28 kwietnia 1957 roku – to bardzo ważna data?

Dzień święceń kapłańskich. Dla mnie kapłaństwo było zawsze czymś wielkim i zobowiązującym. Otrzymałem wiele dyplomów, a na ścianie do dzisiaj wisi jedynie dokument święceń kapłańskich. Nie było wtedy wielkich uroczystości – przyjechała rodzina, święcił mnie ksiądz biskup Kazimierz

Józef Kowalski. Wielkim wydarzeniem była msza prymicyjna, na którą wszyscy czekaliśmy. W Kościerzynie był jeden kościół i trzech właśnie nowo wyświęconych księży, którzy chcieli odprawić swoją pierwszą Mszę świętą, a nie było jeszcze Mszy świętej koncelebrowanej. Nikt z nas nie chciał odkładać swojej prymicji i w drodze losowania ustaliliśmy kolejność. Mnie przypadła dopiero trzecia niedziela i miałem czekać na prymicję trzy tygodnie. I wtedy ksiądz Józef Sobisz zaprosił mnie do Wysina. Przypomniał, że byłem jego pierwszym ministrantem po wojnie i teraz będę pierwszym prymicjantem, dlatego pierwszą Mszę świętą odprawiłem w Wysinie, a drugą po trzech tygodniach w Kościerzynie. Matka, która w Wysinie prowadziła gospodarstwo, wyhodowała kurki i kaczki i wszystko, co było potrzebne, żeby wyprawić prymicję swojemu synowi. Urządziła ją wspólnie z księdzem proboszczem, uroczystość prymicyjna odbyła się na plebani. Ksiądz proboszcz oświadczył: *To jest dzień twojej prymicji, taki dzień jest jeden w życiu, staraj się go godnie przeżyć. Idź do góry, (czyli do pokoju na piętrze plebani) módl się i przygotuj się, a ja się wszystkim zajmę, przyjmę gości i zawołam ciebie na mszę.* Jestem mu za to ogromnie, ogromnie wdzięczny. Dla mnie był pierwszym po wojnie obrazem żywego kapłana po wojnie i wzorem postępowania do tego stopnia, że nawet podświadomie intonację czyli sposób modlitwy przejąłem od niego. Parafianie mówili, że *śłuchając tego młodego księdza jakby słyszeli swojego proboszcza.*

Po sześciu latach wahań, oczekiwań, przygotowań otrzymał Ksiądz Arcybiskup święcenia i skierowanie jako wikariusz do parafii świętego Mikołaja w Gdyni Chyloni i...

Kaszubi zbuntowali się przeciwko biskupowi, który ich zdaniem niesłusznie zwolnił proboszcza, zamknęli go na plebanii, a mnie nie wpuścili. Wróciłem do biskupa, a on przesunął mnie do parafii świętego Józefa, też w Gdyni, może trzysta metrów dalej. To była nowa parafia w Gdyni Leszczynekach, która nie miała jeszcze kościoła, tylko tymczasowy barak. Dziś nie ma po nim śladu. Nie było też plebani i zamieszkałem w sublokatorskim pokoiku w maleńkim domku w pobliżu. W 1957 roku religia wróciła do szkół i właśnie tam w Gdyni była moja pierwsza szkoła, w której uczyłem. Dyrektor uprzedzał, że szkoła jest laicka, więc bez przesady z tą religią. W szkole zaplanowano 33 godziny lekcyjne religii w tygodniu. Gdy zapytali, czy wezmę wszystkie, odpowiedziałem, że oczywiście. Nie bardzo

wiedziałem, co to znaczy prowadzić tyle lekcji. Na początku nie wszyscy nauczyciele mnie zaakceptowali, dostrzegano się dużą polaryzację postaw, więc podczas przerw wołałem być na korytarzu wśród młodzieży niż w pokoju nauczycielskim. Zwłaszcza jeden z nauczycieli szukał ustawicznie zaczepki, z czasem sam odczuł naciski władzy i nawrócił się. Odtąd miałem w nim przyjaciela. Młodzież w szkole była wspaniała i dla mnie bycie wśród niej było radością, nawet na ostatnich, najtrudniejszych lekcjach. Wtedy religia musiała być na ostatnich lekcjach, kiedy młodzież i ja byliśmy już zmęczeni. Mimo to te lekcje były wielką radością. Był program nauczania, ale nie było podręczników. Najmłodszym opowiadałem o Marcelinku, włoskim chłopcu, bohaterze opowieści „Marcelino chleb i wino” drukowanej w odcinkach w „Słowie Powszechnym”. Gdy odcinki się skończyły, a dzieci chciały więcej, musiałem konfabulować. Po trzech latach, w 1960 roku, dyrektor wypowiedział mi umowę o pracę. Była to decyzja władz. Wtedy zostałem posłany na studia. Ze szkół jednocześnie zwolniono wielu katechetów i znów było „za wielu” księży. Jedynym miejscem, do którego nie miały dostępu władze, były wyższe uczelnie i tam właśnie ich wysłano.

Ale wcześniej, właśnie w Gdyni, narodziła się nowa pasja Księdza Arcybiskupa – motoryzacja.

Z tą pasją to pewnie lekka przesada, ale jest w tym ziarno prawdy. A było to tak. Początkowo ksiądz proboszcz Józef Rotta miał nominację na proboszcza i równocześnie zakaz mieszkania w Gdyni przy kaplicy kościelnej. Dojeżdżał motocyklem do Gdyni ze Strzeczca.

Dlaczego?

Biskup mianował go proboszczem, ale władze komunistyczne nie wyraziły zgody na objęcie przez niego parafii. Do 1956 roku jego nominacja była jednostronna i nie miał prawa przebywania na terenie parafii, dojeżdżał więc motocyklem ze wsi, gdzie mieszkał. Władze zgodziły się go zatwierdzić dopiero po październiku 1956 roku. Wtedy dopiero mógł zamieszkać przy kaplicy i motocykl przestał być niezbędny, trzymał go w piwnicy. Był to Mińsk 125. Chodziłem go oglądać i myślałem, że jak bym miał uprawnienia, to mógłbym nim jeździć do matki. Proboszcz zauważył moje zainteresowanie i polecił mi zrobić prawo jazdy. Chciałem zdawać egzamin tylko na motocykl,

ale on był człowiekiem dalekowzrocznym i kazał nauczyć się prowadzić także samochód. Byłem wtedy przekonany, że nigdy nie będę miał własnego samochodu. Dziś brzmi to niewiarygodnie, ale byłem o tym naprawdę święcie przekonany. Proboszcz powiedział, że on kupi auto, a ja go będę nim woził. Dzisiaj widzę, jak był przewidujący. Gdy byłem młodszy, połowę życia spędzałem w samochodzie. Prowadzić nauczyłem się w trybie przyspieszonym, bo na normalny kurs nie pozwalały moje obowiązki. Rano była Msza święta, później dyżur w kancelarii parafialnej, od 10.30 do 16.30 szkoła, po niej siadałem w konfesjonale, a o 19.00 znów Msza. Nie miałem czasu na kurs, dlatego nie chodziłem na zajęcia. Znajomi mieli samochód i uczyłem się nim jeździć na płycie lotniska w Rumii, bo tam nie było drzew. Stwierdzono, że jestem utalentowanym kierowcą. Później bardzo mi się ta umiejętność przydała, zwłaszcza gdy przez wiele lat dojeżdżałem z Warszawy do Pelplina.

A co z tym motocyklem księdza proboszcza?

Widział, że mi się oczy do niego szklily, więc po zrobieniu prawa jazdy proponował mi kupno i rozłożył należność na raty. Gdy miałem już motocykl, dość często jeździłem nim do matki.

A skąd się wziął przydomek Księdza Arcybiskupa „kierowca z sakrą”?

Wymyślił go oczywiście ksiądz Pasierb. Razem jeździliśmy samochodem na wykłady z Warszawy do Pelplina, ja byłem kierowcą. Gdy zostałem biskupem, zaraz to po swoim i życzliwie skomentował. Żartował, że pewnie są kierowcy z profesurą, ale kierowcy z sakrą nikt inny nie ma. Kiedyś, pewien milicjant awansował mnie z obywatela kierowcy na obywatela biskupa. Przekroczyłem dozwoloną prędkość, zatrzymał mnie i chciał dać mandat. Próbowałem się tłumaczyć, a on zapytał, kim jestem. Gdy powiedziałem, że biskupem, stwierdził: *Obywatel biskup został pouczony. Można jechać.*

Po przyjeździe do Gniezna, wyobrażałem sobie, że przynajmniej od czasu do czasu będę mógł sam wyjechać w odwiedziny do znajomych czy przyjaciół. Nigdy się to nie udało. Tylko raz się zdarzyło, że kierowca nie przyszedł i siadłem za kierownicą, a moim pasażerem był biskup Jan Czerniak. Widząc mnie w charakterze kierowcy, upewnił się: *A jeździł już, jeździł samochodem?* Po kilku przejechanych kilometrach uspokoił się: *Widzę, że jeździł.*

Po trzech latach bycia wikariuszem i nauczycielem przyszło znów wrócić do nauki i przysiąc nad książkami. Skierowanie na studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim potraktował Ksiądz Arcybiskup jako wyróżnienie?

Uważałem, że to nie dla mnie, bo ja chciałem być duszpasterzem! Byłem zakochany w tej pracy i wydawało mi się, że jestem stworzony do duszpasterstwa. Nie widziałem siebie na studiach. Mój proboszcz, ksiądz Józef Rotta, skarcił mnie: *Jak biskup każe iść na studia, to niech ksiądz idzie!* To mi pomogło, wprawdzie nadal nie widziałem siebie w roli naukowca, ale już się nie wzbraniałem. Wybrałem studia biblijne, bo przekonałem się, że mam wiele braków w zakresie tej wiedzy, a Biblia to ocean, który coraz bardziej mnie fascynował. W wakacje zacząłem się uczyć języka hebrajskiego i opanowałem go na tyle, że zdałem z niego egzamin wstępny u profesora Stanisława Łacha. Dziś widzę, że to nie był żaden wielki egzamin. Za to z dumą powtarzam, że bardzo dobrze zdałem egzamin z greki, bo miałem bardzo dobre podstawy z Pelplina. Zawdzięczam to księdzu profesorowi Janowi Stryczkowi, który reprezentował bardzo dobrą niemiecką szkołę filologiczną i nauczył mnie greki. Sprawdzian z greki był dla mnie na tyle prosty i łatwy, że podejrzewałem jakiś podstęp. Później żartowałem, że u nas w Pelplinie zwykła „klasówka” była trudniejsza. Wspominam o tym, by oddać sprawiedliwość mojemu szlachetnemu i mądrym nauczycielowi i poprzednikowi. Na KUL-u poznałem inny wymiar Kościoła, spotkałem się z kapłanami z całej Polski, poznałem wielką różnorodność formacji i postaw braci kapłanów. Ale w niedziele byłem głęboko nieszczęśliwy, nie wiedziałem, co ze sobą robić. Wtedy jeszcze nie było koncelebry Mszy świętej, rano jeździliśmy trolejbusami do kościołów. Każdy miał tam swój ołtarzyk i swoją godzinę. Codzienna Msza święta, według mnie, należy do tożsamości życia kapłańskiego, stąd dziś przyjmuję z wdzięcznością dar koncelebry. Początkowo świat nauki wydał mi się mało pociągający, nie bardzo wiedziałem, jak się w nim odnaleźć. W bibliotece wśród książek dłużyło mi się. Ale należę do ludzi, którzy jak się czegoś podejmą, to już to kontynuują. Ojciec duchowny powtarzał często: *Si non es vocatus, fac ut voceris*, czyli: *Jeśli nie jesteś powołany to postaraj się, aby Bóg ciebie powołał.* Powoli praca zaczęła mnie wciągać, kochałem języki, poznawałem drugi wymiar Biblii. Ciągłe jednak Biblia była dla mnie prawie wyłącznie przedmiotem badań naukowych, któremu oddawałem się z pasją. Inny, pełniejszy, głębszy wymiar Biblii poznałem później.

Biblistkę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim studiowali tylko księza?

Na KUL-u byli także studenci świeccy, również dziewczyny, które mnie traktowały jak swego kolegę, lecz Biblistkę studiowali wtedy tylko księza. My, księza, byliśmy starsi od innych studentów o sześć lat seminaryjnych. Poznawałem wtedy problemy ludzi świeckich, których ja nie miałem, ich sposób myślenia. Pogłębiło to moją wrażliwość. No i spotkałem tam wielu profesorów, a wśród nich prawie wszystkich liczących się wówczas biblistów polskich. Odtąd mój sposób myślenia stawały się coraz bardziej biblijny. Uznałem, że znalazłem się w swoim środowisku.

A co z licencjatem?

Pracę licencjacką z teologii na KUL-u obroniłem w 1963 roku. Pisałem na temat : „Zwrot czynić prawdę w pismach św. Jana”. Chciałem jednak zrobić licencjat biblijny w Rzymie, a ciągle odmawiano mi paszportu. Po trzech odrzuconych wnioskach dostałem na piśmie ostateczną decyzję, że nie otrzymam paszportu. Zaznaczono w nim też: *Jeżeli obywatel się z tą decyzją nie zgadza, może wystąpić ze skargą do sądu*, nie podano jednak jakiegokolwiek powodu odrzucenia wniosku. Niezrażony trudnościami studiowałem po prostu dalej i nie porzucałem nadziei, że może jednak kiedyś uda się wyjechać na studia zagraniczne.

Jak wyglądały starania o paszport?

Mój szwagier był lekarzem, także dla milicji. Przez to miał kontakty z UB. Znajomy komendant MO, któremu powiedział o moich staraniach, obiecał, że mi pomoże, jeżeli obiecuję, że wrócę do Polski. Powiedziałem za pośrednictwem szwagra: *Zapewnienie, że wrócę do Polski, mogę dać*. Po jakimś czasie dostałem paszport ważny na rok z możliwością jednorazowego przekroczenia granicy. W razie dłuższego pobytu trzeba go było przedłużać w ambasadzie. Wyjazd za granicę traktowano jako nagrodę za „dobre sprawowanie”.

Zawsze podkreślano, że można go cofnąć. Po odbiór paszportu pojechałem do Gdańska razem ze szwagrem. Tam usiłowano mnie przekonać, że jako lojalny obywatel Polski powinienem przynajmniej od czasu do czasu spotkać się w ambasadzie. Na szczęście zostałem – znów za pośrednictwem mojego szwagra – ostrzeżony, że bym się na nic nie godził i niczego nie podpisywał.

W tym momencie muszę oddać sprawiedliwość człowiekowi z UB, którego nie znam i być może nigdy nie poznam. Jestem jego ogromnym dłużnikiem. Mojemu szwagrowi wychodzącemu z UB, gdzieś w przejściu powiedział: *Tylko niech szwagier niczego nie podpisuje i nie godzi się na żadne spotkanie.* Do dziś uważam, że ta przestroga bardzo mi pomogła.

W latach sześćdziesiątych wyjazd za granicę był wielkim wydarzeniem, czasami jednorazowym. Trzeba się więc było przygotować nawet na kilkuletni pobyt za granicą, bo przecież paszport pozwalał tylko na jednokrotne jej przekroczenie. Po powrocie trzeba go było zdać i można było nie otrzymać powtórnie.

Rzeczywiście, wyjazd zagraniczny to było prawdziwie wielkie wydarzenie na tamte czasy. Miałem trzydzieści lat, a pierwszy raz mogłem przekroczyć granicę. Jechałem ze świadomością, że zostanę w Rzymie do zrobienia doktoratu i cokolwiek się stanie, nie będę mógł wcześniej wrócić do kraju. Pożegnałem się z rodziną na dłużej. Miałem ze sobą dwie walizki, wypełnione głównie rzeczami osobistymi, słownikami polsko-łacińskimi i polsko-włoskimi, oraz pięć dolarów. Tyle można było legalnie kupić i wywieźć. Wyjeżdżałem ogromnie przejęty i pełen obaw, czy nie cofną mnie z granicy. Strach towarzyszył mi także na terenie Czechosłowacji. Nie miałem nic do ukrycia, ale obawiałem się, że celnicy mogą mieć zastrzeżenie choćby do wywozu bez zezwolenia słownika polsko-włoskiego. Każdy pretekst był dobry, żeby kogoś zatrzymać. Na terenie Czech obserwowałem dworce udekorowane hasłami sławiącymi socjalizm. Uświadomiłem sobie, że w Polsce jest trochę lepiej, bo przynajmniej dworce nie są tak ustrojone. Przeżyciem jedynym w swoim rodzaju było przekroczenie granicy między Czechami a Austrią. Na przejściu przeprowadzono dokładną kontrolę pociągu, otwierano wszelkie możliwe schowki w przedziałach, z psami sprawdzano podwozie wagonów. Z mocno bijącym sercem czekałem, czy nie będą mieli do mnie zastrzeżeń. Dopiero gdy pociąg ruszył, poczułem, że jestem w wolnym świecie. Uwierzyłem, że dojadę do Rzymu. Ale po drodze był Wiedeń i przeładunek. Tutaj spotkała mnie pierwsza miła niespodzianka. Bagażowy zapytał mnie, skąd przyjeżdżam. Odpowiedziałem, że z Polski. A on na to, że to widać i że bym mu dał walizki, bo pociąg do Rzymu odjeżdża z peronu południowego i je tam zawiezie. Tłumaczyłem mu, że dziękuję, nie mam pieniędzy, ale powiedział, że wie o tym i wziął walizki. Wskazał miejsce, gdzie się spo-

tkamy. Nie dowierzałem do końca, że całkiem bezinteresownie zechciał mi pomóc. Nic złego jednak mnie nie spotkało. Bagażowy przekazał mi walizki i najlepsze życzenia szczęśliwej drogi, nie chciał pieniędzy. Na powitanie w nowym świecie spotkał mnie życzliwy gest. Chyba dopiero wtedy poczułem, że nikt mnie nie cofnie z drogi. Byłem urzeczony tym, co zobaczyłem w tym kapitalistycznym świecie. Na dworcu w Wiedniu podziwiałem sklepy, kioski i wystawy i ustawicznie przeliczałem, co mógłbym kupić za moje pięć dolarów. Dowiozłem je jednak w całości do Rzymu, martwiąc się, że będę musiał wynająć taksówkę i że mi na nią nie wystarczy pieniędzy.

Nikt w Rzymie nie wiedział o przyjeździe, nie czekał na dworcu?

Na szczęście czekali księży z diecezji chełmińskiej, było ich pięciu, studiowali wtedy w Rzymie, wśród nich ksiądz Bogdan Szmelter, który przyjechał po mnie swoim samochodem i zawiózł do Collegium Polonorum. Zastałem tam wielu biskupów, którzy uczestniczyli w tym czasie w drugiej sesji Soboru Watykańskiego, był też mój ordynariusz Kazimierz Józef Kowalski. Mieszkali tam również inni biskupi, uczestniczący w soborze, wśród nich ówczesny biskup Karol Wojtyła. Przyjechałem mocno spóźniony, bo dopiero w listopadzie 1963 roku, po rozpoczęciu roku akademickiego, niezapowiedziany, więc nigdzie nie było dla mnie pokoju, trwał przecież sobór. Ówczesny rektor, ksiądz prałat Władysław Rubin, późniejszy kardynał, kazał opróżnić jedną z kaplic i zamieszkałem w niej z księdzem Mieczysławem Malińskim, z którym wcześniej sąsiadowałem vis-a-vis na korytarzu konwiktu Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Ksiądz Maliński we właściwy dla siebie sposób, z radością i odcieniem ironii przywitał mnie serdecznie. Gdy zobaczył mnie w drzwiach pokoju, zapytał: *Kiedy ty się nareszcie ode mnie odczepisz? Zdebiałem, a on: No chodź, przywitaj się z kolegą. Czy wiesz, jaki jesteś ważny? Dla ciebie wyrzucili z kaplicy Pana Jezusa!* Dodam, że bardzo szybko ksiądz rektor znalazł dla nas inny pokój i opuściliśmy kaplicę. Nazajutrz ksiądz Michał Czajkowski, który już był zadomowiony w Rzymie, zawiózł mnie na Biblicum. Chciał czekać, żeby mnie przywieźć do kolegium, ale uniesiony ambicją oświadczyłem, że wrócę sam. Jako punkt orientacyjny upatrzyłem sobie Circo Massimo, obok którego miałem zamiar wysiąść z autobusu. Okazało się, że autobus jechał inną drogą i ruin starożytnego palatynu nie zobaczyłem. Po godzinie jazdy znalazłem się na ostatnim przystanku linii autobusowej, a kierowca zapewnił mnie na dodatek, że takiej ulicy, na którą

chcę dojechać, w Rzymie nie ma. Ratowałem się, jak mogłem. Pamiętałem, że z dworca do kolegium jechaliśmy obok Koloseum, a dalej prosto ulicą. Kierowca autobusu wytłumaczył mi, jak mogę dojechać do Koloseum. Stąd dotarłem do Circo Massimo, a dalej już wiedziałem, jak trafić do domu. Tylko że zamiast na obiad, dotarłem tam krótko przed kolacją. Taki pełen przygód był mój pierwszy dzień pobytu w Rzymie.

Rzym, wyczekiwane studia, obserwacja wydarzeń soborowych – wszystko to musiało być wielkim przeżyciem, zwłaszcza że zdarzyło się dość niespodziewanie.

To był niezwykle trudny, ale też piękny i bogaty dla mnie okres. Przed wyjazdem z Polski biskup Kowalski zapowiedział, że muszę się liczyć z tym, że być może będę musiał szybko wracać do Pelplina. Ponieważ obecny wykładowca, ksiądz profesor Jan Stryczek jest bardzo chorowity, więc mam robić studia czym prędzej, bo jak umrze – muszę wracać, żeby go zastąpić. Ale jeżeli będzie żył, to mogę być w Rzymie, aż zrobię doktorat biblijny. Bo diecezja chełmińska nigdy nie miała doktora biblijnego. Zdecydowałem się więc na krok karkołomny – nie znając języka włoskiego postanowiłem zrobić licencjat w Papieskim Instytucie Biblijnym w ciągu jednego roku i zapisałem się od razu na drugi rok. Oznaczało to, że muszę nadrobić braki. Wymagało to ogromnie dużo wysiłku. Pracowałem także przez wakacje, nie zwiedzałem zabytków, jak inni. Całkowicie oddałem się nauce. Wykłady i egzaminy po łącznie to był dla mnie plus. Na kurs języka włoskiego nie było czasu, nauczyłem się go sam. Porozumiewałem się bez problemu, tylko z pisownią było gorzej. Ponieważ przyjechałem do Rzymu spóźniony, wszystkie seminaria były już zajęte. Jedyne wolne, z krytyki tekstu, było u profesora Carlo Martiniego, wtedy rektora Biblicum, późniejszego kardynała. Nikt nie chciał na nie iść, bo było rzekomo bardzo nudne. Tymczasem było to jedno z najciekawszych seminariów, w jakim kiedykolwiek uczestniczyłem. Profesor Martini należał do towarzystwa krytycznego, opracowującego wydanie Nowego Testamentu. Jako zespół przygotowywaliśmy materiał z nowo odkrytych tekstów biblijnych, które należało zaszeregować do określonej recenzji biblijnej. W oparciu o szczegółowe cechy tekstu, przygotowane przez studentów, profesor określał ich przynależność do właściwej, znanej dotychczas formy tekstu. Później Martini znów wpłynął na moje życie.

Ale licencjat został obroniony po roku, w zaplanowanym czasie?

Tak, w 1964 roku, ale po wakacjach, w sesji jesiennej czyli w drugim terminie. Na przygotowanie do niego musiałem poświęcić nie tylko cały rok, ale także dodatkowo całe wakacje, które spędziłem w klasztorze franciszkańskim w górach.

Czyli bez okazji do zasłużonego wypoczynku, nie mówiąc już o odwiedzinach w domu, w Polsce?

O wyjeździe do Polski przed ukończeniem studiów nie było mowy, przecież paszport pozwalał na jednorazowe przekroczenie granicy. Możliwości odwiedzin u rodziny nie było, zresztą inne kontakty w ówczesnych warunkach też były utrudnione. Trzeba było być przygotowanym na wieloletnie rozstanie z rodziną i z krajem. Obrazuje to historia z pewnym telegramem z Polski. Na dwa dni przed egzaminem dyplomowym z licencjatu biblijnego, na mój adres w Kolegium Polonorum przysłało telegram z Polski o krótkiej treści: *Matka zmarła Józef*. Koledzy pokazali go biskupowi Kazimierzowi Józefowi Kowalskiemu, z informacją, że to od mojego szwagra. Biskup stwierdził, że na pogrzeb i tak nie pojedę, bo paszport pozwala na jednorazowe przekroczenie granicy, a muszę najpierw skończyć studia, więc o telegramie powie mi po licencjacie. Odprawił w tajemnicy przede mną Mszę świętą żałobną za moją matkę. Ksiądz Ryszard Karpiński, mój kolega biblista, dzisiejszy biskup, który znał moją siostrę, wysłał do niej telegram następującej treści: *Serdeczne wyrazy współczucia w związku z bolesnymi wypadkami w rodzinie*. Gdy po zdanych egzaminach wróciłem do Kolegium, koledzy gratulowali, mówili że się cieszą, ale nikt nie patrzył mi w oczy. Czułem, że jakoś sztucznie się zachowują. Wreszcie ksiądz Adam Kubiś, późniejszy rektor Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie, wyjaśnił mi, o co chodzi: *Głupia sprawa, twoja matka nie żyje, a ty jeden o tym nie wiesz i nikt nie ma odwagi ci tego powiedzieć*. Poszedłem po wyjaśnienia do biskupa Kowalskiego, przerwałem mu obiad i spytałem o telegram. Pocieszył mnie słowami: *Widzisz, nauka potrzebuje ofiar, trzeba być na to przygotowanym. Odprawiłem już Mszę świętą, jutro ty odprawisz kolejną, nic więcej w takim wypadku zrobić nie można*. Wstał od stołu i wręczył mi telegram. Dopiero wtedy przeczytałem treść depechy i wyjaśniłem, że zmarła nie moja matka, lecz moich bliskich przyjaciół, która od dawna chorowała. Dlatego wcześniej ich prosiłem, żeby w wypadku śmierci mnie powiadomili, bo zamierzam odprawić Mszę świętą.

Gdy powiedziałem o tym biskupowi, uśmiechnął się i stwierdził: *Widzisz, ja zaraz tak myślałem*. Jednak na tym historia się nie skończyła. Telegram z kondolencjami z Rzymu siostra odebrała jako wiadomość o jakimś nieszczęściu, które mnie spotkało. Usiłowała się do mnie dodzwonić i udało jej się uzyskać połączenie dopiero po dwóch dniach oczekiwania, około drugiej w nocy. W kolegium był jeden aparat telefoniczny, zanim mnie odszukano i zawołano, wielu się obudziło. Siostra najpierw nie mogła uwierzyć, że rozmawia ze mną i że zaszło wielkie nieporozumienie. Myślała, że zginąłem w jakimś wypadku i stąd te *smutne wypadki w rodzinie*, dlatego długo się upewniała, czy to naprawdę ja jestem przy telefonie i czy nic mi się nie stało. Ale dobrze wszystko się skończyło, nie miałem o to do nikogo pretensji. Wyjechałem przecież na studia i musiałem je ukończyć. Pamiętałem, że byłem dopiero drugim z diecezji, po księdzu Januszu Pasierbie, który wyjechał na studia za granicę. Między innymi dlatego, choć miałem różne propozycje pozostania za granicą, z nich nie skorzystałem. Nie tylko dlatego, że powiedziałem że wrócę, ale ponieważ uważałem, że byłoby to głęboko nieuczciwe. A moja matka, choć ją w Rzymie już pochowali, żyła jeszcze ponad dwadzieścia lat i doczekała mojego powrotu z zagranicy.

Czy proponowano pozostanie w Rzymie, pracę w Watykanie?

Nigdy nie miałem żadnych propozycji z Watykanu, taka ewentualność nigdy nie wchodziła w grę. Miałem jednak bardzo konkretne propozycje w Niemczech. Byłem na zastępstwie w parafii i proboszcz zmarł. Przyjechał wikariusz generalny i powiedział: *Gdyby ksiądz chciał zostać na parafii – bardzo proszę*.

Ale Ksiądz Arcybiskup wrócił do Pelplina jako doktor, nie licencjat.

Po obronie licencjatu zaliczyłem rok doktorancki w Rzymie. W zakres studiów biblijnych wchodzi także pobyt przynajmniej przez jeden semestr w Palestynie, żeby poznać topografię biblijną, geografę, archeologię. Wystąpiłem więc do polskiej ambasady w Rzymie o pozwolenie na wyjazd do Palestyny. Nie udzielono mi go. Wiedziałem, że po powrocie do kraju będzie problem z ponownym uzyskaniem paszportu, więc nie chciałem ryzykować kolejnej odmowy. Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli nie skorzystam z tej możliwości teraz, to z Polski do Palestyny nie wyjadę. Pojechałem więc do

Palestyny z paszportem watykańskim. Miałem zamiar pójść na dwa miesiące do szkoły w Jerozolimie, Ecole Biblique, renomowanej uczelni francuskiej, prowadzonej przez Ojców Dominikanów.

Dwa miesiące to jeszcze nie semestr...

W Ecole Biblique trzeba było płacić chesne, a mnie udało się w Rzymie zaoszczędzić pieniądze zaledwie na opłacenie trzech miesięcy nauki.

Skąd polscy studenci mieli środki na utrzymanie podczas rzymskich studiów?

W Rzymie pełne stypendia w postaci wyżywienia, mieszkania i opłaty za studia fundowała nam Polonia amerykańska i inne podobne instytucje. Pieniądze na drobne wydatki, czyli tak zwane kieszonkowe, można było zdobyć z intencji mszalnych. Natomiast trzeba było zarobić pieniądze na wydrukowanie pracy doktorskiej czy na utrzymanie w Palestynie. Jedynym ratunkiem dla nas było przyjmowanie w wakacje zastępstw w parafiach, najczęściej niemieckich. To duszpasterstwo nie było zbyt absorbujące, a mieliśmy na miejscu wyżywienie i dach nad głową. Moje pierwsze zastępstwo było we Francji, dokąd pojechałem zastąpić księdza Witolda Kiedrowskiego, też jak ja, z diecezji chełmińskiej. Wtedy też rozpocząłem intensywną naukę języka francuskiego.

Te rzymskie oszczędności w Palestynie pewnie na długo nie wystarczyły ...

Mieszkając w Jerozolimie dowiedziałem się, że istnieje tam także szkoła franciszkańska, Studium Biblicum Franciscanum, afiliowana do Papieskiego Ateneum Antonianum w Rzymie. Tu franciszkanie dawali utrzymanie czyli mieszkanie i wyżywienie za Msze święte odprawiane w ich intencji. Na dodatek można było zrobić kompletne studium z archeologii Palestyny a nawet doktorat z teologii. Ponieważ ten doktorat można było uzyskać szybciej niż biblijny, a mnie groził przedwczesny powrót do Pelplina, napisałem do biskupa prośbę o zgodę na zrobienie doktoratu z teologii w Jerozolimie. Dostałem zgodę na podjęcie dwuletnich studiów z archeologii i jednocześnie zrobienie doktoratu. To były bardzo ciekawe studia. Udało mi się uzyskać doktorat

z teologii biblijnej w ciągu dwóch lat. Znalazłem też dodatkowe źródło na zarobienie kieszonkowego. W wolnym czasie wynajmowałem się jako tak zwany kwalifikowany przewodnik dla pielgrzymów, zwłaszcza angielskich i niemieckich, bo znałem te języki. Zdarzało się, że zatrudniali nas, studentów, dodatkowo, obok przewodnika arabskiego, bo pewnie więcej mogliśmy powiedzieć na temat historii ziemi czy religii i innych problemów. W tamtych latach studenckich byłem pewnie najbiedniejszy w życiu, jak przystało na przybranego franciszkanina, ale zaznałem wiele życzliwości od ludzi.

Czy studenci mieli możliwość zwiedzenia i poznania Ziemi Świętej?

W programie studiów były topografia i badania archeologiczne, raz w tygodniu zajęcia odbywały się w terenie. Miałem więc okazję dosyć gruntownie poznać Palestynę, jej dzieje i archeologię. Mieliśmy także ćwiczenia na wykopaliskach, które prowadzili ojcowie franciszkanie. Wprawdzie nigdy nie byłem pasjonatem fotografowania, ale robiąc dokumentację fotograficzną, wykonałem też bardzo wiele przeźroczy. Te zdjęcia były w tamtych czasach unikalne, bo w Polsce nie było żadnych innych źródeł ilustracyjnych, poza niektórymi ograniczonymi i z reguły przestarzałymi publikacjami naukowymi. Bardzo często korzystałem z nich po powrocie do Polski, zwłaszcza podczas pierwszego okresu moich wykładów. Przywiozłem kilka tysięcy slajdów, prezentowałem je na zajęciach dydaktycznych, a także w kościołach, na przykład podczas nabożeństw pasyjnych, oraz podczas uroczystości. Te zdjęcia dzisiaj, przy obecnej technologii, są już nieco przestarzałe. Podczas dwuletniego pobytu w Palestynie narodziła się moja wielka miłość do niej jako ziemi Pana i trwa nieprzerwanie do dziś. Kiedyś oprowadzałem po niej pielgrzymki, w lutym 2012 roku prawdopodobnie po raz ostatni pojedę tam z uczestnikami kolejnej. Na pielgrzymkę zaprosił mnie przewodniczący Instytutu Studiów dla Świeckich z diecezji chełmińskiej, który kiedyś zakładałem i któremu patronowałem. Instytut obchodzi obecnie dwudziestopięciolecie swego istnienia. Zamierzamy odwiedzić najważniejsze miejsca dla chrześcijaństwa, leżące dziś w Izraelu. Obawiam się, że na Jordanię nie starczy już czasu.

A nie przychodziło Księdzu Arcybiskupowi do głowy, żeby przedłużyć swój pobyt tam i oddać się na miejscu studiom nad Biblią?

To, po co przyjechałem do Palestyny, już uzyskałem, więc chciałem wracać do Rzymu kontynuować doktorat biblijny. Niestety, skończyła się ważność mojego polskiego paszportu. Byłem po arabskiej stronie Jerozolimy, jeszcze przed jej podziałem, więc w Jordanii. Groziło mi, że zostanę banitą. Władze dały mi tydzień na opuszczenie ich kraju. Kustosz Ziemi Świętej interweniował w mojej sprawie u władz Jordanii, i wyjednał dla mnie residence permit czyli prawo stałego pobytu. Mogłem więc zostać emigrantem w Jordanii, ale nie mogłem stamtąd wyjechać, bo nadal nie miałem polskich dokumentów. Nigdy nie brałem pod uwagę możliwości przyjęcia obcego obywatelstwa, jednak bez ważnego paszportu nie mogłem opuścić Jordanii. Pojechałem więc do Ambasady Polskiej w Ammanie, ale wydział paszportowy był w Libanie, a tam także nie mogłem pojechać bez paszportu. Konsul z Ammanu starał się mi pomóc, telefonował przy mnie do Libanu, że jest ksiądz na studiach, bez ważnych papierów i czy można pomóc. Nie wiem, jaka była odpowiedź. Za jakiś czas delegacja z ambasady przyjechała do Jerozolimy i na prośbę konsula służyłem za przewodnika. Przez dwa dni nikt nic nie wspominał o moim paszporcie, ale na pożegnanie pan ambasador dyskretnie zapytał, jakie rozwiązanie mnie urzęda i czy wystarczy mi paszport konsularny. Potwierdziłem z radością. Po odbiór paszportu pojechałem do ambasady w Ammanie z przeorem klasztoru franciszkanów. Poczęstowano nas kawą, a przeor mówi, że jego w ambasadzie nigdy nie poczęstowano. *Coś tu jest nieprawdziwe, albo wasz katolicyzm albo komunizm* – dziwił się. Skoro uzyskałem paszport konsularny, mogłem wrócić do Rzymu. Mój doktorat obroniłem w Jerozolimie w 1967 roku tuż przed wojną sześciodniową. Przeżyłem ją w Jerozolimie, byłem świadkiem jak Żydzi zdobyli starą Jerozolimę. Można było wtedy uzyskać prawo stałego pobytu. Jeszcze w czerwcu wróciłem do Rzymu i rozpocząłem pracę nad dokończeniem doktoratu z nauk biblijnych.

W Palestynie byli także inni Polacy, na przykład studiujący księża?

W Ecole Biblique studiował w tym samym czasie obecny ksiądz profesor Michał Czajkowski i dominikanin ojciec Franciszek Gołębiowski. Byliśmy jedynymi Polakami studiującymi wtedy w Jerozolimie (w arabskiej Jordanii). Przez te dwa lata pobytu w Jerozolimie spotkałem chyba dwóch księży z Polski, którzy na dodatek jako pielgrzymi z Polski byli tam półlegalnie. Częściej spotykałem jednak pracowników polskiej ambasady. W Ammanie jedna z pracownic ambasady powiedziała mi, że jej dziecko nie było jesz-

cze u Komunii świętej, a tu kraj arabski, ambasada komunistycznego kraju, nic nie można zrobić i czy mogę pomóc? Pomogłem, poprosiłem przeora klasztoru franciszkanów o zgodę, dyplomaci z dzieckiem przyjechali do Jerozolimy. Chłopiec przystąpił do Komunii świętej w zamkniętej kaplicy, przed wyjściem się przebrał, żeby nikt nic nie widział. Nie spotkałem więcej tego chłopca, ciekawe, jak potoczyło się jego życie?

Czy wtedy, podczas pobytu w Jerozolimie, Ksiądz Arcybiskup nawiązał kontakty z Żydami, przydatne później w okresie dialogu z judaizmem?

Mieszkałem w Jerozolimie po stronie arabskiej i nie miałem żadnych kontaktów z Żydami. Podczas dwuletniego pobytu byłem w Izraelu tylko dwukrotnie. Do 1967 roku w Jerozolimie współistniały dwa światy, żydowski i arabski, łączyło je tylko jedno przejście – Brama Mendelbauma. W tamtym czasie nie można było odwiedzić Izraela, jeżeli się chciało kiedykolwiek pojechać do krajów arabskich. Izraelski stempel w paszporcie zamykał taką możliwość. Można jednak było przekroczyć Bramę Mendelbauma „dla celów religijnych” i skorzystałem z tej możliwości. Odwiedziłem Wieczernik i zwiedziłem sanktuaria w Galilei.

Po odzyskaniu polskich dokumentów i powrocie do Rzymu znów wrócił temat doktoratu biblijnego?

Przecież w tym celu zostałem wysłany do Rzymu. Podjąłem badania biblijne i okazało się, że trzeba w nich uwzględnić rękopisy z Qumran. W Rzymie nie było żadnego specjalisty w tej dziedzinie i promotor polecił mi jechać do Heidelbergu do profesora Karla Geорга Kuhna, założyciela i kierownika Instytutu Badań Qumranistycznych, jedyne w Europie. Sam profesor Kuhn zainterweniował u biskupa katolickiego w Stuttgardzie, żeby mi znalazł godne miejsce i żebym mógł tam kontynuować pracę. Dzięki niemu otrzymałem miejsce do zamieszkania przy parafii w Neckargemuend. W czasie pobytu w Niemczech wypadło mi wypełnić kwestionariusz, 27 rubryk. I okazało się, że przy tej niemieckiej dokładności nie mieszczę się w żadnej kategorii. Nie byłem ani studentem, ani pracownikiem naukowym, ani wikariuszem, ani pomocą duszpasterską, aż wreszcie zobaczyłem ostatnią – pozostali chrześcijanie. Pasowałem do tej ostatniej i jestem z tego dumny. W Heidelbergu

przypominałem, że jestem u nich jako „pozostali chrześcijanie”, ale mimo wszystko chrześcijanin. Instytut istniał przy uniwersytecie protestanckim i ja byłem tam jedynym księdzem katolickim wśród protestantów, baptystów i Żydów.

Co zawierają rękopisy z Qumran?

To najstarsze odnalezione zwoje, zawierające fragmenty dotychczas najstarszych i częściowo nieznanych fragmentów Starego Testamentu oraz wiele innych tekstów hebrajskich i aramejskich z czasów Starego i Nowego Testamentu, które mogą być pomocne do lepszego zrozumienia zarówno tekstów biblijnych, jak i środowiska, czasów i miejsca działania Chrystusa i apostołów.

Jak przyjęto katolickiego księdza na protestanckiej uczelni?

Od profesora Kuhna zaznałem dużo życzliwości. Zaczęło się tak, że mu przedstawiłem moją pracę, gdy zorientował się co robię, poznał cel przyjazdu, powiedział: *No to chodźmy do restauracji, tam możemy porozmawiać.* I tam pytał: *Ma ksiądz słownik i komentarz? Nie mam. A konkordancję? Nie mam. A myśli ksiądz poważnie? No myślę poważnie.* Powiedział, że praca jest nie do zrobienia w tych warunkach, ale gdy się zorientował, że włożyłem już wiele wysiłku w przygotowany tekst, przyjął mnie. Byłem na warunkach honorowych, ale – poza płacą – traktowany na równych prawach z pozostałymi pracownikami. Poziom wiedzy tego zespołu był bardzo wysoki, a ja, ściśle mówiąc, nie tyle miałem badać te dokumenty, co konsultować i weryfikować je w zakresie mojego tematu. Zajmowałem się wtedy metaforą fundamentu i treściami, które na przełomie Starego i Nowego Testamentu łączyły się z tą przenośnią. Opinie fachowców na temat tekstów pomogły mi w uzupełnieniu uszkodzonych fragmentów. I tam, wśród protestantów, przeżyłem moje drugie nawrócenie. Pan Bóg do mnie wtedy na nowo przemówił.

Poprzez teksty z Qumran?

Poprzez Biblię. Zanim zaczęliśmy pracę i dyskusję nad tekstami, zauważyłem, że niektórzy czytają taką niewielką książeczkę. Pytam: *Co czytacie?* No i okazało się, że to był tak zwany „Losungsbuch”. Mała książeczka, w któ-

rej umieszczono cytaty losowo wybrane na każdy dzień, protestanci stosują je w osobistym życiu jako pokarm duchowy. Bardzo mi zaimponowało, że oni nie tylko prowadzą prace naukowe, ale i żyją Biblią. Wtedy Duch Święty mocno do mnie przemówił, a ja się z nim prawowałem. Pierwszą moją odpowiedzią było, że to zwyczaj protestancki, a więc nie jest dla mnie, mnie nie obowiązuje. W gruncie rzeczy odczuwałem jednak, że to jest nieuczciwe, by nie powiedzieć że to oszukiwanie samego siebie. Były to przecież teksty biblijne, które wiążą każdego wierzącego chrześcijanina. Był to moment zwrotny w moim życiu osobistym i kapłańskim. Uświadomiłem sobie, że nie trzeba tych tekstów losować. W Kościele katolickim po soborze otrzymuję każdego dnia porcję tekstów biblijnych, które służą dokładnie temu samemu celowi, mają być pokarmem i światłem na drodze mojego życia. Odtąd stanowią one trwałe fundament mojego wartościowania i działania. Każdego dnia w Biblii znajduję motyw żeby żyć i pracować.

Czy profesor Kuhn miał rację, że nie da się ukończyć pracy „w tych warunkach”?

Zasadniczo tak. Na pewno nie w warunkach pracy parafialnej. Z przyczyn niezależnych ode mnie już w 1968 roku musiałem wrócić do Polski, przejąłem wykłady w Pelplinie, zająłem się duszpasterstwem, popularyzacją biblijną. Doktorat z nauk biblijnych nadal był niedokończony. Po dwóch latach wróciłem do Rzymu, na Biblicum, żeby dokończyć pracę. Doktorat biblijny jest bardzo rzadki, byłem jednym z pierwszych doktorów po wojnie. Egzamin był bardzo trudny, obejmował obok obrony tezy doktorskiej także tak zwane *lectio exetica* czyli wykład prowadzony w obecności promotora i egzaminatorów. Temat dostaje się o ósmej rano, o dziesiątej ma miejsce wykład w auli, w obecności wszystkich profesorów, a po nim jest obrona. Ówczesnym rektorem był późniejszy kardynał Martini, przewodniczył wtedy, ale doktorat pisałem u Amerykanina, profesora Thomasa Franxmana. On jedyny zajmował się pismami qumrańskimi. Wtedy Martini powiedział żartobliwie: *Mam jedno przeciw tobie – że opuściłeś moje seminarium*. Uznaję go za swego mistrza, ale mam świadomość, że nie dorastam do niego. Spotykaliśmy się na wszystkich synodach. Dziś chlubię się, że był moim mistrzem i mogę wyznać, że do obecnej chwili łączą mnie z nim serdeczne więzi.

Z pierwszego wyjazdu za granicę Ksiądz Arcybiskup wrócił do Polski dopiero po pięciu latach. Co Ksiądz Arcybiskup przywiózł z tego wyjazdu?

W porównaniu z tym z czym wyjechałem – bardzo dużo. Zarówno w sensie przenośnym, jak dosłownym, materialnym. Wyjeżdżałem z Polski z trzema słownikami w walizce, wracałem z trzema skrzyniami książek. Mój majątek stanowiły głównie książki, gromadzone przez te lata. Wydawałem na nie wszystkie zarobione pieniądze, dostawałem je też w prezencie. Załadowałem je w wielkie skrzynie, takie w dawnym stylu z półokrągłym wiekiem i nadałem tę przesyłkę na pociąg towarowy. To był jedyny sposób transportu, jaki wtedy przyszedł mi do głowy i na dodatek najtańszy.

Za to chyba bardzo powolny?

Tak, dojechały do Gdańska po kilku miesiącach. Wykładałem wtedy w Pelplinie i dostałem zawiadomienie z Urzędu Celnego, że mam się stawić na stację kolejową w Sopocie, żeby je odebrać.

Tak bez problemu, bez kontaktu z cenzurą można było odebrać transport książek z Zachodu?

Oczywiście, że nie. Przychodzę na odprawę, a tam kolejarz, taki dość mocno podchmielony, mówi: *Proszę księdza, mój szwagier zmarł, wczoraj z nim rozmawiałem, a dzisiaj już się nie rusza, nie żyje. A tak żeśmy dobrze żyli, dziś leży nieżywy.* I wtedy wchodzi celnik, a ten kolejarz mówi do mnie na głos: *Serdecznie współczuję, dali księdzu najgorszego ubowca w całym województwie* (ubowiec albo ubek – funkcjonariusz Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, od 1956 Służby Bezpieczeństwa – przypis autora). Tenże ubowiec usłyszał to i dał mi najpierw pouczenie, że wolno przewieźć dwadzieścia tytułów. I spytał, jak uporządkujemy te książki, są przecież trzy kufry. Odpowiedziałem, że zobaczymy i zaproponowałem, żeby zacząć od całych serii. No i wziąłem jako pierwszy leksykon, dwanaście tomów. On wpisał: Leksykon, dwanaście tomów. Druga pozycja – czternaście tomów. To chyba był Słownik Starego Testamentu. I w ten sposób przebrnęliśmy przez pierwszą skrzynię, ale mieliśmy już kilkanaście pozycji, a tam jeszcze stały dwie kolejne. Otworzyliśmy drugi kufer. Spytał: *Co tutaj jest?* – *Dzieła wybrane z teologii biblijnej, leksykografia biblijna.* Zapisał: „Dzieła wybrane z teologii

biblijnej.” Została trzecia skrzynia. *Co zrobimy z resztą? Przepisy mówią, że można przewieźć tylko dwadzieścia pozycji.* Ja na to: *Proszę pana, coś musimy z tym zrobić, bo została tylko drobica.* – *To zapiszmy: „Drobica.”* I tak wpisał. Tak przeszły trzy skrzynie przy dwudziestu pozycjach. Gdyby ten kolejarz tego nie powiedział, to jestem przekonany, że urzędnik by mnie potraktował inaczej. Ale ponieważ kolejarz tak go określił, chciał pokazać, że jest człowiekiem, że nie jest najgorszy. Takie to były czasy. Mówię to, żeby pokazać, że w tych warunkach też spotykaliśmy ludzi. Gdy wracałem z drugiego wyjazdu do Rzymu, musiałem jechać przez NRD. Skontrolowali mi prawie wszystkie książki na granicy, ale nie zauważyli jednej, pod tytułem „Der uberholte Marks” czyli przestarzały Marks, z dedykacją pastora protestanckiego. Wjechałem na polską stronę, polski celnik mówi: *Proszę księdza, tak księdza energowcy przetrzepali, że możemy czuć się zwolnieni z obowiązku, ale musimy obejrzeć, bo oni patrzą.* No i zagląda, a tam jako pierwszy leży ten Marks, bo oni je chyba przekładali, czy też ja go tam położyłem po kontroli. Patrzy, że ten Marks leży na wierzchu i mówi: *Katolicki ksiądz i marksistowskie książki, czego oni chcieli od księdza?*

Czy podczas drugiego wyjazdu do Rzymu nie było już problemów z otrzymaniem paszportu?

Oczywiście, że były. Zaraz po powrocie czekała mnie bolesna przeprawa z ubowcami. Po wojnie sześciodniowej ratowało mnie tylko to, że byłem wtedy po stronie jordańskiej. Mówili, że wiedzą, co robiłem. Gdy chciałem wyjechać drugi raz, namawiano mnie, żebym podpisał współpracę. Ja się nie zgodziłem. Wiedzieli, że miałem pracę gotową i mówili: *Widać, że księdzu na tym nie zależy.* A ja na to: *Bardzo mi zależy, bo to są lata mojej pracy. Ale nie za wszelką cenę.* Bardzo na mnie naciskali, bo wiedzieli, że sytuacja jest przymusowa, ale się nie poddałem. Nie zgodziłem się też na żadne spotkanie z tym panem, który mi to proponował. A jednak dostałem paszport i pojechałem na obronę do Rzymu. Wszystko to dla mnie samego było niezrozumiałe i zagadkowe. Tajemnica wyjaśniła się zupełnie niedawno. Kiedy się dowiedziałem, że zakwalifikowali mnie jako tajnego współpracownika; szlag mnie trafił. Przecież nigdy, w żaden sposób nie zgodziłem się na żadną formę współpracy i nigdy nie skorzystałem z żadnego zaproszenia na spotkanie w kraju czy za granicą. Dotknęło mnie to bardzo i postanowiłem, że tę sprawę muszę wyjaśnić niezależnie od tego, ile to będzie kosztowało. Jedyne ślad

prowadził do mojego „ziemskiego opiekuna”, który wydawał mi paszporty. Swego czasu, gdy nie zgodziłem się na spotkanie z nim, dał mi swoją wizytówkę na wypadek, gdybym zmienił zdanie. Z oferty podjęcia współpracy nie skorzystałem, ale wizytówka pozostała.

Udało się odszukać tę wizytówkę po tylu latach?

Była w stosie moich dokumentów z czasów pracy z Akademią Teologii Katolickiej, które ciągle nieuporządkowane czekają na lepsze czasy. Właśnie wśród nich natknąłem się na nią, a ona otworzyła mi drogę.

Poszedłem pod adres z wizytówki, ale nie zastałem tam człowieka, którego szukałem. Rozmawiałem z kimś przez domofon, przedstawiłem się pełnym tytułem i prosiłem usilnie: *Gdybyście państwo mogli pomóc, będę ogromnie zobowiązany*. Tłumaczyłem, że chodzi o mnie, o bardzo ważną dla mnie sprawę. Widocznie z mojej intonacji rozmówca zorientował się, że dla mnie sprawa jest rzeczywiście ważna. Przy jego życzliwej pomocy udało mi się następnego dnia spotkać z poszukiwanym przedstawicielem dawnej władzy. Rozmowa była krótka i zasadnicza. Zapytałem, jak to się stało, że zostałem zakwalifikowany jako TW, co jest zaprzeczeniem mojego powołania i zdradą Kościoła. Usłyszałem: *Chciałem księdzu pomóc, bo odmówiono księdzu paszportu. Wiem, że było to bez księdza wiedzy i zgody*. Zapytałem, czy może mi to poświadczyć. Odpowiedział, że tak, ale wyłącznie dla władz kościelnych. Wziął kartkę papieru i napisał wyjaśnienie. Prosił, żeby nie ujawniać jego nazwiska. Taką obietnicę dałem i zamierzam jej dotrzymać. W pełni doceniam ten gest, w sytuacji tak trudnej dla mnie wyszedł mi naprzeciw. Być może odczuwa dziś brzemień swej dawnej przeszłości i dlatego zgodził się dać świadectwo prawdzie. Trudno nie docenić tego gestu. Mówię o tym bez żenady, bo nie mam czego ukrywać. Wielu nie ma możliwości weryfikacji. Już prawo rzymskie stanowiło niekwestionowaną zasadę: *audiatur et altera pars* czyli: *należy wysłuchać także drugiej strony*.

Potworną krzywdę wyrządza się wielu, uznając za prawdę to, co zapisano w aktach ubeckich. Co w nich napisali o mnie – tego nie wiem, ale ja za to nie ponoszę odpowiedzialności. Ponoszę odpowiedzialność za to, co zrobiłem. Nie mogę zrozumieć, że w Polsce niedopracowano się metod uczciwej weryfikacji dokumentów sporządzonych przez wrogów Kościoła dla własnych celów.

Profesor Pisma Świętego

Jak to się stało, że po powrocie z Rzymu Ksiądz Arcybiskup trafił do Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie? Przecież było ustalone, że ksiądz-bibliista po rzymskich studiach ma wrócić do Pelplina.

I wróciłem. Rektor profesor Stępień zaprosił na ATK kardynała Martiniego, jako rektora Papieskiego Instytutu Biblijnego i jako biblistę. Od niego dowiedział się o mojej obronie doktorskiej, która miała miejsce w Rzymie. Rektor ATK zwrócił się do mnie, czy nie zechciałbym obok Pelplina, podjąć także wykładów w Warszawie. Zaoferował mi po prostu etat. Oznaczało to dla mnie dodatkowy ogromny wysiłek, bo działalność dydaktyczna zajmowała mi wiele czasu. Miałem więc dwa pełne etaty, w Pelplinie i w Warszawie. Na pracę naukową już nie było zupełnie czasu, bo trzeba się było przygotowywać do zajęć i pokonywać odległość prawie 300 kilometrów. Ale władze uczelni wyszły mi naprzeciw w tym sensie, że w Warszawie dostałem zajęcia na zaocznych studiach, gdzie godzina dydaktyczna liczyła się za półtorej jednostki. Dzięki temu nominalnie miałem trochę mniej tych godzin, ale i tak sporo. Etat adiunkta, od którego wówczas zaczynałem, wynosił tygodniowo 9 godzin na ATK, a w Pelplinie miałem 12 godzin zajęć tygodniowo. I to na początku mojej działalności jako wykładowcy. Jeśli ktoś ma wyobraźnię, to wie, co to znaczy. Zajmowałem się też popularyzatorstwem Biblii w ramach diecezji, podczas spotkań diecezjalnych duchowieństwa, prowadzonych pod kierownictwem biskupa Zygryda Kowalskiego, jeździłem z wykładami ilustrowanymi przezroczami po seminariach.

Uczonego po takich wszechstronnych i rzadkich studiach nie chciały pozyskać także inne uczelnie, nie było propozycji z ich strony?

Miałem takie propozycje, również z Lublina, ale ja chciałem pozostać w Pelplinie, więc wybrałem Warszawę, do niej było najbliżej. A miejsce w Lublinie na KUL-u zajął kolejny pelpliński biblista, dzisiejszy biskup diecezji pelplińskiej Jan Bernard Szlaga.

Mimo tych rozlicznych zajęć dydaktycznych znalazł się jednak czas na pracę naukową. Powstała przecież praca habilitacyjna, oparta na badaniach tekstów qumrańskich.

Habilitacja była w pewnym sensie kontynuacją dotychczasowych badań i zastosowaniem ich do interpretacji metafory fundamentu w Nowym Testamencie. Zamierzałem też napisać monografię o Słowie Bożym, ponieważ przebywałem w środowiskach protestanckich i jakoś mnie to uwrażliwiło na ten problem, ale też przysporzyło trochę kłopotów. Posądzano mnie o protestantyzm i chęć protestantyzacji biblistyki polskiej. Były to jednak sporadyczne przypadki. Natomiast miałem świątłego biskupa, przed którym mogłem się z tego wytłumaczyć.

I dlatego nazywano wtedy Księdza Arcybiskupa „profesorem od Pisma Świętego”? Ten przydomek powstał w seminarium czy na ATK?

W Pelplinie. Nie uważam, aby dziś było to zbyt pochlebne i nobilitujące określenie, gdyż obecnie nie można być specjalistą od całej Biblii, podobnie jak w innych dyscyplinach. Wykładałem różne przedmioty. W Pelplinie najogólniej Nowy Testament, egzegezę Nowego Testamentu i teologię biblijną. Ciekawe, że byłem pierwszym wykładowcą teologii biblijnej w czasie istnienia tego seminarium, bo teologii biblijnej w seminariach katolickich nie było. U protestantów teologia biblijna pokrywa się w dużym stopniu z naszą teologią dogmatyczną. A ponieważ posądzano mnie o protestantyzację, biskup napisał do profesora Edwarda Szymanka w Poznaniu, czy taki przedmiot w seminarium katolickim jest potrzebny. Profesor Szymanek, mój kolega ze studiów w Lublinie, dał pozytywną opinię i tak mogłem podjąć wykłady nie tylko z egzegezy, ale i teologii biblijnej. Natomiast w Warszawie przejąłem wykłady ze Starego Testamentu. Tam miałem wprowadzenie do Starego i Nowego Testamentu, a potem przejąłem także katedrę Starego Testamentu

po profesorze Czesławie Jakubcu i zastępczo katedrę archeologii biblijnej ze względu na moje studia w Jerozolimie.

Akademia Teologii Katolickiej, mimo swej nazwy, początkowo nie była zbyt dobrze oceniana przez środowisko kościelne.

Wielu patrzyło podejrzliwie na Akademię, bo została erygowana jednostronnie przez władze państwowe kosztem innych wydziałów teologicznych. W zamierzeniu władz komunistycznych ta uczelnia miała być rodzajem katolickiego Zagorska. Po likwidacji wydziałów teologicznych w Krakowie, Warszawie, Poznaniu i wydziału teologii jezuitów była to druga instytucja potrzebna między innymi po to, żeby można było robić doktoraty na KUL-u. By zrobić doktorat potrzebny jest recenzent z innej uczelni, która ma prawa państwowe. A takiej uczelni poza KUL-em nie było. Pomimo, że ATK nie miała pełnego uznania ze strony Stolicy Apostolskiej, kardynał Wyszyński jako wielki kanclerz, za zgodą Rzymu firmował katolicki wymiar tej uczelni. Na obronie każdego doktoratu był jego osobisty przedstawiciel, a każdy doktorat musiał być zatwierdzany przez wielkiego kanclerza. Mądrość kardynała Wyszyńskiego polegała na tym, że swoją osobą gwarantował katolickość uczelni państwowej. Gdyby nie był wielkim kanclerzem i gwarantem katolickości uczelni, także na KUL-u nie można by było robić doktoratów. A o stosunku niektórych duchownych do ATK świadczy uwaga jednego z moich kolegów, który ostrzegał mnie: *Kolego, jeśli myśleliście o karierze kościelnej, nie pchajcie się tam.* Ja odpowiedziałem, że nie myślę o takiej karierze. Życie czasami przynosi niespodzianki.

Czy w czasie i po stanie wojennym Akademia było miejscem działania opozycji, czy tam ujawniali się działacze opozycyjni?

Napięcie i atmosfera stanu wojennego znajdowała swoje odbicie wszędzie, także w ATK. Z różnych względów, ATK żyła trochę na uboczu wydarzeń politycznych. Przed stanem wojennym i w trakcie odczuwaliśmy olbrzymie napięcie, które przeżywaliśmy razem z młodzieżą. Proszę pamiętać, że w sąsiedztwie był kościół świętego Stanisława na Żoliborzu, gdzie skupiała się opozycja i pracował ksiądz Jerzy Popiełuszko.

Co się działo w ATK 13 grudnia 1981 roku?

W tym czasie, kiedy ogłoszono stan wojenny, byłem dziekanem wydziału teologicznego

Akurat prowadziłem zajęcia dla studentów zaocznych, bo oni mieli wykłady w niedziele. Rano przygotowywałem się do wykładów. O godzinie dziewiątej była transmisja Mszy świętej przez radio z kościoła świętego Krzyża. Lubiłem posłuchać homilii, więc włączyłem radio i usłyszałem, że przemawia Jaruzelski. Pomyślałem, że nie te fale i przełączyłem program – Jaruzelski. Jeszcze jeden – to samo. Uznałem, że nowe radio, a już się zepsuło. Wyłączyłem radio i pracowałem dalej. Gdy wychodziłem na zajęcia, sąsiad powiedział, że mamy wojnę. Pytam: *Panie, z kim?* – *No właśnie, tego nie powiedzieli. Chyba z całym narodem.* Wyszedłem na ulicę i zobaczyłem czołgi. Przeżyłem największy szok mojego życia. Na kazanie wybrałem sobie motyw: *za wszystko dziękujcie Panu Bogu.* Chciałem powiedzieć, że nie tylko za radosne, ale i smutne, bolesne rzeczy. Powinniśmy do nich dorastać. Wyszedłem na ulicę i mówię: *Panie Boże, za to też mamy dziękować?* Wychodziłem na mszę bezradny, z postanowieniem, że nic nie powiem, bo nie wiedziałem jak zareagować. Ale uświadomiłem sobie, że przecież dziękować nie należy za stan wojenny, ale za to, że Bóg jest z nami, że nie jesteśmy sami. Do dziś pamiętam to jako ważne wydarzenie w moim życiu. Tak sobie myślałem: *Jaki z ciebie prorok, kiedy nie masz nic do powiedzenia w momencie, w którym młodzież najbardziej tego oczekuje od ciebie.* I to co powiedziałem, było prosto z serca. To był taki moment światła i mocy Ducha Świętego. Młodzież później kilkakrotnie wracała do tego. Tego dnia, jako dziekan, byłem „najwyższą władzą” w uczelni, nie było rektora, łączność telefoniczna zerwana. Zarządziłem wykłady do południa, a po obiedzie rozpuściłem słuchaczy do domów, bo nie było wiadomo, czy pociągi jeżdżą, więc niech się ratuje każdy jak może. Trudny okres, ale mimo wszystko w tym czasie zrobiłem habilitację. Tak, to był najbardziej pracowity okres w moim życiu, człowiek był młody i mógł sobie jeszcze na wiele wysiłku pozwolić.

W latach osiemdziesiątym został Ksiądz Arcybiskup docentem, profesorem, dziekanem na ATK. Kariera naukowa w Warszawie stawała otworem?

Nie tak zupełnie. Gdy dostałem profesurę, głównym problemem było dla mnie to, że nie miałem mieszkania w Warszawie. Główną troską było to,

żeby się usamodzielnic. Przez lata mieszkałem w pokoju gościnnym w ATK, u redemptorystów, u dominikanów. Gdy zmarł mój serdeczny przyjaciel, który miał kawalerkę, dostałem po nim to mieszkanie. Nie mogłem starać się o mieszkanie, nie będąc zameldowanym. Pomógł mi w tym ksiądz Pasierb. Zameldowałem się u niego fikcyjnie. Był człowiekiem ogromnie ciekawym, oryginalnym i to pod każdym względem. Wyjątkowo utalentowany jako profesor, uczony, artysta, poeta, teolog i na domiar wszystkiego ksiądz katolicki. Dopiero gdy ktoś poznał księdza Pasierba bliżej, mógł doświadczyć, że kolejność powinna być odwrócona. Był w pierwszym rzędzie księdzem i to w każdym calu. Duchowo był mi bardzo bliski. Była taka szczęśliwa komplementarność. Jako historyk sztuki uwrażliwiał mnie na piękno, a równocześnie bardzo interesował się Biblią. To był ten czas, kiedy zaczął pisać wiersze, w stosunkowo późnym wieku. Pytał mnie, czy kiedykolwiek pisałem wiersze. Gdy odpowiedziałem, że nigdy, nawet nie miałem pokusy, mówił: *Jaki ty jesteś szczęśliwy!* Widziałem, z jakim wysiłkiem pisał, jak się wewnętrznie z sobą mocował. Mnie się wydawało, że poeta pisze w natchnieniu. A on pisał z wielkim wysiłkiem. Towarzyszył mi w najważniejszych momentach życia. Przyjął mnie na mieszkanie, reprezentował grono moich kolegów na moich święceniach biskupich. Na święcenia bierze się jednego z grona wychowawców i drugiego spośród kolegów. U niego usłyszałem przez radio wiadomość o nominacji na biskupa. Dzieliliśmy wszystkie ważniejsze momenty, zwłaszcza stan wojenny połączył nas bardzo mocno. On był dla mnie jedyną odskocznią, mogłem z nim szczerze i bezpośrednio porozmawiać. No i razem z nim przeżywałem zamach na papieża.

Proszę o tym opowiedzieć.

Ponieważ obaj z księdzem Pasierbem dojeżdżaliśmy do Pelpina, tak zsynchronizowaliśmy wykłady, żeby razem jeździć na nie z Warszawy samochodem. Nasza trasa prowadziła między innymi przez Grudziądz. Mieliśmy sobie tyle do powiedzenia, że nawet nie włączałem radia. On czytał swoją poezję, poruszaliśmy tematy biblijne. Często jechałem po sześciu – ośmiu, czasem dziesięciu wykładach, byłem zmęczony. Zaproponowałem, że wstąpimy do sióstr elżbietanek w Grudziądzu, bo tam jest moja studentka. Wchodzimy rozbawieni, weseli, a siostra otwiera zapłakana. – *Był zamach na papieża!* – *Żyje?* – *Nie wiadomo.* Wtedy Pasierb powiedział: *Idziemy do kaplicy i nie*

wyjedziemy, aż się nie dowiemy. Wyjechaliśmy dopiero, gdy przyszła wiadomość, że papież przeżył zamach.

W jakich okolicznościach otrzymał Ksiądz Arcybiskup wiadomość o nominacji biskupiej?

To było całkowite zaskoczenie. Dostałem zaproszenie do prymasa Glempa. Czas był niespokojny, rok 1985, byłem przekonany, że mnie woła jako dziekana, bo coś musiało się zdarzyć w Akademii i pewnie dostanę jakąś reprimendę. Dopiero gdy czekałem w rezydencji prymasa na Miodowej i poprosił mnie po raz pierwszy do góry, do siebie, trochę się zdziwiłem. Nigdy tam nie byłem, a z prymasem znaliśmy się jeszcze z czasów naszych studiów w Rzymie.

Gabinet prymasa jest u góry, na piętrze?

Gabinet prywatny. Myślałem sobie: jest po południu, prymas nie chce zejść, a może coś innego. Wiadomość, że mam zostać biskupem, całkowicie mnie zaskoczyła. Do momentu oficjalnego ogłoszenia nominacji obowiązuje tajemnica, nie mogłem więc nikogo poprosić o radę. Przez dwa tygodnie chodziłem z tą wiadomością i rozważałem ją, prosiłem Pana Boga o moc, żebym to zadanie mógł podjąć i wypełnić. Wcześniej otrzymałem profesurę i nastawiłem się, że będę pracował w Warszawie.

Na czym polegało otrzymanie nominacji biskupiej?

To było 22 lutego, prymas powiedział w ścisłej tajemnicy, że Ojciec Święty zamierza zamianować mnie sufraganiem chełmińskim na wniosek biskupa Mariana Przykuckiego i prosi o wyrażenie zgody. Inaczej nazywa się to prekonizacja. Taką wiadomość otrzymuje się wraz z prośbą o wyrażenie zgody na przyjęcie posługi biskupiej. Podaje się wtedy również termin ogłoszenia nominacji przez Stolicę Apostolską. Powiedziałem, że chyba się nie nadaję, prosiłem o kilka dni do namysłu. Na to prymas Glemp: *Biskupa Ojcu Świętemu się nie odmawia*. Tak jak byłem kiedyś przekonany, że droga naukowa nie jest dla mnie, tak teraz musiałem przestawić się na działalność duszpasterską. Zawsze jednak miałem ciągoty do duszpasterstwa, nigdy nie zadawałem się samą pracą naukową. Dobrowolnie jeździłem w niedziele

odprawiać Mszę świętą. Pocieszałem się zatem, że będę pełnił tylko inny wymiar posługi Pisma Świętego – przepowiadał Słowo Boże. Zdawałem sobie sprawę, że będzie to trudne do pogodzenia z pracą naukową i ufałem, że jednak będzie możliwe. W podobnej sytuacji był już wcześniej biskup Kazimierz Majdański, biskup Edward Ozorowski, biskup Stanisław Stefanek. Widziałem, że oni potrafią łączyć te funkcje i obowiązki, nie wiedziałem, jak mi się to uda, ale etat na razie zatrzymałem, bo nie było następcy.

Nadszedł wreszcie ten dzień, kiedy tajemnica przestała obowiązywać. Co się wtedy stało?

Oficjalna informacja o nominacji miała być ogłoszona przez radio. I tę wiadomość przyjąłem u księdza Pasierba. Zatelefonowałem do niego, że przyjadę w południe na kawę. On chyba już coś przeczuwał, bo powiedział tylko: *To nastawimy radio*. Mogliśmy się wtedy razem cieszyć. Ksiądz Pasierb pierwszy gratulował mi także wtedy, kiedy zostałem biskupem włocławskim, ale wtedy to on przyszedł przed dwunastą do mojej rezydencji w Pelplinie, wspólnie słuchać radia.

Wróćmy do pierwszej nominacji biskupiej, tej z 25 marca.

Zostałem sufraganem czyli biskupem pomocniczym chełmińskim i byłem nim niecałe trzy lata, od 1985 do 1987. Jako sufragan byłem jednocześnie wikariuszem generalnym diecezji chełmińskiej. Otrzymałem resort szkolnictwa. W kurii ukradkiem robiłem przeważnie korektę artykułów, a jak przychodził petent, chowałem korektę pod stół i byłem urzędnikiem kurialnym. Ponieważ już wtedy pojawiły się nieoficjalne wieści o nowym podziale diecezji, biskup Marian Przykucki mianował mnie wikariuszem biskupim dla wybrzeża chełmińskiego z siedzibą w Gdyni. W tym samym czasie ksiądz prałat Hilary Jastak, proboszcz kościoła Serca Jezusa w Gdyni, człowiek niesłychanie zasłużony, postać prawie symboliczna, złożył rezygnację i biskup Przykucki zamianował mnie wikariuszem biskupim na wybrzeże chełmińskie, czyli przedwojenne tereny wybrzeża gdańskiego należące do Polski. Wtedy dojeżdżałem przez jakiś czas z Gdyni do Pelplina, aż ktoś inny przejął część moich wykładów. Ja jednocześnie dostałem nominację na proboszcza tejże parafii w Gdyni, gdzie miałem uzupełnić braki w edukacji. Biskup, który nie był proboszczem, nie zna prawdziwej roboty w parafii, nie zasłużył na

szacunek proboszczów. W rzeczywistości funkcję proboszcza pełnił jeden z księży, wtedy młody kapłan Henryk Kiedrowski, dziś jest już prałatem i nadal proboszczem w tej parafii.

Oficjalnie jednak to biskup został proboszczem?

Tak, i uczyłem się pracy w kancelarii parafialnej, administracji, zajmowałem się sprawami małżeńskimi, zasiadałem w konfesjonale. Nawet biskup musiał kiedyś nadrobić braki w przygotowaniu.

Ponoć Kaszubi bardzo się z tej nominacji ucieszyli, przyjechali na uroczystość święceń biskupich powitać „naszego kaszubskiego biskupa”.

Tak, nigdy nie robiłem tajemnicy z tego, że jestem i czuję się Kaszubą. Nie tylko sam uważam się za takiego, ale wiem też, że Kaszubi uznają mnie za swego ziomka. Delegacja kaszubska przyjechała do Pelplina z orkiestrą z różnych okolic ówczesnej diecezji chełmińskiej. Byłem pierwszym kaszubskim biskupem po słudze bożym świątobliwym biskupie Konstantynie Dominiku, który był konsekrowany 25 marca ale 1928 roku. Jest dziś moim dobrym niebieskim orędownikiem. Żyję oczekiwaniem, że zostanie ogłoszony błogosławionym. Jego kult w Pelplinie jest ciągle bardzo żywy. Dziś wszyscy profesorowie i większość rówieśników z seminarium duchownego są na cmentarzu, stąd moje wizyty w Pelplinie zaczynam od cmentarza. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby na grobie „Dominiczka” nie paliły się znicze.

Jak przyjęli biskupi nowego członka swego grona? Nie mówili jak koledzy z seminarium: *Ty się nie nadajesz?*

Zostałem przyjęty bardzo życzliwie. Nawet byłem zaskoczony, bo miałem niewielkie doświadczenie duszpasterskie. Na pierwszym spotkaniu Konferencji Episkopatu byłem trochę onieśmielony, roztropność nakazywała najpierw posłuchać i zobaczyć, jak to wszystko wygląda. Wielu biskupów, wśród nich sekretarz Episkopatu arcybiskup Bronisław Dąbrowski, przychodziło, zachęcali. Dziś wspominam to z ogromną wdzięcznością, nie spotkała mnie najmniejsza przykrość. Zostałem przyjęty z dużą otwartością, żeby nie powiedzieć serdecznością, zwłaszcza przez starsze pokolenie bi-

skupów. Zresztą większość z nich znałem już wcześniej. Równie serdecznie wspominam mojego ojca w biskupstwie, kardynała Józefa Glempa, który był w tym czasie przewodniczącym Konferencji Episkopatu. Łączyły mnie z nim więzy sięgające naszych wspólnych studiów w Rzymie, ale później nasze drogi się rozeszły, bo arcybiskup Glemp został nie tylko kardynałem, przewodniczącym Episkopatu, ale także moim przełożonym jako wielki kanclerz ATK. Drogi nasze zeszyły się, gdy zostałem jego następcą na arcybiskupstwie w Gnieźnie.

Zgodnie z tradycją Kościoła, każdy biskup wybiera sobie herb i dewizę swojej posługi. Ksiądz Arcybiskup, jak przystało Kaszubowi, umieścił w herbie łódź.

Co do herbu, to pamiętałem, że heraldyka kościelna nakazuje umieścić nad nim zielony kapelusz, z którego spływają zielone frędzle, nazywane chwostami, a za tarczą herbową umieścić krzyż. Na wstędze pod herbem należało umieścić swoje zawołanie biskupie. Z jego wyborem nie miałem problemu. Za świętym Piotrem wybrałem na swoje zawołanie słowa *In Verbo Tuo* czyli *Na słowo Twoje, Panie*. Zaznaczyłem tym samym swój związek z Biblią i jak Piotr wyraziłem zaufanie do Chrystusa. Piotr miał świadomość, że własnymi siłami nic nie może zrobić, ale zawierzył Bogu. Szymon Piotr przez całą noc bezskutecznie zarzucał sieci i niczego nie złowił. Mimo to na słowa zachęty Jezusa odpowiedział *Lecz na Twoje słowo zarzucę sieci*. Z jego wypowiedzi zaczerpnąłem moje hasło posługiwania biskupiego.

W moim rozumieniu przypomina ono, abym we wszystkim szukał nie własnej woli, ale woli Tego, który mnie posłał. Przez tę dewizę pragnę dać wyraz temu, że nadal chcę pozostać pokornym sługą słowa, sługą, który wsłuchuje się w słowa Pana i przyjmuje je z miłością; zawiera im i na nich buduje; wypełnia je treścią i głosi. Na obrazku prymicyjnym przed laty umieściłem słowa: *In Te Domine speravi* czyli *Tobie Panie zaufałem*. Dziś, po przeszło pięćdziesięciu latach kapłaństwa, mogę powiedzieć, że Chrystus nigdy mnie nie zawiódł, pomimo że sprawiłem Mu niejedną zawód. Słowa *Oto idę* nawiązują do dnia mojej konsekracji 25 marca i stanowią fragment listu do Hebrajczyków, w którym Chrystus je wypowiada: *Oto idę abym pełnił wolę Twoją Panie*. W ten sposób chciałem zaznaczyć, że Słowo Boże podane ręką Matki Kościoła każdego dnia od nowa będzie dla mnie kierunkowskazem, światłem i mocą. O radę, co do pozostałych symboli herbu biskupiego,

zwróciłem się, jak to często czyniłem, do księdza Pasierba. Powiedział mi, że heraldyka to poważna dziedzina wiedzy i żebym się za to nie brał sam, tylko oddał sprawę w ręce fachowców. Mam im tylko powiedzieć, jakie symbole mają się znaleźć na tarczy herbowej. Podzielona ona została na dwie części. W górnej, koloru złotego widnieje otwarta, biała księga Pisma Świętego z widocznymi słowami *Ecce venio* czyli *Oto idę*. W dolnej części tarczy na niebieskim tle jest złota łódź piotrowa.

A jak wyglądała nominacja na biskupa włocławskiego?

Bardzo podobnie, jak nominacja na sufragana. Przyszła prekonizacja, Ojciec Święty ma zamiar zamianować mnie ordynariuszem, ale obowiązuje tajemnica do dnia ogłoszenia. Oficjalną wiadomość o nominacji podaje radio.

Tę nieoficjalną wiadomość przekazuje prymas?

W tamtych czasach prymas, dziś już nuncjusz apostolski w imieniu Ojca Świętego. Oficjalnego komunikatu przez radio wysłuchałem również w towarzystwie księdza Pasierba. Ale już wcześniej były jakieś przecieki, albo on coś przeczuwał, mówił że posłuchamy radia. Odwiedził mnie później we Włocławku, a nawet raz w Gnieźnie. Wtedy dopomógł mi w podjęciu decyzji o umiejscowieniu konfesji świętego Wojciecha.

Ale tę kolejną nominację biskupią w 1987 roku przyjmował Ksiądz Arcybiskup z mniejszymi oporami?

Nie wiem, czy z mniejszymi, ale wiem, że nie liczyłem się z tym. Byłem przekonany, że nadal będę prowadził resort wychowania katolickiego, szkół katolickich, formacji diecezji chełmińskiej. Ale wiedziałem, że w takich wypadkach wchodzi w grę także racje pozadiecezjalne, i biskup musi być do dyspozycji Kościoła. Jestem ogromnie wdzięczny biskupowi Marianowi Przykuckiemu, znowu widzę w tym znak Bożej Opatrzności. Zanim został biskupem, administrował, w gruncie rzeczy kierował, Kurią w Poznaniu, był wytrawnym kurialistą. Za biskupa Antoniego Baraniaka mówiło się: *Chcesz coś załatwić z Baraniakiem, idź najpierw do Mariana Przykuckiego*. Od niego uczyłem się administrowania diecezją. Nie wstydzę się przyznać, że

niektóre rzeczy, które uznałem za słuszne, przejąłem od niego. Na przykład raz w tygodniu odbywały się sesje kurialne dla omówienia spraw bieżących z najbliższymi współpracownikami. Wprowadziłem to i we Włocławku, i w Gnieźnie. I o ile wiem, przejął to również arcybiskup Stanisław Gądecki po przejściu z Gniezna do Poznania. Dzięki temu można uniknąć bardzo wielu błędów i nieporozumień. Biskup Czerniak, na przykład, od urodzenia był w diecezji, podobnie jak biskupi Bogdan Wojtuś, Wojciech Polak, znali wydarzenia, o których ja nie wiedziałem. Powiedzmy, że wikariusz ma przeniesienie do nowej parafii, a od współpracownika dowiaduję się, że to jest jego miejscowość rodzinna, o czym ja nie wiem, a z reguły nie przenosi się księdza do rodzinnej parafii. Wielkim błogosławieństwem dla mnie było to, że przyszedłem do Gniezna z doświadczeniem z dwóch starych diecezji.

Wróćmy do tych doświadczeń zdobytych we Włocławku, także podczas pielgrzymki papieskiej.

Włocławek nie był dla mnie obcy, byłem tam czasami z wykładami. Zostałem przyjęty bardzo życzliwie, przez dwóch biskupów sufraganów, Czesława Lewandowskiego i Romana Andrzejewskiego, mojego kolegę. Był to jednak inny zabór, a to ma duże znaczenie. Czasem mówiono, że Muszyński usiłuje tutaj wprowadzać pruskie zwyczaje. Warto jednak przypomnieć, że władze państwowe nie przyjęły do wiadomości mojej nominacji. Byli obrażeni.

Za co?

Byłem przekonany, że za moje grzechy przeciwko komunizmowi, za to, że byłem za granicą, za udział w mszach katyńskich, za niektóre niezbyt fortunate wypowiedzi o władzy ludowej. Każdy, kto był za granicą, zgrzeszył przeciw komunizmowi. Służyłem pomocą księdzu Witoldowi Kiedrowskiemu, który pracował we francuskiej katolickiej sekcji Radia Wolna Europa, bywałem na zastępstwie w parafiach niemieckich. Proszę sobie wyobrazić, że przychodzę po przedłużenie paszportu i słyszę coś takiego: *A wyście byli na Mszy świętej za pomordowanych w Katyniu!* Pytam: *A co, nie wolno?* – *No wolno, ale Polska Ludowa wam zaufała, a wy chodzicie, choć wiecie, że to jest wykorzystane przeciw Polsce. I w Rzymie wszyscy mówią, że to Związek Radziecki ich pomordował i wy też należycie do tych.* Ja na to: *Panie, przecież pan to powiedział.*

Co pan mi wmawia takie rzeczy! Ja z tym do dziś nie mogę się pogodzić. Nie cierpię obłudy. Za pomordowanych przez Niemców kazali nam się modlić, modlitwa za tych, których rosyjskie NKWD pomordowało, miało być zbrodnią przeciw narodowi. Coś niewiarygodnego! Co więcej, w tamtych czasach ambasadorem Rzeczypospolitej Polskiej w Watykanie był Kazimierz Pape'e, dziekan korpusu dyplomatycznego. Polska formalnie zerwała stosunki dyplomatyczne z Watykanem, ale Stolica Apostolska tego nie uznała i ksiądz katolicki, wyjeżdżający z Polski, miał przeciw temu oponować. Ilustracją tamtych stosunków może być taki następujący fakt: Któryś z kapłanów emigracyjnych w Rzymie, aby sprawdzić moją wiarygodność, zapytał kto jest premierem rządu polskiego. Był to rok 1963, więc mówię: *Józef Cyrankiewicz*. A on na to: *No tak, reżimowy ksiądz*. Rzeczywiście, nie wiedziałem wtedy, kto był premierem rządu londyńskiego. Ale wracając do Włocławka – w dniu ingresu w miejscowej prasie nie było o nim nawet najmniejszej wiadomości. Usiłowałem się domyśleć, o co chodzi. W czasie mojego proboszczowania w Gdyni „nieznani sprawcy” dokonali włamania, najpierw do kościoła, następnie do biura parafialnego, wreszcie ukradli i zniszczyli mój samochód, który porzucili na niestrzeżonym parkingu. Myślałem, że to dalszy ciąg odwetu za moje grzechy przeciwko władzy ludowej. Do dziś jest we Włocławku ksiądz Poniński, znany ze swego zacięcia polemicznego. Przejrzał miejscowe gazety z dnia ingresu i znalazł w nich mnóstwo banalnych informacji, ile wyremontowano wtedy łazienek, ile wyprodukowano sedesów i tym podobnych tak „ważnych” wiadomości, że – jak ironicznie to skomentował – dla biskupa zabrakło w nich miejsca. Ale o prawdziwym powodzie tego milczenia dowiedziałem się dopiero od świętej pamięci arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego, na krótko przed jego śmiercią. Stolica Apostolska nie czekała podobno na formalne wyrażenie zgody na moją nominację. Wtedy władza państwowa musiała wyrazić zgodę na mianowanie ordynariusza diecezjalnego. Formuła tego przepisu była dosyć niejasna, Stolica Apostolska interpretowała go w ten sposób, że jeżeli nie ma sprzeciwu, to mianuje, a władze państwowe uznały, że mianowano mnie bez jej zgody. Powiedział mi o tym po latach arcybiskup Dąbrowski. Po kilku tygodniach dostałem zaproszenie do wojewody, który poinformował, że władza przyjmuje do wiadomości, że jestem nowym biskupem.

Co było tego powodem?

Jaki był powód zmiany stanowiska, także dowiedziałem się od arcybiskupa Dąbrowskiego, który powiedział mi tak: *Obiecałem im, że się poprawimy, ale najpierw musimy się doczekać wiążącej wykładni obowiązujących przepisów.* Pierwszym moim staraniem jako biskupa włocławskiego było ustawienie krzyża na tamie, w miejscu śmierci księdza Popiełuszki. Utworzyłem komitet, zwróciłem się o pozwolenie, ale odsyłano mnie od Annasza do Kajfasza. Władze miejskie twierdziły, że nie są kompetentne, wojewoda odsyłał do wojska, bo miejsce strategiczne, wojsko do Hydrobudowy. Władza wskazywała, że z inicjatywy społecznej krzyż już ustawiono pod mostem, gdzie faktycznie stał, ale był niewidoczny. W końcu na skutek nacisków społecznych, pewnie w obawie przed rozruchami i w perspektywie bliskiej pielgrzymki papieskiej do Włocławka, dostałem zgodę na postawienie krzyża. Poświęcono go dopiero po wizycie papieskiej, bo w jej trakcie był elementem ołtarza. Dowiedziałem się wtedy, że to pierwszy sekretarz w porozumieniu z władzą centralną zastrzegł sobie wydanie zgody na postawienie krzyża. Ten krzyż, który stanął na tamie we Włocławku, ma dla mnie ważny, osobisty wymiar. W czasie stanu wojennego mieszkałem w bezpośrednim sąsiedztwie kościoła świętego Stanisława w Warszawie, byłem świadkiem mszy świętych sprawowanych przez księdza Popiełuszkę, poznałem go osobiście, czułem się z nim związany. Jako sufragan chełmiński poświęciłem krzyż w Górsku. Ukoronowaniem wszystkich wysiłków był krzyż postawiony na tamie we Włocławku. Wielokrotnie celebrowałem msze w kościele na Wyżynach w Bydgoszczy, gdzie Popiełuszko sprawował swoją ostatnią mszę, a gdzie dziś są relikwie księdza Jerzego. We Włocławku rozpocząłem proces beatyfikacyjny 108 męczenników pod przewodnictwem biskupa Kozala jako magister martyrum – mistrza męczenników. Proces został doprowadzony do końca, doczekałem tego. Organizowałem i prowadziłem pielgrzymkę episkopatu do Dachau z okazji pięćdziesięciolecia śmierci biskupa Kozala. No i najważniejsza sprawa – pielgrzymka papieska do Włocławka, szóstego czerwca 1991 roku. Krzyż obudowany dwiema tablicami Dekalogu stanowił centralny motyw papieskiego ołtarza. Na życzenie papieża w katedrze włocławskiej odbyło się spotkanie z nauczycielami.

Dlaczego akurat z nauczycielami?

Przede wszystkim ze względu na biskupa Kozala, który był katechetą. We Włocławku rozpocząłem proces beatyfikacyjny 108 męczenników pod przewodnictwem biskupa Kozala. Papież w swojej homilii do nauczycieli, w katedrze pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, przypomniał, że biskup Michał Kozal otrzymał sakrę biskupią właśnie w tej świątyni i że był *wytrawnym pedagogiem i katechetą*. Wyraził radość, że katecheza znów wróciła do sal szkolnych, mówił, że na nauczycielach spoczywa wielkie zadanie uczenia i wychowywania, że naród ma prawo do nauczania dzieci i młodzieży według prawd własnej wiary. Jan Paweł II zaznaczył, że chce, żeby jego przesłanie dotarło do wszystkich uczących i uczących się, do rodzin i szkół. Było to okres po zmianie systemu i trwały dyskusje na temat katechizacji.

Pomost między Polską a Europą

Ksiądz Arcybiskup uważany jest za człowieka, który woli szukać tego, co łączy, a nie dzieli, który stara się łączyć polskość z europejskością. Jak i kiedy rozpoczęły się kontakty z Europą, Europejczykami, przedstawicielami innych religii?

Moje kontakty z Europą zaczęły się stosunkowo niewinnie. Studiujący w Rzymie, w czasie studiów zagranicznych nie mogliśmy wracać do Polski. Proszę pamiętać, że to były lata sześćdziesiąte, paszport pozwalał tylko na jednorazowe przekroczenie granicy. Pierwszy raz wyjechałem w roku 1963 do Rzymu. Trzeba było zdobyć jakieś środki na utrzymanie przez kilka lat, a najprostszym sposobem było zastępstwo wakacyjne w parafiach niemieckich. Pisałem więc do kurii, że znam na tyle język niemiecki, że mogę podjąć się zastępstwa i dam sobie radę. Wtedy poznałem innych Niemców, zwykłych, szarych ludzi. Uświadomiłem sobie, że nie wszyscy Niemcy byli hitlerowcami. Kiedy wróciłem do Polski, spotkałem się z paradoksem, niektórzy witali mnie jak bohatera, bo się nie bałem jechać do Niemiec, a mnie w Niemczech nie było źle. Były pewne problemy, ale olbrzymia większość parafian odnosiła się do mnie jak do księdza, w sposób otwarty. Nawiązałem z nimi bliskie relacje, zwłaszcza ze studentami, moimi rówieśnikami. Ponieważ dłuższy czas byłem na Zachodzie, po biskupie Strobie zostałem mianowany współprzewodniczącym tak zwanej grupy kontaktowej Episkopatu Polski i Niemiec. Piastowałem tę funkcję przez trzy kadencje z biskupem Josefem Homeyerem, później kardynałem Walterem Kasperem, biskupem Frantzem Kamphausem oraz Reinhardem Marxem, dzisiejszym kardynałem z Monachium. Spotykaliśmy

się raz do roku, omawialiśmy wszystkie sprawy na kanwie duszpasterstwa polsko-niemieckiego i niemiecko-polskiego. Jednego roku spotykaliśmy się w Polsce, następnego w Niemczech. Ze strony polskiej do tej komisji należeli też: arcybiskup Edmund Piszcz i biskup Damian Zimoń, później także biskup pomocniczy diecezji opolskiej Jan Kopiec. Następnie z nominacji Episkopatu zostałem pierwszym przedstawicielem Polski w Radzie Biskupów Europy. Pewnie dlatego, że ukończyłem studia w Zachodniej Europie i znałem języki. Nominację traktowałem jako wyraz woli Bożej. Przyjąłem ją nawet chętnie, skoro biskupi chcą, wybrali mnie przez głosowanie, a zadaniem biskupa jest służyć, traktowałem ten wybór jako formę służby. Nie zawsze dawało się to łatwo pogodzić z obowiązkami w diecezji, ale Bogu dzięki miałem dobrych i oddanych biskupów pomocniczych, którzy, w razie potrzeby, chętnie mnie zastępowali. Dotyczyło to zwłaszcza okresu gnieźnieńskiego. Biskup musi dzielić swoje obowiązki między Kościół powszechny i diecezjalny. To jest dla mnie normalne, jeżeli ktoś ma więcej zadań w Kościele powszechnym, drugi służy pomocą w posłudze diecezjalnej, by odbyło się możliwie bez szkody dla Kościoła lokalnego.

Ksiądz Arcybiskup uczestniczył w wielu dyskusjach, krytykujących sytuację Kościoła, zwłaszcza w Europie Zachodniej. Jak przyjmowano tę postawę na Zachodzie?

Tak, dyskutowałem w różnych gremiach. Najczęściej na forum Rady Biskupów Europy, ale także podczas spotkań naukowych i innych. Gdy bliżej poznałem sytuację Kościoła w Zachodniej Europie, często zdarzało mi się, że na Zachodzie broniłem racji polskich, a w Polsce przedstawiałem racje europejskie. Przez długi czas żyliśmy niejako w izolacji, obok siebie, po dwóch stronach kształtowały się jednostronne wyobrażenia. Ponieważ żyłem na pograniczu tych dwóch światów, zdarzały się sytuacje, że w Polsce musiałem bronić Zachodu, a na Zachodzie Polski. Ze względu na jednostronne racje, które ukształtowały się po jednej i drugiej stronie, sumienie mi nakazywało tak postępować, miałem przecież okazję lepiej poznać rzeczywistość duszpasterską na Zachodzie. W Polsce trudno było oceniać duszpasterstwo na Zachodzie zgodnie z naszymi kryteriami, były one rzeczywiście inne, inna była bowiem tamtejsza rzeczywistość, traktowano to duszpasterstwo niekiedy z odcieniem wyższości. Na Zachodzie z kolei patrzono na naszą masową pobożność i postrzegano duszpasterstwo jako ludowe, uważano, że to Polacy

mają jakieś dawne, niezrozumiałe zwyczaje. Znając nieco lepiej jedną i drugą rzeczywistość musiałem zadbać o bardziej obiektywne spojrzenie.

Czy z tego wynika, że polska pobożność faktycznie różni się od tej przyjętej w Europie?

Pobożność polska znacznie odbiega na przykład od pobożności niemieckiej. Powstawały pewne napięcia w stosunkach z Polakami, wynikające z różnic między integracją a asymilacją. Chodziło więc o to, żeby znaleźć takie rozwiązanie, które nie będzie przeszkadzać tym, którzy chcą się zasymilować i tym, którzy chcą zachować tradycję polską i modlić się po polsku. Były obawy, że ci ostatni porzucą Kościół, bo nie identyfikują się z pobożnością Kościoła niemieckiego. Pobożność polska bowiem dość daleko odbiega od pobożności niemieckiej. Poza tym, jak często powtarza biskup Alfons Nossol, modlitwa to jest język serca, podobno człowiek modli się – niestety, także i przeklina – zawsze w języku ojczystym. Kościół w Polsce i Kościół w Niemczech nie różnią się w swojej istocie od siebie, ale podwójna posługa kapłanów dla społeczności niemieckiej i polskiej wymaga osobnego przygotowania. Kapłan powinien być powiernikiem i rzecznikiem zarówno jednego, jak i drugiego Kościoła. Powstał więc problem znalezienia duchownych, którzy będą gotowi podjąć posługę duszpasterską wśród Polaków i równocześnie znają na tyle język niemiecki, by mogli służyć pomocą duszpasterzom niemieckim i nie stworzą „małej Polski” na terenie Niemiec. Był to najczęstszy przedmiot naszych rozmów. Standardy niemieckie nie zawsze miały zastosowanie do duszpasterstwa polskiego. Sytuacja zmieniła się po wejściu Polski do Europy, zwłaszcza od chwili, gdy otwarto rynek pracy na terenie Niemiec. Od tego momentu Polacy mogą pracować w Niemczech na zasadzie umowy o pracę i mają prawo do duszpasterstwa polskiego. Przykładem takiego niezrozumienia czy nieprzygotowania strony niemieckiej była sytuacja w Berlinie w Wielkim Tygodniu. Wtedy tysiące Polaków ustawiło się w kolejkach do spowiedzi, a nie było odpowiedniej liczby spowiedników. Rozmawialiśmy o tym wszystkim w duchu wzajemnego zrozumienia i szukaliśmy rozwiązania tych problemów.

Dyskutowaliśmy też o problemach wywołujących napięcia – o „wypędzonych”, i o muzeum „wypędzonych”. W wystąpieniach publicznych razem z biskupami niemieckimi – Karlem Lehmannem, Georgem Sterczyńskim – mówiliśmy już jednym głosem, że powstające muzeum musi uwzględniać

całościowo problem wypędzeń jednych i drugich i to w konkretnych realiach historycznych.

W Radzie Biskupów Europy biskupi z kościołów Europy Wschodniej stanowili bardzo wyraźne dopełnienie. Dotychczas kiedy mówiono Europa rozumiano przez to nierzadko wyłącznie Europę Zachodnią. Nasze doświadczenia były inne i dlatego często wspieraliśmy się. Nie była to fałszywa solidarność, łączyły nas wspólne przeżycia, podobna perspektywa. Stanowiska biskupów z Czech, Słowacji, Węgier czy Polski miały najczęściej charakter komplementarny, bardzo to doceniano. W komunikatach ukazywaliśmy poszerzoną wizję Kościoła, w dyskusji również. Ponieważ byłem w Radzie Biskupów Europy, często mogłem w polskich gazetach wyczytać, że jestem euroentuzjastą. Natomiast na Zachodzie nierzadko oceniano mnie jako niepoprawnego konserwatystę, gdyż prezentuję jednostronne pro-polskie stanowisko.

A jak Ksiądz Arcybiskup ocenia swoją postawę wobec Europy?

Osobiście nie uważam siebie za euroentuzjastę, ale za realistę.

Może dlatego tak wiele mediów oczekiwało głosu, wyrażającego stanowisko Księdza Arcybiskupa?

Rzeczywiście, miałem tych kontaktów z mediami bardzo dużo, często pytano mnie o opinię na temat naszego wejścia do Europy, zwłaszcza po roku 2000.

A czy pytano także o to, czy logo Unii Europejskiej – dwanaście gwiazd na niebieskim tle, przypadkowo lub nieprzypadkowo nawiązuje do wizerunki Matki Bożej w koronie dwunastu gwiazd?

O logo oczywiście nie pytali, bo jak ja zacząłem się zajmować sprawami europejskimi, to logo już było dawno ustalone. Katolicy wielokrotnie zwracali uwagę na to podobieństwo. W Apokalipsie czytamy o niewieście *obleczonej w słońce, księżyc pod jej stopami, a na jej głowie wieniec z gwiazd dwunastu*. Logo Europy początkowo przedstawiało słońce jako symbol światła, prawdy i umysłu oraz krzyż jako symbol moralnej jedności europejskiej. Na wniosek społeczności muzułmańskiej usunięto z niego krzyż, w miejsce słońca

pojawiły się gwiazdy – najpierw piętnaście, później dwanaście. Symbol jest na tyle ogólny, że każdy Europejczyk może się z nim identyfikować i interpretować go po swojemu, dla nas, chrześcijan, dwanaście gwiazd jest wyraźnym znakiem jedności i ciągłości chrześcijańskiej kultury w Europie, której patronuje Maryja.

W latach osiemdziesiątych zainicjował Ksiądz Arcybiskup dialog z judaizmem. Dlaczego specjalistą od niego stał się właśnie Ksiądz Arcybiskup?

Jak czasem mówię, przypadła mi rola robienia wyłomów. Byłem inicjatorem dialogu niemieckiego, europejskiego, żydowskiego. Na początku tej drogi główny problem polegał na tym, żeby znaleźć partnerów do dialogu religijnego, judaistyczno-chrześcijańskiego, żydowsko-polskiego. Przyjmując funkcję przewodniczącego Komisji Episkopatu do Spraw Dialogu z Judaizmem nie wiedziałem, co mnie czeka. Do tego czasu nie miałem kontaktów z Żydami i prawdopodobnie wybrano mnie jako biblistę. Dziś mogę przyznać, że przez te kontakty dużo się nauczyłem o mentalności i duchowości żydowskiej, pomaga mi to również w pogłębianiu własnej tożsamości, formacji chrześcijańskiej, które wyrastają przecież z tych samych korzeni. Nie uwzględnianie tych korzeni z jednej strony oznacza korzystanie z owoców bez świadomości własnej tożsamości, a z drugiej strony bez odniesienia do korzeni nie można poznać specyficznego chrześcijańskiego novum. Po mnie, ku mojemu zadowoleniu, funkcję tę przejął arcybiskup Stanisław Gądecki, który jako biskup i biblista był dobrze przygotowany do tego zadania. Dziś Komisji do spraw Dialogu z Judaizmem przewodniczy biskup pomocniczy lubelski Mieczysław Cisko. Pełni tę funkcję również bardzo kompetentnie i z dużym zaangażowaniem.

Z jakim podstawowym problemem musiała poradzić sobie ta Komisja?

Z jednostronnym ujęciem spraw żydowskich ze strony polskiej i jednostronnym, krzywdzącym ze strony żydowskiej. Nie było dotychczas dialogu. Powody milczenia były bardzo różne – ideologia komunistyczna, która pozwoliła utrwalić negatywne postawy, no i był Holocaust – może lepiej Shoah, czyli zagłada i to na naszych okupowanych ziemiach. Trzeba było znaleźć

partnerów do dialogu w sytuacji, kiedy dla Żydów Polska była miejscem zagłady i uwzględnić wszystkie konsekwencje z tym związane. Do dialogu polsko-żydowskiego początkowo nie mogłem znaleźć partnerów w Polsce, zapoczątkowałem go z Żydami amerykańskimi, układaliśmy wspólne projekty, między innymi w Chicago, dokąd wykładowcy Pisma Świętego udali się na letni kurs, aby zapoznać się z żydowską myślą religijną. Programy tego kursu były bardzo szczegółowo omawiane, trzykrotnie byłem w tej sprawie w USA, na ważnych sympozjach w Polsce, Europie, Ameryce. Między innymi mówiłem o tym także na dorocznym spotkaniu Komitetu Żydów Amerykańskich w Nowym Jorku, jako główny czy nawet jedyny prelegent, ale nie tylko. Zabiegałem o powstanie Instytutu Polsko-Żydowskiego w ATK, powstał on po moim odejściu z uczelni. W żadnym innym kraju, tak jak w Polsce, nie odczułem tego, że Polska została pozbawiona Żydów, Niemcy nazywali ją krajem bez Żydów. Dzięki staraniom Żydów odradzają się gminy żydowskie w większych miastach. Naszym zadaniem w Polskiej Radzie Chrześcijan i Żydów było prowadzenie dialogu, a pierwszym krokiem – uważam że bardzo ważnym – było prowadzenie dialogu międzyreligijnego. W wymiarze wewnątrz kościelnym zaczęliśmy naszą pracę od popularyzacji dokumentów Stolicy Apostolskiej, przemówień Jana Pawła II dotyczących wzajemnych relacji polsko-żydowskich. Pierwszy z tych dokumentów wręczyłem papieżowi Janowi Pawłowi II. Trzeba być świadomym, że dopóki te dokumenty nie są tłumaczone na język polski, to w ogólnej świadomości nie istnieją. Drugi etap to zabieganie, żeby były przedmiotem wykładów w seminariach duchownych, żeby dotarły do ludu Bożego. Prowadziłem dialog na różnych płaszczyznach, pierwszą była polsko-żydowska, ale prędko okazało się, że musi być dialog trójstronny: polsko-niemiecko-żydowski. Kiedy po raz pierwszy na Konferencji Episkopatu w Gnieźnie zasygnalizowałem problem, że nie będzie pojednania polsko-niemieckiego, jeżeli Niemcy nie wezmą na siebie winy niemieckich nazistów, za to, co zostało przez nich dokonane, a przypisane Polakom, wzbudziło to zdziwienie biskupów niemieckich. Nie byli świadomi, że również my, Polacy, mamy poważny problem żydowski. Byli przekonani, że to jest ich specyficzny problem niemiecki. Uznałem, że potrzebny jest dialog trójstronny. Doprowadzenie do niego uznałem za swoje szczególne zadanie. Wielokrotnie głosiłem na ten temat referaty, między innymi na uniwersytecie w Tybindze. Wzbudziło to ogromne zainteresowanie tego środowiska naukowego. Problem nie został jeszcze całkowicie rozwiązany, w tej dziedzinie można zauważyć wyraźny postęp ze strony biskupów niemieckich. Muszę

tutaj podkreślić rolę Jana Pawła II, który wspierał i utwierdzał mnie w tych działaniach. Bez Jana Pawła II dialog w tym kształcie, w jakim był on prowadzony, byłby niemożliwy. Papież zabiegał także o spotkania ze wspólnotą żydowską podczas wszystkich pielgrzymek do Polski, choć nie wszyscy byli przekonani że są one potrzebne. Na przykład podczas trzeciej pielgrzymki w 1987 roku. Nie było takiego spotkania w programie, a jednak udało się je zorganizować.

Jak to się stało?

Program pielgrzymki był już gotowy, zatwierdzony przez władze. Papież zobaczył go i mówi: *Musi być spotkanie z Żydami*. Pomimo że wszystko było gotowe, ustalone i zatwierdzone, znaleziono rozwiązanie, o którym mało kto wie. Nagrano homilię papieską i odtworzono z taśmy z kościoła świętego Krzyża w Warszawie, a papież w tym czasie miał spotkanie z Żydami w warszawskiej Rezydencji Prymasa. Powiedział tam między innymi: *To spotkanie w Polsce jest dla mnie szczególnie ważne, szczególnie wymowne i myślę, że będzie też szczególnie owocne. Pomoże i mnie, i całemu Kościołowi jeszcze bardziej uświadomić sobie to, co nas łączy (...) w porządku Bożego przymierza*. Wspominam wzruszający moment – profesor Szymon Datner, nieżyjący już dzisiaj Żyd, wychodząc z tego spotkania powiedział: *Cóż mnie jeszcze może spotkać większego z życia, jak spotkanie z papieżem-Polakiem tutaj w pobliżu Getta*. Dla mnie to zabrzmiało prawie jak słowa Symeona: *Teraz oto pozwól odejść słudze Twojemu w pokoju*. Benedykt XVI wyraźnie kontynuuje linię Jana Pawła II w tym względzie.

Mimo tych rozmów i starań dochodziło jednak do konfliktów polsko-żydowskich, choćby głośnego kryzysu żydowskiego w Oświęcimiu czyli konfliktu o klasztor karmelitanek w 1986 roku.

Doszło wtedy do zderzenia dwóch światów. Centrum Informacji, Spotkań, Dialogu, Wychowania i Modlitwy w Oświęcimiu, stworzone przez kardynała Franciszka Macharskiego, miało służyć pojednaniu a stało się źródłem konfliktu. Strona chrześcijańska w dużym stopniu nie była świadoma, że krzyż może mieć inne symboliczne znaczenie niż nasze chrześcijańskie. Ze strony żydowskiej natomiast jakakolwiek forma kultu chrześcijańskiego w miejscach związanych z życiem i śmiercią Żydów budzi podejrzenie o chęć zatar-

cia pamięci żydowskiej, co przybrało szczególnie ostrą formę w Oświęcimiu. Mamy co prawda wspólne korzenie i wszyscy o tym wiemy. W Polsce mamy też długą, wielowiekową, wspólną tradycję. Przez wieki żyliśmy pokojowo, ale raczej obok siebie niż ze sobą. Ukształtowała się różna, nierzadko przeciwstawna, wrażliwość. Nagromadziło się też wiele obciążeń i uprzedzeń. Wreszcie w czasie wojny na okupowanych ziemiach Polski hitlerowscy naziści dokonali bezprecedensowej eksterminacji całego narodu żydowskiego, określanej mianem Holocaustu lub Shoah czyli unicestwienia. Większość obozów eksterminacji i śmierci leży właśnie na terenie Polski. Oczywiście, w imię tej samej, bezbożnej, rasistowskiej ideologii ginęli nie tylko Żydzi, ale także Romowie, Rosjanie i inne narodowości. Istniał także program eksterminacji narodu polskiego. Na spotkaniu ze wspólnotą żydowską w Nuncjaturze w roku 1991 Jan Paweł II powiedział: *Wasze zagrożenie było naszym zagrożeniem, tyle że hitlerowscy zbrodniarze nie zdążyli go zrealizować do końca w takim stopniu jak waszego zagrożenia.*

W obronie Żydów ginęli także Polacy, tylko w Polsce obowiązywała kara śmierci za pomoc świadczoną Żydom. Byli także tak zwani szmalcownicy, którzy współpracowali z niemieckimi okupantami i nazistami. Wszystko to stwarza napięcia, tworzy dystans, sprzyja wzajemnym oskarżeniom, szerzeniu przekonania o groźbie polskiego antysemityzmu. Niekiedy mówi się wprost o polskich obozach koncentracyjnych, uznając Polaków za faktycznych sprawców żydowskiej eksterminacji. W naszych relacjach jesteśmy niewiarygodni i odwrotnie. Zorientowałem się bardzo wcześnie, że Shoah ma formę trójwymiarową, obejmującą Żydów, Niemców i Polaków. Oczywiście w sposób odmienny, faktem jest jednak, że jako Polacy byliśmy również ofiarami barbarzyństwa hitlerowskiego, jednakże nie w takim samym stopniu, jak Żydzi. Różnica była zasadnicza. Każdy Żyd nosił na sobie wyrok śmierci, a więc musiał zginąć, bo był Żydem. Polak mógł przeżyć, gdyż ostateczne rozwiązanie problemu polskiego odłożono na czas po zakończeniu wojny.

Różnica polegała na tym, że wykonanie wyroku odłożono na jakiś czas...

Okazuje się, że przez długi czas biskupi niemieccy nie byli tego świadomi, że Shoah jest także ważnym problemem Polaków. Przed laty – jak już wspominałem – w czasie spotkania konferencji Episkopatu Polski w Gnieźnie zwróciłem uwagę na to, że pojednanie Polaków i Żydów ze względu na zbrod-

nie, dokonane na polskich ziemiach przez nazistów, nie może być procesem dwustronnym, bo w wielu sprawach po prostu nie jesteśmy wiarygodni. Rozliczenie z przeszłością wzajemną musi mieć wymiar trójstronny, nie może być bowiem pojednania polsko-niemieckiego, jeżeli Niemcy nie przyznają się do zbrodni, które zostały popełnione przez nazistów niemieckich na okupowanych ziemiach polskich, a przypisane Polakom. Problem ten poruszałem wielokrotnie w różnych gremiach, także w rozmowach z Niemcami. Według mojego rozeznania, w tym zakresie można zaobserwować wyraźny postęp. Dziś w tej sprawie mówimy wraz z biskupami niemieckimi jednym głosem, jednym językiem. W jednym z wywiadów emitowanych w telewizji polskiej i niemieckiej, gdzie występowałem razem z kardynałem Karlem Lehmanem, przewodniczącym Episkopatu Niemiec, powiedział on jednoznacznie: *Nie może być w żadnym względzie mowy o polskich obozach koncentracyjnych, zarówno obozy jak i zbrodnie w nich popełniane były dziełem nazistów niemieckich i owocem faszystowskiej, rasistowskiej ideologii.* Typowym przykładem odmiennej wrażliwości jest właśnie zatarg i spór o Karmel w Oświęcimiu.

Karmelitanki miały się w nim modlić za pomordowanych.

Siostry karmelitanki właśnie dla zadośćuczynienia za zbrodnie innych założyły swój klasztor w opuszczonym gmachu w pobliżu obozu oświęcimskiego. Pragnęły przez pokutę i modlitwę służyć dziełu pojednania. Okazało się jednak, że ten właśnie budynek służył w czasie wojny jako magazyn Cyklonu B, którym wymordowano miliony Żydów i nie tylko Żydów. Ale dla Żydów ten gmach stanowił samo serce „fabryki śmierci”. Gest polskich sióstr odczytano jako chęć zawłaszczenia i chrystianizacji miejsc pamięci pomordowanych tutaj Żydów.

Na tym tle doszło właśnie do bolesnego sporu, który groził całkowitym załamaniem dialogu chrześcijańsko-żydowskiego na całym świecie. Kontrowersje dotyczące Karmelu oświęcimskiego, obejmujące lata 1986 – 1990, mają bogatą dokumentację. Mogę tutaj jedynie krótko zarysować ich zarys w kontekście prac Komisji do spraw Dialogu z Judaizmem, której przewodniczyłem w tym okresie. Odegrała ona bardzo ważną rolę w tym zatargu. Nie ukrywam, że dla mnie, a pewnie także innych członków tej komisji, był to bardzo trudny moment życiowy. Pod protektoratem kardynała Macharskiego, przy współdziałaniu innych kardynałów Francji, Belgii, powstał projekt budowy w Oświęcimiu Centrum Informacji, Spotkań, Dialogu,

Wychowania i Modlitwy, które pierwotnie miało obejmować także klasztor sióstr karmelitanek. Długa nazwa ale miała bardzo precyzyjnie ukazywać miejsce i przeznaczenie Centrum.

Modlitwy także za hitlerowskich oprawców?

Modlitwy za wszystkich. W czasie realizacji tej pięknej idei doszło jednak do niebywałych napięć i trudności. Dla ustalenia sposobu realizacji spotkali się w Genewie aż dwukrotnie przedstawiciele Kościoła katolickiego i różnych organizacji żydowskich. Oświadczenie wydane po pierwszym spotkaniu było na tyle ogólne, że każda ze stron mogła je interpretować na swój sposób. Pierwsza tak zwana deklaracja genewska z 1986 roku mówiła o połączeniu wysiłków dla uczczenia ofiar zagłady „przez modlitwę i milczenie”. Druga deklaracja, z roku 1987, była już bardziej szczegółowa i mówiła że w nowym ośrodku znajdować się powinno miejsce na inicjatywę modlitwy sióstr karmelitanek z równoczesnym uwzględnieniem także słuszych uczuć i wrażliwości strony żydowskiej. Od samego początku deklaracja ta budziła spore polemiki i pytania, jak te dwa prawie przeciwstawne założenia pogodzić ze sobą. Podczas gdy strona katolicka tekst ten uznawała za deklarację intencji, strona żydowska interpretowała ją jako umowę i zobowiązanie. 233 Konferencja Episkopatu Polski 9 marca 1989 wyraziła przekonanie że zorganizowanie Centrum Spotkań ma do spełnienia doniosłą rolę w dialogu chrześcijańsko-żydowskim. Rosnące napięcie, wtargnięcie grupy Żydów na teren klasztoru z jednej strony i akcja stawiania krzyży wokół klasztoru z drugiej doprowadziły do tego, że kardynał Macharski czuł się zmuszony do zawieszenia realizacji projektu budowy Centrum, gdyż eskalacja działań uniemożliwiła budowę. Sytuacja stała się dramatyczna, doprowadziła w konsekwencji prawie do całkowitego zerwania dialogu chrześcijańsko-żydowskiego na całym świecie. W tych okolicznościach postanowiłem zwołać Komisję Episkopatu do spraw Dialogu z Judaizmem 6 września 1989. Wydała ona komunikat, który z jednej strony usiłował ukazać rzeczywiste trudności, które nagle nagromadziły się wokół Karmelu, z drugiej strony wzywał do ponownego podjęcia rozmów pomiędzy stronami w celu znalezienia możliwego do zaakceptowania dla obu stron rozwiązania, które umożliwiłoby ponowne podjęcie prac nad budową Centrum.

Znalazły się w nim słowa trudne do zrozumienia dla wielu z nas: *Nie ma chrześcijaństwa bez krzyża, ale musimy uczyć się i szanować wrażliwość innych. Polakom potrzebna jest głęboka katecheza, by przyjąć punkt widzenia Żydów. W Polsce jest on po prostu nie rozumiany?*

Był to jeden z najbardziej dramatycznych momentów w moim osobistym życiu. Razem z księdzem kardynałem Józefem Glempem, prymasem Polski, księdzem kardynałem Franciszkiem Macharskim udaliśmy się do sióstr karmelitanek i wspólnie usiłowaliśmy siostrom wyjaśnić złożoną sytuację. Decyzja o przeniesieniu klasztoru dotyczyła bowiem najbardziej same siostry. Ich najlepsze intencje i zamysły spotkały się bowiem z niezrozumieniem, protestami trudnymi do pojęcia dla kogoś, kto nie zna wrażliwości żydowskiej. Krótco potem, bo 19 września 1989 wydany został komunikat Komisji Stolicy Apostolskiej do spraw Stosunków Religijnych z Judaizmem, podpisany przez ówczesnego kardynała Johannesesa Willebrandsa, jej przewodniczącego, który odwoływał się wyraźnie do komunikatu naszej komisji i podtrzymał zamiar dalszej budowy Centrum Informacji, Spotkań, Dialogu, Wychowania i Modlitwy w Oświęcimiu, zgodnie z deklaracją genewską z 1987 roku. Pozwoliło to przełamać ten impas i rozwiązać sytuację patową. Nie oznaczało to jednak wcale końca kontrowersji wokół przeniesienia klasztoru.

Udało się jednak znaleźć konsensus i powstał nowy klasztor, zgodnie z oczekiwaniami Żydów?

Dzisiaj z perspektywy lat widać, że była to decyzja bolesna ale konieczna. Niedawno z okazji 66 rocznicy wyzwolenia Oświęcimia byłem w tymże Centrum, obecnie Centrum Dialogu i Modlitwy, i mogłem się osobiście przekonać, jak błogosławione owoce zbliżenia i pojednania przynosi dzisiaj ten ośrodek. Jestem przekonany, że to nie tylko owoc wspólnych wysiłków, ale także cierpienia i modlitwy ze strony sióstr karmelitanek, których klasztor znajduje się dzisiaj nieopodal Centrum, ale pełni niezmiernie ważną rolę w dziedzinie zbliżenia i pojednania Żydów, a także chrześcijan pomiędzy sobą.

Był Ksiądz Arcybiskup uczestnikiem nie tylko II Soboru Watykańskiego, ale także czterech synodów watykańskich, a więc aktywnie

działał na rzecz Kościoła powszechnego.

Uczestnik soboru – to brzmi dumnie, ale domaga się sprostowania. Uczestnikiem soboru nie byłem, ale w czasie, gdy się odbywał w Rzymie, przebywałem tam na studiach i mieszkałem przez cały czas trwania soboru z ojcami soborowymi, w Kolegium Polskim.

Kim byli ojcowie soborowi?

Byli to biskupi, którzy także mieszkali w Kolegium, podobnie jak my, studenci. Sobór był jednak ważnym wydarzeniem w moim życiu i myślę, że także w życiu moich kolegów, ówczesnych studentów. Sobór Watykański II uważany jest za najważniejsze wydarzenie chrześcijańskie w dwudziestym wieku. Trwał od 1962 do 1965 roku, z udziałem około dwudziestu biskupów z Polski. My, studenci polscy w Rzymie, w jakimś stopniu także pracowaliśmy na rzecz soboru, uczestniczyliśmy w sesjach, przygotowywaliśmy materiały, towarzyszyliśmy biskupom. Dziś nazywamy siebie pokoleniem soborowym. Muszę wyznać, że osobiście byłem tak bardzo zajęty i pochłonięty studiami biblijnymi, że w sposób raczej ograniczony mogłem uczestniczyć w życiu Soboru. Pamiętam jednak doskonale niektóre wydarzenia, jak na przykład ogłoszenie przez Pawła VI 24 listopada 1964 roku Maryi Matką Kościoła, do którego doszło głównie dzięki staraniom Stefana kardynała Wyszyńskiego i biskupów polskich, uczestników Soboru. O wiele pełniejszy udział niż w Soborze miałem w synodach biskupów w Rzymie. Uczestniczyłem w czterech kolejnych światowych synodach biskupów, w latach 1990, 1994, 2001 i 2005. W pierwszym z nich pracowałem jako sekretarz specjalny z nominacji Ojca Świętego, w pozostałych z wyboru Episkopatu Polski. W Radzie Synodu pracowałem trzykrotnie, także z nominacji papieskiej.

Proszę wyjaśnić różnicę między soborem a synodem.

Sobór jako zgromadzenie biskupów z całego świata jest instytucją tak ogromną, że stwarza wielkie trudności proceduralne, trudno w jego trakcie dojść do głosu wszystkim, którzy pragnęliby przemawiać. Synod Biskupów jest owocem II Soboru Watykańskiego. W moim przekonaniu jest rozwiązaniem opatrnościowym, harmonijnie łączy kolegialność i strukturę hierarchiczną Kościoła. Z dwudziestu pięciu biskupów episkopat wybiera jednego przedstawiciela, w wyniku tego powstaje grono reprezentatywne dla całego

Kościół. Synody powszechne zatem w swoich przedstawicielach obejmują cały Kościół czyli cały świat. Owocem synodu zaś jest adhortacja posynodalna wydana autorytetem papieża jako głos wiążący dla całego Kościoła. Synodowi formalnie przewodniczy papież, faktycznie zaś w jego imieniu przewodniczy trzech delegatów – przewodniczących. W praktyce obrady prowadzi relator synodu. Całością prac kieruje sekretarz generalny synodu, który otrzymuje do pomocy z nominacji papieża sekretarza specjalnego. W synodzie o temacie „Formacja kapłanów”, z nominacji Jana Pawła II pełniłem właśnie funkcję sekretarza specjalnego. Jego owocem była adhortacja apostolska *Pastores dabo vobis* czyli „*Dam wam kapłanów*”, w której przygotowaniu uczestniczyłem w sposób bezpośredni. Pierwsze Zgromadzenie Specjalne synodu w 1991 roku miało charakter wyjątkowy, gdyż wtedy pierwszy raz od wojny biskupi Europy Wschodniej i Zachodniej spotkali się po upadku komunizmu. Pasterze Europy wspólnie zaczęli rozważać, co Duch Święty ma do powiedzenia Kościołom Europy oraz zastanawiali się nad drogami nowej ewangelizacji. W następnych synodach brałem udział jako delegat wybrany przez Episkopat Polski. Ich tematy to: *Życie konsekrowane, Biskup sługa Ewangelii oraz Eucharystia – źródło i szczyt życia chrześcijańskiego*. Przez trzy kadencje byłem członkiem Rady Stałej Synodu Biskupów. Ten organ liczy 15 członków, po trzech z każdego kontynentu i trzech z nominacji papieża. Muszę jednak podkreślić, że moja działalność w Kościele powszechnym związana jest ściśle z Gnieznem, z miejscem i rolą, które pełnił święty Wojciech w dziejach Kościoła i Polski. Według słów Jana Pawła II jest on patronem niepodzielnego Kościoła. Nie jest zapewne przypadkiem, że Gniezno obrał Ojciec Święty za miejsce ogłoszenia orędzia skierowanego 3 czerwca 1997 roku do Europy w obecności siedmiu prezydentów – Czech, Litwy, Niemiec, Polski, Słowacji, Węgier i Ukrainy, z okazji tysiąclecia śmierci świętego Wojciecha.

Jan Paweł II nazywał świętego Wojciecha *patronem niepodzielnego Kościoła i współpatronem Europy*. Patronami Europy ogłosił jednak innych świętych. Dlaczego tak się stało?

Od początków kształtowania się chrześcijańskiej Europy patronował jej święty Benedykt z Nursji, ojciec życia monastycznego na Zachodzie, którego ideał wyrażał się w słowach: *Ora et labora – módl się i pracuj*. Nawoływał do równowagi między modlitwą i pracą. Wizję jednej Europy Wschodu

i Zachodu promowali dwaj misjonarze Słowian – Cyryl i Metody, ogłoszeni patronami Europy przez Jana Pawła II, papieża Słowianina. Święty Wojciech ogłoszony świętym w 999 roku, stanowi również wspólne dziedzictwo całego, niepodzielonego jeszcze Kościoła i jako taki jest widomym znakiem jedności Kościoła i Europy Wschodu i Zachodu.

W tysiąclecie jego śmierci prezydenci „krajów świętowojskich” byli obecni na Mszy świętej, ale także spotkali się z Janem Pawłem II w ówczesnym Pałacu Arcybiskupów, czyli rezydencji Księdza Arcybiskupa. Jak do tego doszło?

Wcześniej wszystko bardzo szczegółowo ustalono, miejsce spotkania, gdzie będą wywiady dla prasy i tak dalej. Pamiętam, że na spotkanie prezydentów z mediami wybrano ogród w rezydencji arcybiskupiej. Przedstawiciele Biura Ochrony Rządu uznali pewnie, że ogród jest najlepszy ze względów bezpieczeństwa. Rezydencja jest stosunkowo ciasna, a chciano też zapewnić specjalne środki bezpieczeństwa Ojcu Świętemu, który w niej w tym czasie przebywał. Nie można tam było przecież wpuszczać wszystkich chętnych dziennikarzy. W Pałacu odbyło się też spotkanie Ojca Świętego z prezydentami i podczas niego wygłosił on oficjalne przemówienie.

Kto w tym oficjalnym spotkaniu uczestniczył?

Sekretarz stanu kardynał Angelo Sodano, przedstawiciele delegacji watykańskiej, kardynał Glemp i ja. Skoro przyjechało siedmiu prezydentów, to nie mogło się obejść bez oficjalnego spotkania z papieżem.

Gnieźnieńskie spotkanie prezydentów w obecności papieża, a później spotkanie premierów, nastąpiło z inicjatywy Księdza Arcybiskupa, jako przewodniczącego Komitetu Obchodów Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. Milenium miało być nie tylko okazją do celebracji i wspominania rocznicy, ale czymś więcej – budowaniem pomostu między Europą Wschodnią i Zachodnią, próbą zjednoczenia wielkich Kościołów – katolickiego i prawosławnego, jak za czasów świętego Wojciecha.

Uznałem, że Millennium nie może być tylko celebracją. Chciałem, żeby w Gnieźnie spotkali się parlamentarzyści, którzy stąd skierują przesłanie do

parlamentów Europy; żeby przyjechali prezydenci i sprzed grobu świętego Wojciecha wystosowali symboliczne przesłanie do narodów, a trzy wielkie Kościoły – katolicki, prawosławny i protestancki – przesłanie do wiernych w Polsce i do Kościołów Europy. Przygotowania do Wielkiego Jubileuszu trwały kilka lat. Miałem świadomość, że tysiąclecie jest wydarzeniem kościelnym wielkiej wagi, ale także politycznym i kulturowym. Na wzór czasów świętego Wojciecha, Europa znów miała się złączyć wokół swoich fundamentalnych korzeni i wartości. W świadomości Polaków utrwaliło się wezwanie wypowiedziane w Warszawie: *Niech zstąpi Duch Twój i odnowi ziemię. Tę ziemię!* Była to wigilia uroczystości Zesłania Ducha Świętego. Sama uroczystość Zesłania Ducha Świętego czyli Zielonych Świątek miała miejsce właśnie w Gnieźnie 3 czerwca 1979 roku. Tutaj papież wypowiedział znamienne słowa: *Pójdźmy ku przyszłości, weźmijcie Ducha Świętego.* To jest właściwa formuła bierzmowania całego narodu. Zesłanie Ducha Świętego to otwarcie drzwi Kościoła. Po osiemnastu latach Jan Paweł II przyjechał dokładnie na to samo miejsce, do Gniezna, aby podziękować Duchowi Świętemu za wielkie dzieło otwarcia Kościoła i za wolność, którą narody zdobyły w międzyczasie. Ten moment uznano umownie za Drugi Zjazd Gnieźnieński. W 1997 roku przesłanie papieskie brzmiało: *Nie będzie jedności Europy, dopóki nie będzie ona wspólnotą ducha.* Nawiązał do niego Jan Paweł II, zwracając się do prezydentów: *Czcigodni panowie, wasza obecność tutaj w Gnieźnie ma szczególne znaczenie dla całego kontynentu europejskiego. Tak jak przed tysiącem lat, tak i dzisiaj świadczy ona o chęci pokojowego współżycia i budowania nowej Europy, złączonej więzami solidarności. Proszę bardzo, aby Panowie byli łaskawi przekazać moje pozdrowienie swoim narodom, które tutaj reprezentujecie.*

Jan Paweł II oprócz pozdrowienia nie przekazał wtedy prezydentom żadnego wspólnego programu działania, konkretnej wizji przyszłej Europy?

W swoim przemówieniu do siedmiu obecnych w Gnieźnie prezydentów wskazał trzy podstawowe zadania. Zaliczył do nich: umacnianie instytucji demokratycznych, rozwój gospodarczy i współpracę międzynarodową. Papież stwierdził, że ich realizacja umocni jedność Europy, ale trzeba podjąć wspólny wysiłek i wznieść się ponad własne interesy i wypracować to, co najlepiej służyć będzie całemu społeczeństwu. Podkreślił, że działania te tylko wtedy będą skuteczne, gdy zapewnią taki poziom życia, który pozwoli

ludziom rozwijać wszystkie wymiary swojej osobowości. Zwrócił uwagę na potrzebę szanowania godności każdej istoty ludzkiej, uznawanie wartości humanistycznych i wolność przekonań religijnych. W mojej ocenie jest to konkretny program zaprezentowany głowom państw europejskich.

Co było najważniejsze w tym spotkaniu, co po nim pozostało?

Najważniejsze było orędzie papieskie dla podzielonej Europy i zawiezenie jedności Europy Duchowi Świętemu za wstawiennictwem świętego Wojciecha, patrona niepodzielonego jeszcze Kościoła. Poczytuję to za szczególną łaskę, że stałem się świadkiem tego, co święty Wojciech czyni dla zjednoczenia Kościoła. Sprowadził nam papieża, dał orędzie jedności, które było dynamitem duchowym, dało nadzieję i moc. Narody zapragnęły wolności, ludzie przestali bać się. Polacy z narażeniem życia zrzucili jarzmo komunizmu i rozpoczęli budować nową, demokratyczną Polskę. Żaden z polityków nie może mi wytłumaczyć, jak to się stało. Jestem świadkiem ucieleśniania się kolejnych nadziei. Jedną z nich jest dialog z Kościołem prawosławnym. Przypomnę, że Wojciech uczył się w Magdeburgu liturgii wschodniej, bo był to najdalej na wschód wysunięty punkt Cesarstwa i tam przygotowywał się do pełnienia misji na wschodzie. Wierzę, że doprowadzi to dzieło do końca.

A co przyniosła wizyta prezydentów?

Orędzie papieskie poprzez głowy państw dotarło do ich krajów i było początkiem nowej europejskiej tożsamości, pogłębiało tę zatartą częściowo świadomość. Została ona zniszczona przez propagandę komunistyczną, mówiącą o jedności proletariackiej Europy oraz przekonanie drugiej części Europy, że Europa Zachodnia jest całą Europą. To był pierwszy wielki wyłom i świadczy o ogromnej odwadze papieża. Był to akt polityczny wielkiej wagi. Biskupi mieli poważne wątpliwości, czy należy na te uroczystości zaprosić także głowy państw. Gdyby nie papież, do spotkania z prezydentami w czasie zjazdu pewnie by nie doszło. Pomysł od razu zaakceptowali zarówno papież, jak i prezydent Aleksander Kwaśniewski. Dotychczas nie było takiego precedensu, więc wystąpił problem proceduralny, kto zaprasza. Umownie, ze względu na wagę tego spotkania, nazwaliśmy spotkanie papieża i prezydentów przy grobie świętego Wojciecha w 1997 roku – II Zjazdem Gnieźnieńskim, porównywalnym do tego pierwszego, z czasów Ottona III i papieża

Sylwestra II. Następstwem papieskiej wizyty w Gnieźnie była kolejna celebracja z 1999 roku tysiąclecia kanonizacji świętego Wojciecha, której w imieniu papieża przewodniczył kardynał Angelo Sodano, sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej, w obecności pięciu premierów.

Miało ich być także siedmiu, tak jak prezydentów...

Vaclav Havel był wtedy chory, a Leonid Kuczma został na Ukrainie, bo nastąpił tragiczny w skutkach wybuch w kopalni. Przybyli więc premierzy: Litwy, Niemiec, Słowacji, Węgier i Polski. Ta idea międzynarodowych spotkań w Gnieźnie znalazła swoją kontynuację w celebracji milenijnej w roku 2000. Według mojej wiedzy, w katedrze gnieźnieńskiej odbyła się wtedy pierwsza ekumeniczna celebracja, której przewodniczyli zwierzchnicy trzech Kościołów. Stąd kolejne zjazdy mają charakter nie tylko ekumeniczny, ale międzyreligijny. Odbyły się w latach: 2000, 2003, 2004, 2005, 2007, 2010. Pragniemy, aby ludzie, którzy wierzą w tego samego Boga, łączyli się w budowaniu Polski i Europy, nie tylko gospodarczej i politycznej, ale także duchowej wspólnoty. Osobiście jestem przekonany, że bez duchowej motywacji, prawdziwej solidarności, zaangażowania i zaufania nie da się zbudować trwałej więzi w wymiarze osobowym i ludzkim.

Proszę przypomnieć, czym zajmowano się podczas kolejnych zjazdów.

W roku 2000, z okazji Wielkiego Jubileuszu Chrześcijaństwa, odbył się w Gnieźnie III Zjazd Gnieźnieński. Pierwszy miał miejsce w roku 999, drugi tysiąc lat później, stąd następny otrzymał numer trzeci. Wzięło w nim udział pięciu prezydentów państw Europy Środkowej: Litwy, Niemiec, Polski, Słowacji i Węgier. Ojca Świętego ponownie reprezentował legat papieski, kardynał Angelo Sodano. Obok ówczesnego prymasa Polski, kardynała Józefa Glempa, obecni byli również zwierzchnicy Kościoła prawosławnego i protestanckiego, intelektualiści z wielu krajów oraz młodzież z całej Europy. W swoim przesłaniu uczestnicy Zjazdu apelowali o dalszą integrację krajów i narodów Europy w duchu sprawiedliwości, wzajemnego szacunku i poszanowania odrębności. Doszło wtedy podczas nabożeństwa ekumenicznego do wzajemnego wyznania win trzech kościołów.

Kolejny zjazd odbył się po trzech latach przerwy, w roku 2003, z udziałem przedstawicieli około 80 ruchów katolickich.

Przybyło na ten zjazd około 600 osób, które starały się znaleźć odpowiedź na pytanie „Quo vadis Europa?” Do Europejczyków, a zwłaszcza do władz jednoczącej się Europy, chrześcijan i ludzi dobrej woli wystosowali orędzie, w którym upomnieli się o wartości życia chrześcijańskiego, których nie może zabraknąć w nowym, geopolitycznym kształcie starego kontynentu. Rok później, w szczególnym okresie, miał miejsce V Zjazd „Europa ducha”. Ten szczególny zjazd, w marcu 2004 roku, odbył się w przeddzień akcesji dziesięciu nowych krajów do Unii Europejskiej. Wzorem poprzednich spotkań, także to miało charakter międzynarodowy, wielokulturowy i ekumeniczny. W Zjeździe wzięło udział prawie 700 reprezentantów głównych ruchów i stowarzyszeń chrześcijańskich z całej Europy. Starali się oni pokazać Europę jako miejsce wciąż nowych inspiracji duchowych, jako kontynent, na którym chrześcijanie wciąż odradzają się w Chrystusie i proponują sprawdzone drogi Ewangelii. W trakcie Zjazdu odbyła się pierwsza Ekumeniczna Droga Krzyżowa z udziałem przedstawicieli ośmiu Kościołów chrześcijańskich.

Dwa lata później do wspólnej modlitwy dołączyli żydzi i muzułmanie. Po raz pierwszy zjazd zwołany został nie wiosną, jak dotychczas, lecz we wrześniu.

VI Zjazd Gnieźnieński w 2005 roku koncentrował się wokół hasła „Europa dialogu”. Jego uczestnicy zastanawiali się, co znaczy być chrześcijaninem w pluralistycznej Europie i w jaki sposób chrześcijanie powinni prowadzić dialog z jednoczącą się Europą. W czasie Zjazdu na rynku Gniezna miała miejsce pierwsza na ziemiach polskich wzajemna modlitwa żydów, chrześcijan i muzułmanów. Na jednym podium stanęli obok siebie imamowie, rabini i zwierzchnicy różnych Kościołów i wspólnot chrześcijańskich. Organizatorzy, prelegenci i uczestnicy tego forum starali się odkryć, a następnie zaproponować reguły właściwie pojętego dialogu w rodzinie, środowisku pracy, parafii, kraju i w Europie. Częścią zjazdu były też nabożeństwa ekumeniczne w kościołach Gniezna oraz wzajemne modlitwy z przedstawicielami judaizmu i islamu. Udział wzięło około 800 osobistości życia społecznego 15 krajów Europy. Wśród nich byli: Tadeusz Mazowiecki i Jerzy Buzek, byli premierzy Polski; Danuta Huebner, komisarz europejski do spraw polityki europejskiej; Helmut Kohl, były kanclerz Niemiec; kardynał Józef Glemp,

prymas Polski; kardynał Walter Kasper, przewodniczący Papieskiej Rady do spraw Popierania Jedności Chrześcijan, arcybiskup Michael Fitzgerald, przewodniczący Papieskiej Rady do spraw Dialogu Międzynarodowego; arcybiskup Jeremiasz, przewodniczący Polskiej Rady Ekumenicznej; arcybiskup Hilarion, reprezentant patriarchy Moskwy i Wszechrusi. Zaproszony był też kardynał Joseph Ratzinger, który miał rozpocząć spotkanie wszystkich chrześcijan, ale po wyborze na papieża jako Benedykt XVI wystosował tylko specjalny list do uczestników zgromadzenia.

W czerwcu 2007 roku na VII Zjazd także przyjechali do Gniezna znaczący goście.

Byli tutaj: prezydent Lech Kaczyński, Hans Gert Pöttering, przewodniczący Parlamentu Europejskiego, kardynał Tarcisio Bertone, sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej. Hasło Zjazdu brzmiało: „Człowiek jako droga Europy”. Jego uczestnicy zastanawiali się między innymi nad tym, w jakim zakresie działalność polityczna powinna być posługą człowiekowi, co można i należy czynić, by Europa stawała się coraz bardziej ludzka, czyli otwarta i szanująca godność każdego człowieka. Niezwykle ważnym momentem tego sympozjum była „Droga Światła ze Zmartwychwstałym”, czyli ekumeniczna modlitwa zwierzchników jedenastu Kościołów i wspólnot chrześcijańskich, biorących udział w Zjeździe.

Znów nastąpiły trzy lata przerwy, zanim odbył się ósmy, i na razie ostatni Zjazd Gnieźnieński w 2010 roku.

Tym razem temat Zjazdu brzmiał: „Rodzina nadzieją Europy”. Dyskutowano więc o rodzinie w dzisiejszym świecie i o tym, czy polityka Europy i Polski jest rodzinna czy też antyrodzinna, poruszano problematykę godności małżeństwa i rodziny. W kongresie uczestniczył ponownie prezydent Lech Kaczyński a ze strony Stolicy Apostolskiej kardynał Ennio Antonelli, przewodniczący Rady do spraw Rodziny. Byli obecni także: arcybiskup Stanisław Gądecki, metropolita poznański, arcybiskup Jeremiasz, prawosławni ordynariusze diecezji szczecińskiej i wrocławskiej oraz przedstawiciele dziewięciu Kościołów chrześcijańskich. Podkreślano, że rodzina ma kluczowe znaczenie dla przyszłości Kościoła, Europy i świata. Wezwano rządzących do kształtowania dobrej polityki prorodzinnej, społeczeństwo do

prorodzinnej samoorganizacji, a wierzących do ponownego odkrycia zamyśłu Stwórcy odnośnie małżeństwa i rodziny. Ważnym elementem Zjazdu były nabożeństwa ekumeniczne w kościołach gnieźnieńskich i w Modliszewku.

Kardynał Stanisław Dziwisz podczas uroczystości świętowojeckich w Gnieźnie podkreślił, że *Arcybiskup Henryk Muszyński zrozumiał geniusz tego miejsca na mapie Europy i z jego inicjatywy organizowane są zjazdy gnieźnieńskie, wpisujące się w troskę wielu światłych umysłów i wrażliwych sumień, by Europa nie zatraciła swoich korzeni i swojej tożsamości i umacniała swoją kulturę na mocnym fundamencie wartości, wywodzących się z Ewangelii. Czy będą kolejne zjazdy gnieźnieńskie?*

Jesteśmy w trakcie przygotowań do dziewiątego. Tym razem odbędzie się po dwóch latach od poprzedniego, w 2012 roku. Jest to duże przedsięwzięcie, które trudno przygotować w dwanaście miesięcy. Tematem najbliższego zjazdu będzie wkład ludzi wierzących, szczególnie chrześcijan i wspólnot chrześcijańskich, w budowanie społeczeństwa obywatelskiego w Polsce i Europie. Jego adresatami są młodzi ludzie, organizacje pozarządowe, samorządy i wszyscy, którzy pragną budować prawdziwie obywatelskie społeczeństwo. Chcemy pokazać, że wiara to olbrzymi kapitał społeczny dla budowania takich cnót społecznych, jak uczciwość, prawdomówność, obowiązkowość, pracowitość, poszanowanie i odpowiedzialność za dobro wspólne i pewnie wiele innych. Bez tych podstawowych wartości nie da się po prostu zbudować społeczeństwa obywatelskiego. Dotychczas patronowałem temu przedsięwzięciu jako prymas Polski; obecny prymas arcybiskup Józef Kowalczyk prosił, abym nadal przewodniczył zjazdowi pod jego patronatem. Mam nadzieję, że będzie także dziesiąty zjazd i kolejne. Zjazdy mają już swoją rangę i renomę w świadomości europejskiej i polskiej. Są dobrym przykładem budowania dobra polskiego w oparciu o różne motywy, stąd mój apel o udział w nich także niewierzących.

Zjazdy odbywają się pod honorowym patronatem kolejnych prezydentów Polski. Jak do tego doszło, kto zapoczątkował tę tradycję?

Podczas przygotowań do drugiego Zjazdu Gnieźnieńskiego spotkałem się z dużym zrozumieniem i poparciem ze strony Aleksandra Kwaśniewskiego, ówczesnego prezydenta Polski. Chętnie przyjął patronat nad Zjazdem, bez

jego czynnego udziału i zaangażowania nie byłoby spotkania prezydentów z papieżem. Podobną życzliwość wykazał prezydent Lech Kaczyński. Obecny pan prezydent Bronisław Komorowski wyraził również zgodę na patronat nad przygotowywanym dziewiątym Zjazdem.

Kto ustala tematykę Zjazdów?

Zjazd jest dziełem wiernych świeckich, tworzą go przede wszystkim środowiska zaangażowane w czynny dialog chrześcijański, jak Więź, Katolicka Agencja Informacyjna, Stowarzyszenie Pokoju i Pojednania „Effatha” i inne. Staramy się wspólnie podejmować aktualne tematy, którymi żyje społeczeństwo i które w danym momencie wydają się ważne, łączą całą Europę, Wschodnią i Zachodnią, gdyż jesteśmy pomostem między nimi. Tematem dziewiątego Zjazdu jest społeczeństwo obywatelskie, niektóre kraje europejskie są bardziej obywatelskie niż Polska, możemy się od nich uczyć. Chcemy także nasze doświadczenia przekazywać krajom leżącym na wschód i północny wschód od nas – Rosji, Ukrainie, Białorusi i Litwie.

Ta inicjatywa ma służyć aktywizowaniu społeczeństwa, ponieważ wielu z nas nie czuje się odpowiedzialnymi za życie publiczne. Starsze pokolenie ma problem z pamięcią czasów komunistycznych, wtedy człowiek mógł pozostać sobą, nie angażując się w życie publiczne, zamykał się w czterech ścianach własnego domu. Młodsze pokolenie prawdopodobnie nie angażuje się ze zwykłej wygody.

Chcemy także dać możliwość wypowiedzenia się politykom, niech określą swoje oczekiwania. Trzecia grupa uczestników to organizacje pozarządowe, które pragniemy na zjeździe zebrać i dać im możliwość podzielenia się swymi doświadczeniami. Z jednej strony będą referaty ludzi, którzy mają w tym zakresie coś do powiedzenia, ale z drugiej strony będą warsztaty, podczas których będzie można wymienić się swoją wiedzą praktyczną. Ze zjazdem łączymy pewne nadzieje, jego adresatem są przede wszystkim młodzi ludzie, którzy wchodzi w dorosłe życie. Chodzi nam najpierw o pokazanie problemu, uwrażliwienie na niego, a następnie zmotywowanie społeczeństwa do zaangażowania się w życie obywatelskie.

Kim byli i kim są ludzie, którzy mają coś do powiedzenia Europie?

Przyjęliśmy formułę, że patronat nad zjazdami obejmuje prezydent

Polski, stąd obecni w Gnieźnie byli prezydenci Aleksander Kwaśniewski, Lech Kaczyński, obiecał swoje przybycie Bronisław Komorowski. Gośćmi zjazdów byli prezydenci i premierzy państw Europy – Vaclav Havel, Roman Herzog, były kanclerz Niemiec Helmut Kohl, eurodeputowani do Parlamentu Europejskiego wraz z jego przewodniczącym Hansem-Gertem Pöeteringiem. Przyjechał kardynał Józef Glemp, prymas Polski, kardynał Walter Kasper, przewodniczący Papieskiej Rady do spraw Popierania Jedności Chrześcijan, arcybiskup Jeremiasz, przewodniczącej Polskiej Rady Ekumenicznej. Wykłady i warsztaty prowadzili wybitni uczeni, przedstawiciele wielu środowisk i kościołów.

Kto w nich uczestniczy, kogo organizatorzy zapraszają do Gniezna i skąd mają na to środki?

W założeniu zjazdu gnieźnieńskie mają pełnić rolę pomostu między Wschodem a Zachodem. Tak jak kiedyś Polacy korzystali z pomocy Zachodu, tak teraz staramy się żeby młodzi ludzie ze Wschodniej Europy mogli się czegoś nauczyć u nas. Staramy się więc pomóc w przygotowaniu ich do przyszłych zadań w społeczeństwie demokratycznym. Finansowo wspierają nas Wspólnota Polska i Senat Rzeczypospolitej Polskiej, od których otrzymujemy środki na finansowanie naszych spotkań. Dla wyjaśnienia dodam, że Wspólnota Polska i Senat dają pieniądze na rzecz Polaków z Białorusi, Rosji, Ukrainy. W innych krajach także są ludzie, którzy chcą się czegoś nauczyć i zapraszamy ich dzięki pomocy finansowej niemieckiej Fundacji Adenauera. Od początku wspomaga nas także bardzo zasłużona dla Europy Wschodniej niemiecka instytucja Renovabis i inni sponsorzy.

Czego Europa może nauczyć się od Polaków?

Historycznie biorąc, Rzeczpospolita Obojga Narodów, Polski i Litwy, jest pewnie pierwszym krajem w Europie, gdzie ściśle współdziałały ze sobą federacyjnie zjednoczone struktury ponadnarodowe. Zwrócił na to uwagę Jan Paweł II w czasie jednej z pielgrzymek do naszej ojczyzny. Historycznie też mamy piękne tradycje tolerancji religijnej, którymi się szczycimy. Polska przez wieki była ojczyzną dla ludzi różnych religii i wielu wyznań. Obiektywnie możemy więc uczyć się od naszych przodków pokojowego współżycia. Współcześnie mamy piękne tradycje solidarnościowe, które

doprowadziły do załamania się systemu totalitarnego na drodze pokojowej. Mam jednak duże wątpliwości, czy dzisiejsze postawy i działania Polaków mogą być wzorem dla innych. Nasza religijność nie jest może jeszcze dostatecznie pogłębiona, ale jest ciągle żywa. Wielu ludzi wierzących czerpie z Ewangelii motywy życia i działania. Także Kościół w porównaniu z innymi krajami Europy jest ciągle bardzo żywotny. Nie chodzi o to, by inni w sensie dosłownym naśladowali styl czy sposób życia Polaków, ale by czerpali inspiracje i podejmowali podobne działania u siebie.

Ważne jest jednak takie pytanie: Czego my możemy nauczyć się od innych krajów Europy? Powinniśmy z otwartymi oczyma i z pokorą patrzeć na innych i od nich się uczyć.

Metropolita gnieźnieński

Bulla Jana Pawła II „Totus Tuus Poloniae” z 25 marca 1992 roku w sposób rewolucyjny zmieniła granice diecezji polskich i koleje życia Księdza Arcybiskupa. Dotychczasowy biskup włocławski został arcybiskupem gnieźnieńskim. Ten życiowy zwrot był oczekiwany?

Nowy podział diecezjalny nie był dla nikogo nowością. Wiadomo było od dłuższego czasu, że Stolica Apostolska przygotowuje zmianę granic diecezji. Dla mnie osobiście zaskoczeniem było to, że zostałem posłany do nowej diecezji. Uważałem, że we Włocławku jestem zbyt krótko, żeby cokolwiek zmieniać. Angażowałem się mocno we Włocławku w sprawy administracyjne diecezji i myślałem, że muszę je doprowadzić do końca. Nic nie wskazywało wcześniej na zmianę diecezji i przeniesienie mnie do Gniezna. Dowiedziałem się o tej nominacji właśnie w Gnieźnie, podczas Konferencji Episkopatu.

Jak przyjął Ksiądz Arcybiskup przeniesienie w zupełnie nowe otoczenie, daleko od stron rodzinnych?

Taka była wola Ojca Świętego i przyjąłem ją z eklezyjalnym posłuszeństwem. Nie ja decyduję i decyzję moich przełożonych traktuję jako znak woli Bożej.

Proszę przypomnieć, na czym polegały wprowadzone przez papieża zmiany i dlaczego nazywane są rewolucyjnymi?

Ojciec Święty uporządkował zaszłości, pochodzące z czasów zaborów. Gniezno leżało na terenie zaboru pruskiego i władze pruskie nie zgadzały się na to, by metropolitą u grobu świętego Wojciecha był biskup Polak. W drodze kompromisu ze Stolicą Apostolską złączono unią personalną diecezję gnieźnieńską i poznańską. Odtąd zarządzać nimi miał jeden arcybiskup, ale jego siedzibą był Poznań. Taki stan trwał aż do śmierci kardynała Hlonda. Wtedy, znów w drodze unii personalnej, diecezje gnieźnieńska i warszawska otrzymały jednego biskupa – prymasa Wyszyńskiego, a następnie kardynała Glempa. Ten stan trwał do roku 1992, kiedy diecezje gnieźnieńska i warszawska zostały rozdzielone. W chwili nowego podziału prymas Glemp wybrał na swoją siedzibę Warszawę, dla zachowania związku z Gnieznom otrzymał tytuł honorowy kustosza relikwii świętego Wojciecha. W związku z tym w papieskiej bulli znalazł się zapis, że tytuł prymasa Polski pozostanie związany z historycznym dziedzictwem świętego Wojciecha w archidiecezji gnieźnieńskiej.

Czy wcześniej Ksiądz Arcybiskup był związany z Gniezmem?

W jakimś sensie całe moje życie wiązało się z Gniezmem. Urodziłem się na terenie metropolii gnieźnieńskiej i cała moja posługa kapłańska i biskupia była związana właśnie z Gniezmem i dziedzictwem świętego Wojciecha. To była moja metropolia od początku, choć jeszcze nie w takim stopniu jak wtedy, gdy stałem się metropolitą i uczestnikiem bogatego dziedzictwa świętowojskiego. W momencie przeniesienia uświadomiłem sobie, że to jest miejsce, w którym Pan Bóg chce mnie mieć, w którym mam służyć i pełnić wolę Bożą. Od chwili, w której dowiedziałem się, że mam iść do Gniezna – stało się ono moim domem duchowym. Byłem onieśmielony tą decyzją Ojca Świętego, bo pamiętałem, że Gniezno to także moi wielcy poprzednicy, poczynając od pierwszego prymasa Mikołaja Trąby, poprzez Jana Łaskiego, Stanisława Szembeka, Ignacego Krasickiego, Mieczysława Ledóchowskiego oraz innych wybitnych prymasów – Hlonda, Wyszyńskiego. Nie ukrywam, że dużą pomocą była życzliwa reakcja prymasa Józefa Glempa, z którym byłem związany od czasu studiów w Rzymie, za jego pośrednictwem otrzymałem wiadomość o nominacji biskupiej, był także wielkim kanclerzem ATK. On wprowadził mnie w problemy Archidiecezji Gnieźnieńskiej. Z wdzięcznością wspominam postawę głębokiej wiary i pokorę biskupa Czerniaka, naprawdę szlachetnego człowieka Kościoła i faktycznego administratora diecezji.

Dotychczasowym metropolitą gnieźnieńskim był prymas Glemp, arcybiskup metropolita gnieźnieński i warszawski. Nie wszyscy pamiętają, że kardynał Hlond był metropolitą gnieźnieńskim i poznańskim – to się zmieniło. Drugą wielką niespodzianką, która spotkała mnie 25 marca 1992 roku, obok nowego podziału diecezji, była konsekracja biskupa Stanisława Gądeckiego, który został sufraganem gnieźnieńskim i pozostał w Gnieźnie. Znałem go jako młodszego kolegę i biblistę. Dużą pomocą było to, że nie tylko biskup Czerniak, ale także pozostali biskupi, Bogdan Wojtuś i Stanisław Gądecki, od urodzenia byli w Archidiecezji Gnieźnieńskiej, znali ją i mogłem w pełni polegać na nich we wszystkich ważniejszych sprawach. Wszelkie wątpliwości, ważne problemy rozwiązywaliśmy wspólnie, ostateczna decyzja należała oczywiście do mnie jako biskupa diecezjalnego.

A nie powtórzyło się więcej podejrzenie o wprowadzanie „pruskich porządków”?

Korzystałem z doświadczeń wyniesionych z poprzednich diecezji, szczególnie diecezji włocławskiej, dokąd przenieśliem niektóre praktyki przejęte od biskupa Przykuckiego z Poznania, więc prawie miejscowe. Proszę pamiętać, że nie było tutaj ordynariusza przez ostatnie 171 lat, więc trzeba było stworzyć zaplecze administracyjne. Wprowadziłem wizytacje duszpasterskie dekanatami, wizytację kończyło podsumowanie biskupa wizytującego i poszczególnych referentów dekanalnych. Te spotkania dawały także możliwość wysłuchania pozostałych duszpasterzy. Wprowadziłem regularne sesje kurialne, by – o ile to było możliwe – załatwiać sprawy bieżące w ciągu jednego tygodnia. Prymasowskie Wyższe Seminarium Duchowne, które wchodziło w nowe struktury uniwersyteckie, wymagało nowych rozwiązań, bo część profesorów była na etatach Uniwersytetu imienia Adama Mickiewicza w Poznaniu. Trzeba też było wyjść naprzeciw zapotrzebowaniu szkół na katechetów. Zachowałem sporo zobowiązań wobec Kościoła w Polsce i Kościoła powszechnego. W realizacji spraw diecezjalnych wielce pomocni byli biskupi pomocniczy. Wielokrotnie musiałem zwracać się do nich z prośbą o zastępstwo i zawsze spotykałem się ze zrozumieniem i wyjściem naprzeciw. Moją troską było, żeby tak pogodzić te funkcje, aby nie ucierpiała diecezja.

Była jeszcze jedna nowość – prymas Polski, od wieków rezydujący w Gnieźnie, przeniósł się do Warszawy. Z Gniezmem łączyła go nadal, nieistniejąca dotychczas, godność kustosa relikwii świętego Wojciecha w katedrze gnieźnieńskiej.

Prymasów faktycznie w Gnieźnie nie było prawie od dwustu lat, przyjeżdżali tutaj na wielkie uroczystości, takie jak odpust świętego Wojciecha. W związku z tą nieobecnością spotkania kapłanów z prymasem, zamiast w Wielki Czwartek, odbywały się w łączności z odpustem świętowojcichowym. W rezydencji prymasowskiej prymas miał dwa pokoje, resztę budynku zajmowała Kuria Metropolitalna.

W coraz bliższej perspektywie były uroczystości milenijne, trzeba było kontynuować dzieło renowacji katedry rozpoczęte przez poprzedników, przygotować plac celebry, pałac arcybiskupi, pomieszczenia dla Kurii, pomyśleć o pokojach gościnnych. Należało pamiętać także o przygotowaniu wewnętrznym, duchowym do zbliżających się uroczystości i temu miał służyć Synod Archidiecezji Gnieźnieńskiej.

Rozdzielenie godności prymasa Polski i arcybiskupa gnieźnieńskiego miało jeszcze jeden, dość nieoczekiwany skutek. Po przybyciu do Gniezna Ksiądz Arcybiskup nie miał gdzie zamieszkać...

Nie było tak źle, mogłem przejąć dotychczasowe mieszkanie księdza prymasa Glempa, który faktycznie mieszkał w Warszawie. Rezydencja wymagała jednak adaptacji do nowych warunków oraz renowacji. Ksiądz prymas zachował swoje pokoje w Pałacu Prymasowskim, ja prawie na dwa lata zamieszkałem w rezydencji uchodzącej za pałac biskupa Antoniego Laubitza. Dokończyłem budowę połączonego z Pałacem Prymasowskim skrzydła, do którego przeniosła się Kuria. Dopiero wtedy można było odrestaurować właściwą rezydencję i dostosować ją do potrzeb stałego pobytu. Starłem się oczywiście tak dalece, jak to było możliwe, aby zachować jej charakter z czasów moich poprzedników. W rezydencji pozostały wszystkie obiekty należące do archidiecezji, między innymi pozostawiono obrazy po kardynale Wyszyńskim.

Bardziej widoczne było jednak to, co się działo w katedrze.

Kontynuowałem rozpoczętą przez moich wielkich poprzedników odno-

wę. W katedrze przeprowadzono renowację, w tym również konfesji świętego Wojciecha, rozpoczętą przez księdza kardynała Glempa. Mnie przypadło w udziale dokończenie i pozłocenie tej konfesji oraz zbudowanie ołtarza głównego. Ołtarz w założeniu nawiązuje do pierwszego ołtarza fundacji Ottona III, który był stosunkowo mały, ale ze złotym antependium. Pierwszy projekt wykonał Wawrzyniec Samp z Gdańska. Komisja do renowacji katedry, z udziałem przedstawicieli z Warszawy, uznała, że w katedrze powinien stanąć bardziej okazały ołtarz. Za pośrednictwem profesora Zygmunta Świechowskiego poznałem niemieckiego rzeźbiarza Heinricha Buckera, którego poprosiłem o wykonanie projektu, a on bardzo chętnie się tego podjął. Później był także wykonawcą ołtarza. To była bardzo kosztowna inwestycja i biskupi niemieccy przejęli ją jako fundację Episkopatu Niemieckiego. Dopiero przed śmiercią rzeźbiarza poznałem jego tajemnicę związaną z tym ołtarzem. Otóż w latach siedemdziesiątych prymas Wyszyński z kardynałem Wojtyłą byli w Kolonii i tam zobaczyli jedno z jego dzieł. Prymas Wyszyński powiedział wtedy, że jest ono godne nawet katedry gnieźnieńskiej. Bucker wziął sobie te słowa do serca i gdy zwróciłem się do niego z prośbą o zaprojektowanie ołtarza, bardzo chętnie wyraził gotowość wykonania go bez ustalania ceny. Do końca zresztą jej nie poznałem... Ołtarz stanowi przejście od brązowych Drzwi Gnieźnieńskich do złoczonej konfesji, dlatego ma połączone postaci, chociaż nie zwykło się złocić monumentalnych, brązowych dzieł sztuki. Nadto ma niesłychanie bogatą symbolikę biblijną. Podsuwałem Buckerowi motywy biblijne, a on je w moim przekonaniu wspaniale zrealizował, czyli utrwalił w brązie. Katedra nie była wyłącznym przedmiotem mojego zainteresowania. Troszczyłem się także o konserwację i renowację kościołów w diecezji, uzyskiwanie zgody na budowę nowych świątyń. Chcąc pomóc biedniejszym parafiom, stworzyłem diecezjalny fundusz budowlany. Dwa razy w roku odbywała się w archidiecezji zbiórka na renowację i budowę nowych świątyń.

Znalazłem podsumowanie tych działań dokonane przez księdza Mirosława Jasińskiego. Wylicza w nim, że: *Staraniem księdza arcybiskupa Muszyńskiego wykonano również wierną replikę skradzionego w 1921 roku złotego relikwiarza głowy świętego Męczennika, wykonano iluminację katedry oraz przeprowadzono rozległe prace konserwatorskie w podziemiach katedry, utworzono kaplicę błogosła-*

wionego Radzima Gaudentego, uporządkowano kaplice arcybiskupów i prymasów w kryptach Kaplicy Łubieńskich. Ukoronowaniem wszystkich tych prac stało się wpisanie katedry gnieźnieńskiej wraz z całym Wzgórzem Lecha, Rezydencją Prymasów, kolegiatami i dzwonnica na listę Dziedzictwa Europejskiego (2007 r.). Podejmowane z inicjatywy ks. abp. Muszyńskiego rozliczne prace restauracyjne i konserwatorskie prowadzone na przestrzeni 18 lat zarówno przy bazylice prymasowskiej w Gnieźnie, jak również w dziesiątkach kościołów naszej archidiecezji (14 całościowo odrestaurowanych zabytkowych kościołów, 39 świątyń konsekrowanych, w tym 20 zupełnie nowych) sprawiło, że uhonorowano Go nagrodą Polskiego Stowarzyszenia Konserwatorów Zabytków im. Księdza prof. Janusza Stanisława Pasierba: „Conservator Ecclesiae” oraz Nagrodą Wojewody Wielkopolskiego i Wielkopolskiego Konserwatora Zabytków za opiekę nad zabytkami w Województwie Wielkopolskim (2007 r.), a także Medalem Kazimierza Wielkiego za zasługi dla miasta Bydgoszczy (2004 r.) i Medalem Koronacyjnym za zasługi dla Grodu Lecha i jego mieszkańców (2005 r.).

Nie jest to pewnie wszystko, bo znalazłem jeszcze inne, nieujęte w tym opracowaniu działania.

Ja też sobie przypominam, że władze Uniwersytetu imienia Adama Mickiewicza podkreślają wkład Księdza Arcybiskupa w powołanie w Gnieźnie Kolegium Europejskiego. Wracając do podsumowania – po raz kolejny pojawiło się nazwisko księdza Pasierba.

Odwiedził mnie kiedyś w Gnieźnie, a ja poradziłem się go w ważnej sprawie – miejsca ustawienia konfesji świętego Wojciecha. Pierwotnie srebrna trumienka z relikwiami znajdowała się na środku katedry i tam niektórzy historycy chcieli umieścić tumbę, czyli kamienny sarkofag świętego Wojciecha. Zdaniem innych, tumbę należało przesunąć do starego kapitułarza, pod chór. Krytykowano też ustawienie barokowej konfesji w zregotyzowanym wnętrzu katedry. Na próbę ustawiliśmy trumienkę z konfesją w prezbiterium i wtedy pojawił się w Gnieźnie ksiądz Pasierb. Spojrzał i zapytał: *Czy widziałeś kiedyś kosztowny klejnot bez oprawy? Sama trumienka ginie na tym cokole z piaskowca. Konfesja da jej stosowną oprawę.* Nie byłbym tak pewny swego zdania w tej kwestii, gdyby nie ta opinia. Srebrna trumienka stoi pod złoconą konfesją, za nimi znajduje się zabytkowa tumba. Z dwóch

stron sąsiaduje z barokowymi bramami. Zachowana została jedność ideowa grobu i relikwii – dla mnie to ważne. Zawsze się cieszę, kiedy widzę ludzi klękających i modlących się u grobu świętego. Według mnie to dowód, że to była słuszna decyzja.

Czy w srebrnej trumience z relikwiami rzeczywiście znajdują się szczątki świętego Wojciecha? Przecież czeski Brzetysław w 1038 roku obrabował katedrę, zabierając z niej relikwie męczennika.

Według źródeł polskich, dano Czechom relikwie błogosławionego Radzima vel Radzyna, przyrodniego brata Wojciecha i pierwszego biskupa gnieźnieńskiego. Nikt jednak nie ma pewności co do ich autentyczności, choć są to na pewno relikwie męczenników. Ale mamy w Gnieźnie relikwie, których autentyczność nie budzi żadnych wątpliwości. Jest to część ramienia świętego Wojciecha, ofiarowana w roku tysięcznym cesarzowi Ottonowi III w Gnieźnie przez Bolesława Chrobrego. To ramię zostało umieszczone w kościele pod wezwaniem świętego Wojciecha na Isola Tiberina, Wyspie Tyberyjskiej w Rzymie. Po kradzieży, w 1923 roku, relikwiarza głowy świętego Wojciecha kardynał Hlond poprosił papieża Piusa XI o część tych relikwii i otrzymał je w 1928 roku. Kardynał Wyszyński z okazji Millennium Chrztu Polski ufundował relikwiarz w kształcie ręki, w którym te relikwie są przechowywane. Ksiądz prymas Glemp powziął zamiar wykonania repliki relikwiarza głowy, skradzionego w latach dwudziestych. Nie zdążył doprowadzić tego dzieła do końca i ja je kontynuowałem. Dziś więc dysponujemy drugim relikwiarzem, sporządzonym w roku 2000 jako fundacja kapłanów Archidiecezji Gnieźnieńskiej. Jest to dzieło autorstwa Stanisława Tyrały. Tam również znajdują się autentyczne relikwie świętego Wojciecha, a ja dopuściłem się kolejnego męczeństwa na szczątkach męczennika, dzieląc fragment kości na kawałki.

Dość często jestem pytany o autentyczność relikwii świętego Wojciecha i potwierdzam wtedy, że w Gnieźnie mamy autentyczny fragment ramienia męczennika.

... tyle że w relikwiarzach, a nie w srebrnej trumience na ołtarzu. Co w niej się znajduje?

Na pewno relikwie męczenników. W średniowieczu gromadzono razem

relikwie wielu świętych, żeby były bardziej skuteczne. Trudno dziś twierdzić, na ile są one autentyczne.

W każdym razie w ołtarzowej trumience – jest to drewniany relikwiarz obłożony srebrną blachą, dzieło gdańskiego złotnika Piotra van der Rennen z XVII wieku – znajduje się maleńka skrzyneczka, przypuszczalnie z kosztownego drewna cedrowego. Dopiero w niej złożono relikwie.

Jak przetrwały okres drugiej wojny światowej, kiedy katedra została przekształcona na salę koncertową?

Srebrna trumienka została najpierw przeniesiona do kościoła ojców franciszkanów, a następnie zdeponowana w niemieckim banku. Niemiecki żołnierz Urban Thelen, katolik, zabrał skrzyneczkę z relikwiami, owinał w gazetę i w teczce zawiózł pociągiem do Inowrocławia, gdzie przekazał ją niemieckiemu księdzu. Ksiądz ukrył ją na kościelnej wieży i tam przetrwała wojnę. Gdy brat biskupa Karla Lehmana napisał artykuł o pustym sarkofagu w Gnieźnie, Urban Thelen odpowiedział, że nie jest pusty, bo on uratował te relikwie.

Zaprosiłem go na uroczystości milenijne do Gniezna i mogłem go przedstawić Ojcu Świętemu.

Relikwie znów znalazły się w niebezpieczeństwie, gdy w 1986 roku złodzieje siekierą odrąbywali srebrne orły z trumienki.

Interesowało ich srebro, nie relikwie. Relikwiarz został odnowiony, relikwie wróciły na miejsce, a ksiądz prymas Glemp kazał wykonać miniaturę srebrnej trumienki, której używamy podczas różnych uroczystości. W sumie mamy więc kilka relikwiarzy zawierających relikwie świętego Wojciecha, ale zauważyłem, że w świadomości Polaków najbardziej utrwalił się relikwiarz ręki. Jest noszony w procesji podczas uroczystości odpustowych świętego Wojciecha i świętego Stanisława, w Gnieźnie i w Krakowie. W ostatnich latach liczba relikwiarzy znacznie się zwiększyła, bo przybyło nowych świętych i błogosławionych, ale na ołtarzu celebry stoją zawsze relikwiarze dwóch głównych patronów Polski. Nimi udziela się błogosławieństwa. Jednego roku został wystawiony odrestaurowany relikwiarz głowy, ale ludzie domagali się relikwiarza ręki, więc podczas następnych uroczystości wróciliśmy do tradycji. Przekonałem się po raz kolejny, jak silna może być tradycja.

Na milenium śmierci świętego Wojciecha pojawiła się także nowa ikona z wizerunkiem patrona Gniezna.

Inspiracją do zamówienia takiego wizerunku był obraz świętego Wojciecha, wykonany w duchu tamtych czasów na obchody dziewięćsetnej rocznicy jego śmierci za czasów arcybiskupa Floriana Stablewskiego. Wojciech jako patron niepodzielnego Kościoła domagał się ikony, która byłaby do zaakceptowania również dla Kościoła prawosławnego. Na właściwą drogę naprowadził mnie ksiądz prałat Jerzy Steckiewicz z kościoła katolickiego w Kaliningradzie, wskazując jako wykonawcę mnicha Zinona z Pskowa. Gdy ksiądz poprosił o namalowanie ikony świętego Wojciecha, mnich mu powiedział: *Ja wiem, po co ksiądz przyjechał. Po ikonę świętego Wojciecha – właśnie ją maluję.* Ponieważ była namalowana bardziej w konwencji prawosławnej, zwróciłem się do profesora Atanasa Kameszewa z Bułgarii o napisanie ikony w konwencji cyrylo-metodiańskiej, która odpowiadałaby tradycji historycznej czasów świętego Wojciecha. Profesor Kameszew podjął się tego zadania, ale przejął twarz świętego z pierwotnej, wcześniejszej ikony. Mamy teraz dwie oryginalne ikony – pierwsza wisi na cokole tumbi świętowojskiej, drugą wraz z delegacją zawiozłem do Rzymu Ojcu Świętemu. Miałem okazję przedstawić mu wcześniej historię tej ikony i papież wyraził życzenie, żeby umieścić ją w kościele świętego Bartłomieja na Wyspie Tyberyjskiej, który był pierwotnie kościołem pod wezwaniem świętego Wojciecha. Tam znajdują się relikwie ramienia świętego Wojciecha, подарowane przez Bolesława Chrobrego cesarzowi Ottonowi III. Dziś ta ikona zdobi ołtarz z relikwiami świętego Wojciecha. Do czasu zaborów Polacy, udający się do Rzymu, rozpoczynali swoją wizytę u relikwii świętego Wojciecha. Zwyczaj ten zanikł w czasie zaborów, kiedy Polskę usunięto z map Europy. Moim gorącym pragnieniem i życzeniem jest, aby po beatyfikacji Jana Pawła II wznowić ten piękny zwyczaj jako wyraz wdzięczności wobec papieża Polaka, a także jako znak wolnej i demokratycznej Polski. Modlę się w tej intencji i jestem głęboko przekonany, że jeżeli nie za mojego życia, to później ta idea doczeka się realizacji. Dla papieża Jana Pawła II Gniezno zawsze było kolebką i sercem chrześcijaństwa w Polsce. I ciekawa rzecz – nawet prawosławni to uznają. Ci, którzy tutaj przyjechali z Siergiejew Posad, partnerskiego miasta Gniezna, powiedzieli: *Z serca prawosławia do kolebki chrześcijaństwa zachodniego.* I co pocieszające, władze miejskie realizują współpracę tych dwu miast. Ja także złożyłem wizytę władzom Siergiejew Posad i akademii prawosławnej, znanej na całą Rosję. Natomiast mnisi swoją wizytę w Polsce rozpoczęli od Gniezna.

Owoce tych kontaktów jest ikona Matki Bożej Częstochowskiej, która dziś znajduje się w klasztorze Stołobieńskaja Pustelnia koło Ostaszkowa. Było to ostatnie miejsce pobytu naszych oficerów zamordowanych i spoczywających w Miednoje.

Podczas uroczystości milenijnych, w 1997 roku narodził się nowy zwyczaj – rozsyłania od grobu świętego Wojciecha misjonarzy.

Wizyta papieska w 1997 roku przyczyniła się do tego, że uroczystości świętowojechowe zostały ubogacone. Po zakończeniu Mszy świętej papież rozdał po raz pierwszy krzyże około pięćdziesięciu misjonarzom i misjonarce. Dzisiaj pamiątką po pobycie papieża jest wielki znak dla Europy – misjonarze udający się na misję otrzymują krzyże misyjne, są one im wręczane w imieniu papieża przez nuncjusza. Każdego roku wyjeżdża około czterdziestu misjonarzy duchownych i świeckich, także małżonków, jako znak nadziei, że Polska w coraz bardziej laicyzującej się Europie jest nadal krajem dającym misjonarzy, w ścisłym, jak i szerszym znaczeniu tego słowa. Od grobu świętego Wojciecha udają się zarówno do krajów misyjnych, jak też z pomocą duszpasterską do tych, gdzie istnieje hierarchia kościelna, ale brakuje kapłanów. Polscy misjonarze są na całym świecie, dosłownie na całym świecie. Od 1997 roku ksiądz arcybiskup Józef Kowalczyk w imieniu Ojca Świętego posłał do ewangelizacji narodów prawie siedmiuset misjonarzy. Dla mnie to dar Boga otrzymany za pośrednictwem świętego Wojciecha. Drugą pamiątką tego milenium jest pomnik – obelisk z napisami, ustawiony u stóp Góry Lecha od strony zachodniej. Ten pomnik jest przypomnieniem, że papież był darem dla Kościoła i dla Gniezna – niepowtarzalnym darem, zostawił nam swoje orędzie jako zadanie do urzeczywistnienia. Wszyscy pamiętamy słowa papieża: *Ewangelia jest darem i zadaniem do urzeczywistnienia*. To znalazło swój zmaterializowany kształt w tym pomniku. Jak już wspomniałem, papież był w Gnieźnie w dzień Zesłania Ducha Świętego, dzień otwarcia się Kościoła, miało tu miejsce bierzmowanie narodu. Papież użył wtedy formuły: *Pójdziemy ku przyszłości, weźmijcie Ducha Świętego*. Warto zwrócić uwagę, że to nie jest zachęta tylko stwierdzenie, że dla Boga wszystko jest możliwe. Papież prorok naszych czasów widział dalej i głębiej. Nie wahałem się powiedzieć, że w roku 1979 był bodaj jedynym, który naprawdę wierzył, że Duch Święty może otworzyć bramy Kościołowi. Po latach, w roku 1997, przyjechał po raz drugi do Gniezna, żeby podziękować Duchowi Świętemu.

Pamiętką drugiej pielgrzymki są słowa: *Nie będzie jedności Europy jeżeli nie stanie się ona wspólnotą ducha. Ani polityka ani gospodarka nie zjednoczą Europy. Potrzebna jest duchowa więź, potrzebne jest to, by to, co łączy ludzi w budowaniu Europy, było mocniejsze niż to, co dzieli.*

Zanim odbyły się wielkie uroczystości, katedra musiała zostać do nich odpowiednio przygotowana. Między innymi wyprowadzono z niej archiwum.

Kiedy przyszedłem do Gniezna, jedną z pierwszych była informacja, że archiwum znajduje w lewej nawie katedry, a jej stropy są ośmiokrotnie bardziej obciążone niż pozwalają na to standardy. Poszedłem to zobaczyć i uznałem, że absolutną koniecznością jest przeniesienie archiwum w odpowiedniejsze miejsce. Od początku więc zabiegałem o stworzenie warunków odpowiadających obecnym standardom. Dzięki pomocy Unii Europejskiej mamy dziś jedno z najnowocześniejszych archiwów, obecnie trwa jego kolejna adaptacja. To przeniesienie umożliwiło podjęcie dalszych kroków. Udało się znaleźć pomieszczenia dla Biblioteki Katedralnej i unowocześnić Muzeum Archidiecezji Gnieźnieńskiej. W Gnieźnie zbudowano wcześniej Dom Samotnej Matki i Dziecka, ale wymagał on wyposażenia. Przejęła go archidiecezjalna Caritas i stworzyła liczne oddziały terenowe oraz ośrodek pomocy kryzysowej. Ponadto Wydawnictwo Gaudentinum otrzymało nowoczesne wyposażenie.

Podczas pierwszej pielgrzymki do Gniezna, papież spotkał się z wiernymi na byłym poligonie wojskowym w Gębarzewie. Podczas drugiej msza papieska miała się odbyć w pobliżu grobu świętego Wojciecha, tylko że nie było tutaj takiego miejsca. Znalaziono je na terenie zasypanego jeziora Świętego. Trzeba je było zagospodarować.

Druga pielgrzymka miała już miejsce w nowej rzeczywistości, a także w nowym otoczeniu. Przygotowanie wizyty papieskiej miało bardzo szeroki zasięg i odbywało się przy czynnej współpracy i zaangażowaniu władz wojewódzkich i miejskich. Ze szczególną wdzięcznością wspominam pana wojewodę Włodzimierza Łęckiego, miłośnika i znawcę ziemi wielkopolskiej, w którego sercu Gniezno zajmuje także wiele miejsca. Przy jego ogromnym zaangażowaniu i finansowej pomocy województwa poznańskiego, a także

współdziałaniu władz miejskich, udało się stworzyć piękny plac celebry. Odtąd już uroczystości religijne, jak i wiele miejskich, odbywają się u stóp katedry. Powstał plac, który dobrze służy mieszkańcom. Także dzięki pomocy funduszy europejskich kończymy renowację Wzgórza Lecha, by stworzyć godne otoczenie dla obiektu, który szczyli się unikalnym tytułem Mater omnium ecclesiarum totius Poloniae czyli Matki wszystkich kościołów w Polsce. Jeżeli przetłumaczymy to dosłownie, mieszkańcy Poznania zaprotestują, że ich katedra była starsza, co jest prawdą. Należy to rozumieć jako Matka wszystkich świątyń Kościoła Metropolitalnego w Polsce. A to określenie jest niepodważalne. Pierwsza metropolia w Gnieźnie obejmowała podówczas trzy diecezje sufraganealne, mianowicie: Kraków, Wrocław i Kołobrzeg, czyli całą ówczesną Polskę. Katedra metropolitalna była równocześnie katedrą koronacyjną królów Polski, koronowano w niej pięciu pierwszych królów. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, okres przygotowań do papieskiej pielgrzymki przypadł na czas prezydentury Bogdana Trepieńskiego, który przez trzy kadencje był prezydentem Gniezna i osobiście zaangażował się ogromnie w przygotowanie i przeprowadzenie uroczystości rocznicowych. Bez tego wspólnego wysiłku i zaangażowania wielu innych ludzi, których trudno tutaj wymienić, obchody w takim wymiarze byłyby niemożliwe. Wszyscy rozumieliśmy, że jest to także promocja Gniezna, zarówno w wymiarze Polski, jak i Europy. Kiedy, u początku mojego pasterzowania w Gnieźnie, byłem w Watykanie, jeden z wysokich urzędników kościelnych, mówił mi: *Gnezno, Gnezno, gdzie już to słyszałem*. W samym Watykanie ze względu na stałe zamieszkanie prymasa w Warszawie łączono jego osobę w sposób zrozumiały z Warszawą a nie z Gnieznom. Dla wielu związek Kościoła z Gnieznom miał wymiar wyłącznie historyczny.

Czy teraz już to się zmieniło?

Zmieniło się ogromnie. Dzisiaj na ogół już wiedzą, co to jest Gniezno. I nie tylko w Watykanie. W Brukseli też znają Gniezno dzięki zjazdom gnieźnieńskim, które nadały mu ponownie wymiaru europejskiego.

O znaczeniu Gniezna w historii państwa polskiego mówił wielokrotnie profesor Gerard Labuda, znakomity historyk rodem z Kaszub.

Dla mnie to najznakomitszy znawca średniowiecza, mediewista i mi-

łośnik Gniezna. Był zwolennikiem prymacjalności Gniezna i jej obrońcą. Wszystkie swoje prace dotyczące Gniezna, odbitki i nie tylko, także monografie, w tym monumentalną monografię dotyczącą Kaszub, przysyłał mi osobiście z dedykacją. Niejeden raz mieliśmy okazję prowadzić dyskusje na temat prymasa jako interrekta dawniej i dziś. Był zdania, że funkcja interrekta jest bardzo ważna. Był honorowym obywatelem Gniezna i Gnieźnianinem Roku 2009. Miałem okazję przekonać się, jakim szacunkiem darzył go Jan Paweł II. Napisał wspaniałe dwie monografie, o świętym Wojciechu i świętym Stanisławie. Monografia o świętym Stanisławie czekała wiele lat, zanim mogła zostać wydana drukiem. Była gotowa już w okresie komunizmu, nie została wtedy opublikowana, ponieważ profesor Labuda obawiał się że może zostać wykorzystana przez komunistów przeciwko Kościołowi. Dlatego wydał ją dopiero po upadku komunizmu. Miałem zaszczyt obydwie monografie z piękną łacińską dedykacją wręczyć osobiście Ojcu Świętemu. Wcześniej prosiłem profesora Labudę, żeby pojechał do Rzymu i spotkał się z papieżem, ale nie czuł się na siłach. Dlatego mnie spotkał ten zaszczyt przekazania jego dzieła. Odbyło się to podczas bytności w Rzymie, na obiedzie u Ojca Świętego. Zanim rozpoczęła się kolacja, Jan Paweł II odczytał na głos dedykację. Na tym samym obiedzie był kardynał Henryk Gulbinowicz, który wręczył papieżowi album z kongresu eucharystycznego. Po zakończeniu kolacji Jan Paweł II zabrał ze stołu dwie książki profesora Gerarda Labudy, a pozostawił na nim piękny album. Ksiądz kardynał Gulbinowicz z właściwym sobie humorem nie omieszkął dodać: *Widzisz, twoje książki były ważniejsze. A wiesz, ile mnie ten album kosztował?* Moją wielką radością było to, że mogłem okazać Profesorowi wdzięczność przez nadanie i osobiste wręczenie mu Medalu „Zasłużony dla Archidiecezji Gnieźnieńskiej”. Przy tej okazji przypomniałem jego zasługi dla obrony prymacjalności Gniezna. Jednym z ostatnich aktów uhonorowania profesora było wręczenie mu albumu z mojej posługi prymasowskiej wraz z pięknym zdjęciem, utrwalającym moment wręczenia Medalu „Zasłużony dla Archidiecezji Gnieźnieńskiej”. Profesor Labuda był najznakomitszym przedstawicielem Kaszubów. Jak sam twierdził, nawet śnił po kaszubsku. Pochodził z Luzina, gdzie do dziś mówi się jeszcze po kaszubsku. Spotkał mnie ten zaszczyt, że głosiłem homilię na jego pogrzebie i miałem okazję go pożegnać, wyrazić miłość i szacunek do osoby i dzieła profesora Gerarda Labudy. Zawsze podziwiałem tę jego przedziwną symbiozę ogromnej uczoneści z dziecięcą, prostą wiarą. Przypominam sobie, co mówił, gdy w czasach komunistycznych usunięto go ze stanowiska rektora

uniwersytetu. Ktoś go wtedy pytał, co będzie robił. Odpowiedział: *Ja dam na mszę. Jakąś pracę zawsze sobie znajdę.*

Jako metropolita gnieźnieński wrócił Ksiądz Arcybiskup do pracy naukowej, do pisania?

Początkowo miałem wykłady w seminarium duchownym, zainaugurowałem szkołę biblijną w diecezji, próbowałem znów pisać. Teraz zajmuję się pisaniem tylko doraźnie, najczęściej piszę artykuły, homilie, przygotowuję rekolekcje. I mam świadomość, że bardzo wielu planów nie udało mi się zrealizować. Jeszcze w Pelplinie rozpocząłem prace nad monografią o Słowie Bożym. Skończyło się na kolejnych artykułach związanych z tą tematyką, na monografię nie starczyło czasu. Pasjonował mnie temat „Bóg Biblii” który podjąłem jako temat monograficzny wykładów na ATK. Niestety skończyło się na dobrych chęciach, a notatki leżą gdzieś w stercie papierów. Wątpię, czy starczy mi sił i czasów, żeby do nich wrócić. Wiem, że potrzeby żywego człowieka mają pierwszeństwo przed teorią, więc trudno mi odmówić, gdy proszą o rekolekcje, a ja akurat miałem zamiar coś napisać.

Jednak mimo tych rozlicznych zajęć, dorobek naukowy profesora Henryka Muszyńskiego jest spory. Znalazłem zestawienie, z którego wynika, że jest Ksiądz Arcybiskup autorem licznych prac naukowych oraz kilku haseł do Encyklopedii Katolickiej. Naukowcy podkreślają, że Ksiądz Arcybiskup jest jednym z nielicznych badaczy, który w sposób merytoryczny zajął się rękopisami z Qumran. Prace naukowe dotyczą przede wszystkim biblistyki, kapłaństwa, dialogu chrześcijan z wyznawcami judaizmu, duchowej jedności Europy. Ogółem liczba publikacji, na które składają się artykuły, recenzje, homilie i orędzia oraz książki ukazujące się w Polsce i za granicą wynosi około 370. Co więcej, biegła znajomość języków pozwala na bardzo szerokie kontakty międzynarodowe, wygłaszanie referatów na sympoziach krajowych i międzynarodowych. Czy przybędzie tych pozycji na liście?

Ciągle jeszcze staram się nadrobić zaległości, także w pisaniu. Między innymi spisuję teraz moje homilie.

Katedra gnieźnieńska jest nie tylko miejscem modlitwy, ale także pomaga w promowaniu stołecznej roli Gniezna. Wiszące w niej flagi przypominają że „Tu powstała Polska”. To wspólne przedsięwzięcie Księdza Arcybiskupa i władz powiatowych?

Te dwie rzeczywistości: katedra jako siedziba biskupa i miejsce kultu oraz stołeczność są ze sobą nierozłącznie związane od tysiąca z górą lat. Przypomina nam o tym oficjalna nazwa: Gniezno Miasto Świętego Wojciecha, Pierwsza Stolica Polski. Powstanie Metropolii w roku tysięcznym w ówczesnych warunkach gwarantowało prawowitą działalność władzy królewskiej. Namaszczenie na króla, które odbywało się w katedrze, było jednoznaczne z objęciem władzy królewskiej. Jak wiadomo, właśnie tutaj w Gnieźnie miały miejsce koronacje aż pięciu pierwszych królów polskich.

Wzajemne relacje władzy świeckiej i kościelnej zmieniały się w ciągu wieków. Dziś obydwie władze są autonomiczne i niezależne, ale współpracują ze sobą we właściwych sobie zakresach dla dobra wspólnego. Według mojego doświadczenia ta współpraca układa się pozytywnie i dobrze, że w takim historycznym miejscu jak katedra prymasowska daje się temu symboliczny wyraz. Jak o tym świadczą napisy, jest to wspólne dzieło proboszcza katedry oraz władz powiatowych. Nie mogę więc sobie jej przypisywać, ale uznaję ją za ze wszech miar piękną i słuszną.

Papież Polak i jego pielgrzymki

Wspominał Ksiądz Arcybiskup często, że w Gnieźnie znalazł się z woli Ojca Świętego. Jak to się stało, że kardynał Karol Wojtyła, a może papież Jan Paweł II zwrócił uwagę na zdolności biskupa Muszyńskiego?

Pamiętam nasze pierwsze spotkanie z 1961 roku, kiedy studiowałem na KUL-u. W grupie księży-studentów staliśmy przed wejściem do kościoła akademickiego, oczekując na rozpoczęcie uroczystości inauguracji roku. Podszedł do nas ksiądz w czarnej sutannie, pytając gdzie jest wejście do zakrystii. Uznałem, że powinienem służyć wyjaśnieniem i powiedziałem, że nie ma osobnego wejścia, a głównym mogą nie wpuścić, bo jest inauguracja. Koledzy wyjaśnili mi, że to był biskup Wojtyła z Krakowa. Ocenili też, że to była niewłaściwa odzywka. Prawdopodobnie na KUL-u spotykaliśmy się przy różnych okazjach nie wiedząc o tym, ale ksiądz profesor Wojtyła był związany z katedrą teologii moralnej i filozofii, a moim polem działania był zakład biblistyki. Później, w czasie studiów rzymskich, mieszkaliśmy w Kolegium Polskim. Kardynał Wojtyła, wtedy jeszcze biskup, uczestniczył w pracach soboru, ja dotarłem tam dopiero podczas drugiej sesji. Znał mnie chyba właśnie stamtąd, tak jak i pozostałych mieszkańców Kolegium. Spotykaliśmy się przecież codziennie podczas uroczystości, także osobiście. Po otrzymaniu papieskiej nominacji miałem okazję do wielokrotnych spotkań z Janem Pawłem II jako sufragan diecezji chełmińskiej, później biskup włocławski i w końcu arcybiskup gnieźnieński. Dzięki uprzejmości ówczesnego księdza prałata, a następnie biskupa Stanisława Dziwisza, byłem często gościem u Jana Pawła II. Mieliśmy niepisaną umowę, że ilekroć byłem w Rzymie

w niedzielę, informowałem o tym telefonicznie księdza Dziwisza. Obiecał, że jeżeli tylko będzie to możliwe, zaprosi mnie w imieniu Ojca Świętego na obiad. Przyznam nieskromnie, że korzystałem z tych zaproszeń bardziej niż często. Jako arcybiskup gnieźnieński bywałem na tych obiadach niemal za każdym pobytem w Rzymie.

Kto zasiadał do stołu z Janem Pawłem II?

Podczas moich odwiedzin zasiadaliśmy do obiadu w małym, nieformalnym gronie, z reguły tworzyli je polscy biskupi.

Jak wyglądała procedura takich odwiedzin?

Przychodziłem do windy łączącej apartamenty papieskie z wejściem, strażnicy telefonicznie potwierdzali odwiedzinę u księdza Dziwisza i wjeżdżałem windą do mieszkania Jana Pawła II. Papież bardzo żywo interesował się tym, co się dzieje w Polsce. Prowadziliśmy bardzo bezpośrednie rozmowy, a jednocześnie mogłem poznać bliżej ujmującą osobowość Jana Pawła II. Kontynuował te spotkania także w ostatnich dniach, kiedy już był ciężko chory i siedział na wózku inwalidzkim. Nawet wtedy potrafił zażartować ze swojej choroby. Dla Jana Pawła II pewną formą relaksu, a zapewne także radością było to, że mógł mówić po polsku. Podczas spotkań oficjalnych, gdy każdy mówił innym językiem, Papież odpowiadał w języku interlokutora, ale nawet przy dobrej znajomości języków było to pewnym wysiłkiem. Nigdy nie stwarzał dystansu, wręcz usiłował go skrócić. Przypominam sobie znamienity przykład. Jako sekretarz specjalny synodu biskupów miałem podczas audiencji papieskiej przedstawić osiemnastu ekspertów, których synod miał do dyspozycji. Ponieważ poznaliśmy się dopiero na synodzie, nie pamiętałem nazwisk wszystkich Afrykanów, Azjatów, Hiszpanów, a moim obowiązkiem było przedstawić ich Ojcu Świętemu. Nie wypadało jednak czytać nazwisk z kartki. Papież chyba zauważył moje napięcie i niektórych uczestników spotkania, którzy po raz pierwszy byli na takiej audiencji. Nieoczekiwanie rozpoczął więc spotkanie od pytania: *Ile monsignore Muszyński płaci wam za tę ciężką robotę dla synodu?* Odpowiedzieli, że nic. Wtedy Papież stwierdził: *Pod takim szefem ja bym nie chciał pracować* i rozładował napiętą atmosferę. Wszyscy się roześmiali. Był też inny zabawny incydent, z udziałem tego samego gremium. Był wśród nas czarny ksiądz, z Afryki. Pracuje do dziś

w Watykanie. Gdy szliśmy po synodzie na spotkanie z Ojcem Świętym, niósł ze sobą swoje zdjęcie z Janem Pawłem II. Spytałem go, po co je ze sobą zabiera. A on na to, że papież musi je podpisać, bo inaczej nikt mu nie uwierzy, że był u papieża. I gdy podszedł do nas Jan Paweł II, śmiało powiedział: *Ojciec Święty, czy można prosić o podpis?* Papież spojrzał na mnie i po polsku spytał: *I co z takim zrobić?* Ja na to: *Podpisać.* Wziął pióro i podpisał. Każdy z nas by się krępował, a on nic, tylko chce podpisu od papieża, bo bez tego rodzina mu nie uwierzy. Inna mentalność.

Z pierwszej pielgrzymki do Gniezna zapamiętałem wielką umiejętność rozmowy Jana Pawła II z ludźmi, zwłaszcza z młodymi i jego bezpośredni kontakt z tłumem. Ksiądz Arcybiskup miał możliwość spotkania się z papieżem wtedy w Gnieźnie?

Oczywiście, w 1979 roku wybrałem się z rodziną i przyjaciółmi do Gniezna. W tamtej pielgrzymce uczestniczyłem jeszcze jako „czarny” ksiądz. Byliśmy zarówno na nabożeństwie przed katedrą, jak i na spotkaniu przed rezydencją prymasowską. Papież rozmawiał z ludźmi z balkonu nad wejściem. Mnie udało się dostać na schody rezydencji. Przy samym wejściu zobaczył mnie ksiądz prałat Dziwisz, który mnie znał jeszcze z czasów rzymskiego kolegium. Wyjął plik obrazków papieskich i – co poczytuję za dowód szczególnego zaufania – podał mi nad głowami stojących obok mnie uczestników spotkania. Gnieźnianie zauważyli to i prosili: *Daj jeden!* Część obrazków schowałem do kieszeni dla najbliższych, resztę zacząłem rozdawać. Szybko otoczył mnie tłumek i obrazki się skończyły. Pokazałem, że mam puste dłonie i wtedy jeden z gnieźnian krzyknął: *Pokaż co masz w kieszeni.* Jestem ciekawy, czy ktoś to pamięta, zgłosi się i potwierdzi to zdarzenie. Nie mam już tamtych obrazków, ale znajdę dla niego jakiś godny obrazek. Później, już jako biskup uczestniczyłem we wszystkich kolejnych pielgrzymkach papieskich do ojczyzny, w 1997 roku byłem nawet przewodniczącym komitetu pielgrzymkowego i jako taki należałem do ścisłej świty papieskiej, nosiłem nawet znaczek watykański, wreszcie aż trzykrotnie przyjmowałem papieża jako gospodarz diecezji.

Po raz pierwszy we Włocławku w 1991 roku. Jakie wrażenia pozostały z tamtych dni?

Spotkanie odbywało się na lądowisku szybowcowym, jego tematem był dekalog. Przypadło w uroczystość Serca Jezusowego. Nie muszę dodawać, że byłem ogromnie przejęty. Szczególnie dramatyczny był moment apelu do Europy, przypominający w kontekście bliskości miejsca śmierci księdza Popiełuszki, że do Europy należą także męczennicy, wśród nich ksiądz Jerzy i że to oni kształtowali kulturę europejską. Wielkim zobowiązaniem dla nas, żyjących, jest obrona wartości, za które oni umierali. Jak wspominałem wcześniej, na życzenie papieża doszło wtedy do spotkania z nauczycielami i katechetami. Było to ogromne przeżycie. Był rok 1991, nauczyciele dotychczas poddawani ogromnej indoktrynacji, mogli wysłuchać słów Papieża, skierowanych bezpośrednio do nich. Papież mówił: *Młodzież i dzieci są przyszłością narodu i Kościoła, są tą przyszłością oni, młodzi ludzie, ale są nią w oparciu o rodzinę, o szkołę, o Kościół, o naród, o cały naród... Pragnę dzisiaj tu, z tego miejsca i przy okazji tego spotkania, po prostu ucałować jeszcze raz ręce moim rodzicom, a równocześnie ucałować ręce moim nauczycielom, nauczycielkom i moim katechetom, którzy uczyli mnie w szkole podstawowej, w gimnazjum, aż do matury, kładąc fundament pod przyszłość człowieka.* Zapamiętałem, że podczas tej pielgrzymki często padał deszcz i niepogoda sprawiła, że najadłem się wstydu przed Ojcem Świętym.

Wszystko, co dotyczy Jana Pawła II jest warte zapamiętania...

Dobrze. Podczas tej pielgrzymki towarzyszyłem papieżowi wśród innych biskupów w odwiedzinach kolejnych miast. Podczas Mszy papieskiej w Kielcach przyszła burza, spadł rżęsisty deszcz, a ołtarz nie miał zadaszenia i papież zmókł. Widząc to, nie pojechałem dalej z orszakiem papieskim, lecz popędziłem do Włocławka żeby sprawdzić, jak wygląda nasze zabezpieczenie przed deszczem. Spytałem inżyniera, który nadzorował budowę ołtarza, czy jesteśmy dobrze przygotowani na ulewę. Zapewnił mnie, że mamy nie tylko mocny dach, ale nawet rynny. *Tutaj nic się nie może stać* – przekonywał mnie. Byłem dumny, że u nas papież nie zmoknie. Podczas mszy zaczęło padać, lecz papież siedział na tronie pod dachem, więc byłem spokojny, że nie zmoknie. Nagle zobaczyłem z przerażeniem, że kamerdyner wyciąga i rozkłada nad Ojcem Świętym parasol! Okazało się, że dach miał załamania, osunął się dokładnie nad tronem papieskim i woda leciała z dachu wprost na to miejsce, gdzie stał tron papieski. Wtedy sobie pomyślałem, że Pan Bóg karze moją próżność i pychę.

Właśnie we Włocławku przeżyłem najbardziej emocjonujący moment moich spotkań z Janem Pawłem II.

W jakich okolicznościach?

Podczas tej pielgrzymki we Włocławku papież nawiązał do roli męczenników dla Europy i Polski. Podczas homilii powiedział między innymi: *Kulturę europejską tworzyli męczennicy trzech pierwszych stuleci, tworzyli ją także męczennicy na wschód od nas w ostatnich dziesięcioleciach i u nas w ostatnich dziesięcioleciach. Tak, tworzył ją ksiądz Jerzy. On jest patronem naszej obecności w Europie za cenę ofiary z życia, tak jak Chrystus.* Wracaliśmy później samochodem z Ojcem Świętym, ksiądz Dziwisz i ja. Powiedziałem wtedy: *Ojczy Świąty, te słowa były wprost od Ducha Świętego.* Papież nie zaprzeczył, ale powiedział, że ile razy oderwie oczy od tekstu, wypowiada każde słowo z wielkim drżeniem. Doświadczyłem namacalnie, jaka odpowiedzialność za każde słowo spoczywa na papieżu. Wiedziałem o tym, ale reakcja papieża, te jego słowa, pomogły mi to sobie uświadomić w sposób pełniejszy. Pobyt we Włocławku przypadł na uroczystość Serca Jezusowego, w piątek. Święto znosi piątkowy post, więc przygotowaliśmy się po polsku na przyjęcie papieża Polaka. A on zjadł kawałek rybki i więcej nie chciał. Nie bardzo wiedziałem, co się dzieje. Kardynał Glemp domyślił się jednak i zwrócił mi uwagę, że papież pości. Poprosiłem siostry w kuchni: – *Dajcie jajko dla papieża.* Siostry się przeraziły: *Jakie jajko? – Zwykłe, sadzone.* Szybko je usmażyły i papież zjadł bez słowa komentarza. Mało kto zauważył ten incydent. Wszystko było przygotowane właśnie dla papieża, nie wykluczając oczywiście także innych gości, a on zadowolił się kawałkiem rybki, która miała stanowić zakąskę, i jajeczkiem, którego w ogóle nie było w programie. Zdarzyła się także druga mała „wpadka”. Przy obiedzie z reguły papież nie przemawiał. Tutaj jednak, ze względu na szczególne związki z Włocławkiem, miejscem w którym ongiś Stefan Wyszyński jako alumn i ksiądz zdobywał swoją formację i otrzymał święcenia, a także z powodu bliskiej łączności z obecnym tam biskupem Majdańskim, wstał i przemówił. Nikt, nawet watykańscy, nie był na to przygotowany i nie miał magnetofonu, żeby nagrać jego słowa. Wołali do nas: *Nagrajcie to,* ale nikt nie miał przy sobie odpowiedniego sprzętu. Na szczęście alumni mają dobrą pamięć. Przy ich pomocy udało się odtworzyć przemówienie wiernie i dokładnie.

Podczas przygotowań do pielgrzymki milenijnej w 1997 roku Ksiądz Arcybiskup był przewodniczącym komitetu obchodów, zna więc od kulis przebieg przygotowań do niej. Proszę powiedzieć, czy papież uczestniczył w przygotowaniach scenariusza pielgrzymki, znał jej szczegóły, kto pisał jego przemówienia i na podstawie jakich materiałów?

Każda z pielgrzymek poprzedzona była spotkaniami u Ojca Świętego, gdzie omawiano szczegółowo jej problematykę. Papież szczegółowo pytał o warunki i potrzeby duchowe diecezji. W przypadku Gniezna nie miałem wiele do powiedzenia, gdyż papież miał bardzo wyraźną wizję obchodów jubileuszu śmierci świętego Wojciecha, ale z ogromną uwagą wysłuchał sugestii, dotyczących przygotowań i przebiegu uroczystości. Od początku było wiadomo, że gnieźnieńska pielgrzymka będzie miała charakter europejski, że będzie przypominała tysiącletnią przynależność Polski do Europy i wspólne chrześcijańskie korzenie Europy. Było również wiadome, że będzie jej patronował święty Wojciech. Papież w duchu i wzorem świętego Pawła potrafił wykorzystać zarówno wielki genius loci, jak i genius temporis Gniezna. Ile razy wracam do przesłania Papieża, pozostawionego nam w Gnieźnie jako zadanie do wypełnienia, staję pełen zdumienia nad tym, jak wspaniale i głęboko Jan Paweł II potrafił wykorzystać ten wyjątkowy moment historyczny i nadać jemu historiozabawczy sens na dziś i na jutro. Ilekroć wracam do tych tekstów, a wracam bardzo często, tyle razy podziwiam ich głębię. Te przekazy były tak skondensowane, że wiele aspektów trudno przy pierwszym czytaniu uchwycić. Oczywiście, pytaliśmy Ojca Świętego o jego życzenia, on pytał o warunki, okoliczności, problemy. Wszyscy mogliśmy uczyć się od Papieża gotowości do słuchania i duchowej służebności. Prosił też biskupów o materiały do homilii, które później wykorzystywał w sposób sobie właściwy. Chciał jeszcze znać oczekiwania pasterzy odpowiedzialnych za diecezję, ale też kapłanów i wiernych. Bez żadnych zastrzeżeń, z ogromną otwartością, przyjął moją propozycję obecności w Gnieźnie siedmiu prezydentów, zwłaszcza z krajów byłego bloku radzieckiego. Z równą otwartością zaakceptował to prezydent Aleksander Kwaśniewski. Pozostał tylko problem proceduralny – kto wystosuje zaproszenia.

I jakie znaleziono wyjście z tej sytuacji?

Ustaliliśmy, że prezydentów w imieniu państwa zaprosi Aleksander Kwaśniewski – głowa państwa, zaś ze strony Kościoła w imieniu biskupów

zaproszenia wystosuje kardynał Józef Glemp – przewodniczący Episkopatu Polski i arcybiskup gnieźnieński – gospodarz i organizator. Tak się stało – do prezydentów wysłano po dwa zaproszenia. Podpisywaliśmy wraz z kardynałem Glempe podwójne zaproszenia do wszystkich prezydentów. Był to fakt bez precedensu.

Jakie wrażenia pozostawiła ta pielgrzymka, co Księdzu Arcybiskupowi jako gospodarzowi i organizatorowi najbardziej utrwaliło się w pamięci?

Szczególnie utkwily mi w pamięci dwa wydarzenia.

Zanim papież udał się z posługą, wczesnym rankiem był w kaplicy. Nie bardzo wiedziałem, jak się zachować i poszedłem za nim. Podszedł do ławki i w pewnym momencie zaczął się modlić na głos, nawet zaintonował pieśń. Wtedy wyszedłem i czekałem na niego na korytarzu. W takim momencie widać było ducha tego człowieka. Takich chwil się nie zapomina. Wielokrotnie doświadczałem tego, że Papież był naprawdę wolnym człowiekiem. Czynił wszystko bez zastrzeżeń, co Duch Święty mu podpowiadał. Nie podlegał żadnym ograniczeniom, jakie narzuca tak zwany image, był po prostu sobą – wspaniałym w swoim człowieczeństwie, bezkompromisowym jako chrześcijanin i jako bezgranicznie oddany sługa sług Bożych. Stąd jednym imponuje swoim człowieczeństwem, inni podziwiają jego głęboką i żywą wiarę, a jeszcze inni zaświadcniają, że takiego papieża jeszcze nigdy nie było. Znałem Piusa XII jako papieża – był hieratyczny, wspaniały, znamy Pawła VI, ale nikogo nie znałem, kto potrafił tak rozśmieszyć ludzi. Publicznie, na oczach całego świata potrafił zacząć śpiewać albo robić miny.

A drugi moment – miałem okazję oprowadzać papieża po katedrze, świadomy wagi tej historycznej chwili i znaczenia, które sam papież tej wizycie przypisywał. Dla mnie był to jeden z wielkich i ważnych znaków nie tylko dla mnie osobiście, ale i dla Kościoła. Prawie nie istniał dystans czasowy tysiąca lat, przeżywałem ten moment jako wielkie wydarzenie, znak Boga, dla którego nie ma czasu i przestrzeni, tego samego ducha i tej samej Ewangelii. Usiłowałem w wyobraźni odtworzyć czasy świętego Wojciecha. Mogłem prawie namacalnie stwierdzić, jak wiele się zmieniło i jednocześnie doświadczyć, co jest istotne, najważniejsze w dziejach, życiu i trwaniu narodu. W czasach świętego Wojciecha był inny świat, ale ten sam Bóg, ten sam Duch Święty, to samo działanie. Potwierdzenie tego znalazłem w stwierdzeniu

Ojca Świętego: *Świadectwo świętego Wojciecha jest wciąż żywe i wciąż trwa. Świadectwo to znaczy Ewangelia wyrażona życiem.*

Przez jedną noc papież przebywał w Gnieźnie, był jego mieszkańcem. Co robił, gdy wypełnił oficjalny program, gdzie nocował?

Odstąpiłem mu moje prywatne mieszkanie, ja spałem gdzie indziej. Otrzymaliśmy wcześniej wytyczne co do rodzaju łóżka dla papieża, a zwłaszcza jego wysokości. Takie łóżko zostało przygotowane i papież na nim spał. Do niedawna, gdy mieszkałem w rezydencji, korzystałem właśnie z łóżka papieskiego. Ale zapomnieliśmy o jednej rzeczy – w Watykanie miał okiennice, a w Gnieźnie były zwykłe zasłony, światło z ulicy by mu przeszkadzało w nocy. W tej sprawie wcześniej interweniował prałat Dziwisz. Zaciągnęliśmy jednak grube story i zaradziły. Tamtego dnia wieczorem papież był tak zmęczony, że nie jadł kolacji, prałat Dziwisz wziął coś ze stołu i zaniósł mu to do pokoju. Wczesnie rano papież pierwszy był już w kaplicy.

Co zostało na pamiątkę tej papieskiej obecności w Gnieźnie w 1997 roku?

Cztery rzeczy – papież na zakończenie pielgrzymki powiedział: *Jako pamiątkę swojej pielgrzymki do grobu świętego Wojciecha pozostawiam wam poświęconą replikę przepięknego baldachimu nad trumienką świętego Wojciecha. Na odrestaurowanym grobie świętego Męczennika złożyłem swój podpis na znak wielowiekowej wspólnoty Kościoła rzymskiego z Kościołem polskim i osobistej więzi następcy świętego Piotra ze swoim narodem. Poświęciłem również brązowy ołtarz, będący fundacją Episkopatu Niemieckiego. Polsce pozostawiam w darze koronowany wizerunek Matki Bożej, Pani Gniezna. Papież przypomniał też, że mieszkańcom Bydgoszczy przywiózł dar w postaci tytułu bazyliki mniejszej, a mieszkańcom Kaliningradu ikonę świętego Wojciecha. Dał nam też niepowtarzalną interpretację przesłania zawartego na Drzwiach Gnieźnieńskich. Dostrzegł w nich nie tylko brązowy epos życia świętego Wojciecha, ale cały przegląd przeszło tysiącletnich dziejów naszego narodu.*

Jak to mamy rozumieć?

Zaznaczył w sposób szczególny testament duchowości świętego

Wojciecha na Drzwiach Gnieźnieńskich: *Duchowość świętowojciewa, której szczegóły wyryte są na Drzwiach Gnieźnieńskich, stanowią dla nas drogowskaz wzrastania ku tym wartościom, które są nieodzowne dla Europy poszukującej trwałej jedności. Wyrastają one przecież z Ewangelii i znajdują w niej swój fundament.* Europie zostawił testament świętowojciewy, wyryty na Drzwiach Gnieźnieńskich, które są symbolem obecności Polski w Europie od dziesięciu wieków. One reprezentowały Polskę na różnych międzynarodowych zjazdach, między innymi w Berlinie, Brukseli. Drzwi Gnieźnieńskie przedstawiają sceny, które obejmują całość życia świętego Wojciecha w wymiarze indywidualnym: narodzenie, chrzest, rodzinę, Kościół, władzę świecką i religijną i określają zadania, jakie chrześcijanin ma do spełnienia w tej przestrzeni przez pracę, modlitwę i służbę. One nie tylko wyrażają życie świętego Wojciecha, ale w gruncie rzeczy wyrażają życie rodziny człowieczej, i w Europie, i w Polsce. Papież to tak nazwał, dla mnie było to nowe spojrzenie, dostrzegłem za nim, że Drzwi Gnieźnieńskie przedstawiają sceny, które obejmują całość życia w wymiarze indywidualnym i wspólnotowym. Papież widział w drzwiach wymiar zbiorowy, uznał że jest na nich wyryte w brązie posłannictwo społeczeństwa i indywidualnych ludzi.

Nie ma jednak najbardziej widocznego symbolu obecności i znamienych słów Jana Pawła II wypowiedzianych w Gnieźnie w latach 1979 i 1997 roku, w postaci choćby papieskiego pomnika. Był taki pomysł, żeby go ufundować?

Słowa papieża to żywy pomnik. Słyszałem kiedyś w czasie obiadu u Ojca Świętego, jak jeden z biskupów pochwalił się, że któryś z kolei pomnik papieża stanął w jego diecezji. Papież spytał, czy nie za dużo tych pomników i to stawianych za życia. Wtedy wspomniał, że lepszy jest żywy pomnik – dom samotnej matki i dziecka, przytułek dla bezdomnych, szkoła. To mnie tak zainspirowało, że wstrzymałem w Bydgoszczy budowę pomnika, mimo że istniał już komitet jego budowy, i rozpoczęliśmy budowę szkoły pomnika Jana Pawła II, którą dokończył mój następca, biskup Jan Tyrawa. Dzisiaj jest to ważny ośrodek kultury chrześcijańskiej i znak chrześcijańskiej przyszłości dla Bydgoszczy. Mieszczą się tam wszystkie katolickie instytucje wychowawcze, od żłobka aż do liceum, które były dotychczas rozproszone. W Gnieźnie nie ma wprowadzić materialnego, brązowego pomnika Jana Pawła II, ale jest

pomnik świętego Wojciecha i korzystam z okazji, by podziękować za tę inicjatywę i wkład w budowę szczególnie Towarzystwu Miłośników Gniezna i wszystkim, którzy się w to dzieło zaangażowali oraz ofiarodawcom datków na ten cel. Pomnik poświęcił papież i to też jest pamiątką jego osoby i pobytu w Gnieźnie. Podobną pamiątką jest również oficjalny tytuł Gniezna: Pierwsza Stolica Polski, Miasto Świętego Wojciecha. Wreszcie u podnóża Góry Lecha stoi znak i symbol jedynej w swoim rodzaju uroczystości Zesłania Ducha Świętego 3 czerwca 1979, symbolu początku końca komunizmu. Na nim wypisane są słowa, ciągle niedoceniane z pierwszej pielgrzymki: „Pójdziemy ku przyszłości. Weźmijcie Ducha Świętego.” I z 1997: „Nie będzie jedności Europy, jeżeli nie stanie się ona wspólnotą ducha.” Ten pomnik ma kształt Drzwi Gnieźnieńskich, to aktualizacja i przeniesienie przesłania papieskiego w XXI wiek. Dopełnieniem pielgrzymki do grobu świętego Wojciecha była kolejna pielgrzymka, z okazji tysięcznej rocznicy jego kanonizacji w 1999 roku. Nie było na niej osobiście Ojca Świętego, przewodniczył jej legat papieski na wzór tamtej z czasów papieża Sylwestra II.

Dlaczego Jan Paweł II wtedy nie skorzystał z okazji do odwiedzin Polski i Gniezna?

Trudno wymagać od papieża, żeby co roku przyjeżdżał do Polski. Tym razem przewodniczył pielgrzymce legat papieski, kardynał Angelo Sodano. Po rozmowie z Ojcem Świętym wiedziałem, że będzie prosił kardynała Sodano, drugą osobę w Watykanie, żeby był jego delegatem. Ja nieco wyprzedziłem tę prośbę i uprzedzałem go, że zostanie zaproszony na jubileusz do Gniezna. Tłumaczył, że jest bardzo zajęty i nie wie, czy będzie mógł przyjechać. Gdy spotkaliśmy się po raz drugi, był już po rozmowie z Ojcem Świętym. Chętnie i radośnie skorzystał z możliwości przyjazdu i przewodniczenia uroczystościom jako legat papieski, w miejsce papieża. Bezpośrednią okazją było tysiąclecie kanonizacji świętego Wojciecha. W gruncie rzeczy uroczystość obchodów stanowiła już inaugurację milenium i dziękczynienie za tysiąc lat istnienia metropolii i archidiecezji gnieźnieńskiej. Uczestniczyli w nich także przedstawiciele tych państw, z których wcześniej prezydenci towarzyszyli Ojcu Świętemu w 1997 roku. Tym razem byli to ministrowie spraw zagranicznych.

Również w 1999 roku, w czerwcu, papież przyjechał do Polski, ale ominął Gniezno i odwiedził Bydgoszcz. Były ponoć ku temu szczególne powody.

Tak, ta pielgrzymka stanowiła wyraźny wyjątek. Bydgoszcz nie była jeszcze miastem biskupim. Z rozmów z papieżem wiedziałem jednak, że zamierza stworzyć diecezję bydgoską i dlatego z zadowoleniem przyjął prośbę o odwiedzenie Bydgoszczy. O swoich związkach z Bydgoszczą mówił w czasie pobytu w tym mieście, dzieląc się wspomnieniami wiążącymi się z Bydgoszczą. Stacja bydgoska była przewidziana jako stacja nowych męczenników, ze względu na biskupa Kozala, który był kiedyś prefektem w żeńskim gimnazjum i liceum w Bydgoszczy. Większość biskupów była zdania, że beatyfikacja nowych męczenników powinna mieć miejsce w Warszawie i tak się stało. Papież ogłosił tam i beatyfikował 108 męczenników. Tematyka bydgoska była poświęcona wierności i świadectwu Ewangelii i wierze chrześcijańskiej. Papież zwrócił uwagę na szczególny wymiar zwyczajnego, duchowego męczeństwa, które wiąże się z wiernością swoim zwyczajnym, codziennym obowiązkom. Męczeństwa ukrytego w tajnikach ludzkiego serca, ludzkiego wnętrza; męczeństwa ciała i ducha, męczeństwa walki z samym sobą, z własnymi słabościami, męczeństwa wierności własnemu powołaniu i posłannictwu. Trwanie i wierność pośród codzienności może być i jest często heroiczną formą świadectwa i najwyższą próbą własnego człowieczeństwa. Wszystkie pamiątki związane z tą pielgrzymką – mensa ołtarzowa, szaty, inne przybory – przechowywane są w kościele świętych Polskich Męczenników na Wyżynach, które niedawno zostały ubogacone relikwiami błogosławionego Jerzego Popiełuszki. Tak niejako zamyka się krąg męczenników z czasów świętego Wojciecha, poprzez męczeństwo biskupa Kozala i 108 męczenników naszych czasów, skończywszy na księdzu Jerzym. Dla nas oznacza to, że męczennicy, święci, są pośród nas. Taki wniosek nasuwa się zwłaszcza teraz, po beatyfikacji Jana Pawła II.

Pielgrzymka do Bydgoszczy była ostatnią bytnością Jana Pawła II na terenie Archidiecezji Gnieźnieńskiej. Które z jego słów, wtedy wypowiedzianych, powinniśmy zapamiętać?

Nie jest zapewne przypadkiem, że pierwsza encyklika papieska była poświęcona człowiekowi. Już na samym początku papież wskazał człowieka jako drogę Kościoła. Oznacza to pewien przewrót kopernikański, w tym

sensie, że w tradycyjnym nauczaniu Kościoła był drogą do człowieka. Papież postawił człowieka w samym środku posłannictwa Kościoła. Cały jego pontyfikat był niczym innym jak służbą człowiekowi, otwarciem go na światło Ewangelii i orędzie nadziei z niej płynące.

Co Jan Paweł II pozostawił nam, Polakom, po sobie?

Polakom przypomniał, że wielowiekowa wiara i wspólnota wyznaniowa jest także wielkim zobowiązaniem do świadectwa w wymiarze europejskim i powszechnym. Swoim życiem zaś zaświadczył, co jest w życiu chrześcijanina najważniejsze. Głęboka osobista więź i wspólnota z żyjącym Chrystusem, Ewangelia poświadczona życiem, wszystko to, co skrótowo nazwać można jednym słowem – świętość. Szczególnie, począwszy od Drugiego Soboru Watykańskiego, który przypomniał o powszechnym powołaniu do świętości, ustawicznie akcentował, że świętość to nie jest charyzmat dla wybranych a powszechne powołanie każdego chrześcijanina. Uroczystość beatyfikacji, którą niedawno przeżyliśmy, jest potwierdzeniem, że nie były to puste słowa, ukazała nam świętość jako zadanie urzeczywistnione i wypełnione w życiu chrześcijanina. Ostatnim akcentem i przesłaniem, które poza świadectwem własnego życia nam zostawił, jest nadzieja Bożego miłosierdzia. Nie tylko zostawił nam świętą Faustynę i bazylikę Bożego Miłosierdzia, ale także poświęcił Kościół, świat i rodzaj ludzki Bożemu miłosierdziu jako znak nadziei w czasach niewątpliwie trudnych, czasach zubożnienia religijnego i daleko posuniętej laicyzacji. Miłosierdzie jest kształtem miłości nieskończonego Boga pochylonego nad słabym, ułomnym człowiekiem, który nierzadko nawet nie jest świadomy swojej grzeszności. Bóg miłosierny świadczy, że miłosierdzie jest większe niż ludzka słabość. Jest jednocześnie Ewangelią nadziei dla wszystkich, zostawił nam ją papież.

Co zmieniła śmierć Jana Pawła II, jaki wpływ miała na Polaków?

Wyrosło całe pokolenie Jana Pawła II, które nie znało Kościoła bez niego. Pytali: *Co teraz będzie?* Odpowiadałem: *Kościół trwa, będzie nowy papież. Módlcie się.* Było to dla nich prawie niezrozumiałe. Olbrzymia mobilizacja i autentyczna wspólnota zbudowana z prawdziwego smutku i głębokiej wiary. Jednocześnie nadzieja, że coś się zmieni na lepsze. Bo Polacy w dniu żałoby byli inni – złączył ich wspólny smutek, autentyczne przeżycie żalu

za kimś droгим i bliskim. Dzięki temu czuli się sobie bardzo bliscy. Tamtego dnia wiedzieliśmy, że papież jest konający. O godzinie dziewiątej wieczorem zebraliśmy się na apel jasnogórski w katedrze. Katedra była pełna ludzi. W czasie apelu doniesiono mi, że papież nie żyje. Poleciałem, aby oznajmił to dzwon Wojciecha. Tego bicia dzwonu w milczącej katedrze wypełnionej ludźmi nigdy nie zapomnę. Był przedłużeniem orędzia i obecności papieża, dla mnie także znakiem nadziei, ponieważ Wojciech żyje, pomimo iż upłynęło dziesięć wieków od jego śmierci. A więc znak przedłużenia ziemskiego życia. To wspomnienie odżyło we mnie, kiedy się dowiedziałem o terminie ogłoszenia Jana Pawła II błogosławionym. Żyje w gruncie rzeczy to, co w chrześcijaństwie jest najważniejsze – ideał czyli powołanie do świętości, wiara, że ze śmiercią nic się nie kończy, a właściwie wszystko zaczyna się w sposób inny, prawdziwy i pełny, z życia w Życie. Jeszcze jedno osobiste wspomnienie z tym związane. W zimie 2010 roku byliśmy w Miednoje, groby, pomnik, napisy zasypane śniegiem, taka prawdziwa tajga rosyjska. Na pomniku tysiące nazwisk niewinnych ludzi, żołnierzy, oficerów bestialsko zamordowanych strzałem w tył głowy. Pod tym pomnikiem znajduje się dzwon. Jedyny dzwon, jaki widziałem, który znajduje się w ziemi. Kapelan rozbijał ten dzwon. Usłyszałem jego jęk, który wydobywał się z wnętrza ziemi. Było to takie przeżycie, że ciarki mnie przeszły. Z ziemi, w której leżą pomordowani, słyszę głos dzwonu. Nie ukrywam, że miałem łzy w oczach. I pierwsze odczucie – to jęk pomordowanych. Ale potem sobie uświadomiłem, że dźwięk z wieży czy z ziemi, zawsze głosi jedną i tę samą prawdę – o życiu, nie o śmierci, o życiu po śmierci we wspólnocie ze zmartwychwstałym Panem.

Czy Benedykt XVI jest kontynuatorem dzieła Jana Pawła II?

Przeżywałem w bezpośredniej bliskości, jako członek Kongregacji Nauki Wiary, wzajemną relację między Janem Pawłem II i kardynałem Ratzingerem. Miałem okazję doświadczać i słyszeć, z jakim szacunkiem papież odnosił się do kardynała Ratzingera. Zresztą to był jego wybór i jego myśl, żeby przed laty tego, wtedy stosunkowo młodego kardynała, sprowadzić z Monachium do Rzymu i powierzyć mu pierwszą i najważniejszą z dykastyriów watykańskich, uczynić go stróżem wiary. Wielokrotnie słyszałem też opinie kardynała Ratzingera o wypowiedziach papieża, dostrzegałem jego bardzo bliską i serdeczną relację z Janem Pawłem II. Odczytuję to jako opatrnościowe dzieło naszych czasów. Wszystko wskazuje na to, że bez Jana Pawła II kardynał

Ratzinger nie byłby prefektem kongregacji z wszystkimi konsekwencjami tego faktu. Kiedy słyszałem jego przemówienie na pogrzebie Jana Pawła II, nie miałem cienia wątpliwości, kto będzie następnym papieżem. Moi znajomi z Niemiec pytali mnie, kto będzie następcą Jana Pawła II. Mówiłem im: *Wy tego nie wiecie? Ratzinger*. Po wyborze telefonowali do mnie i mówili: *Zaiste jesteście prorokiem*. Nie byłem i nie jestem prorokiem, ale ponieważ z bliska miałem okazję doświadczyć wzajemnych relacji Jana Pawła II z Ratzingerem i Ratzingera z papieżem, patrząc na to z perspektywy wiary – a znałem w większości wszystkich potencjalnych kandydatów – tak mi wychodził „rachunek” ukazany w modlitwie. Modliłem się żeby Duch Święty dał nam tego, który jest najlepszy na nasze czasy. Nie modliłem się o Ratzingera, tylko o najlepszego. Pan Bóg potrafi spełnić jedno i drugie. Podsumowując, prawdopodobnie gdybyśmy nie mieli Ratzingera obok papieża, pontyfikat Jana Pawła II wyglądałby inaczej, niż dziś wygląda. Bo nie wiem, czy jest drugi kardynał wśród współpracowników papieża, który miał taki wkład, zwłaszcza w wymiar doktrynalny pontyfikatu Jana Pawła II, jak Ratzinger. Dzisiaj, z perspektywy sześciu lat pontyfikatu Benedykta XVI, dostrzegam już nie tylko podobieństwo i kontynuację, ale także wyraźne różnice. Jan Paweł II był mistykiem, filozofem, myślicielem i teologiem. Benedykt XVI jest jednym z najwybitniejszych teologów naszych czasów, nominalnie i z wykształcenia jest dogmatykiem. Nie waham się jednak twierdzić, że z powołania jest dogmatykiem, biblistą i patrologiem. Od nikogo się tyle o Biblii nie dowiedziałem, co od niego. Jestem pełen podziwu dla sposobu, w jaki biblista staje przed interpretacją Biblii, którą znajduję w pismach, przesłaniach, orędziu Benedykta XVI. Jest znawcą i miłośnikiem nie tylko Pisma Świętego, ale i ojców Kościoła, potrafi łączyć wspaniałe Słowo Boże ojców Kościoła, tradycje, a jednocześnie trafiać do współczesnego człowieka. To wyjątkowy dar i wyjątkowa łaska.

Prymas Polski

Czy była możliwość, że Benedykt XVI odbierze arcybiskupowi gnieźnieńskiemu tytuł prymasa Polski i przekaże go metropoliecie warszawskiemu? Mógł się kierować tym, że prymas Józef Glemp od lat rezydował w Warszawie, gdzie jest stolica kraju.

Prymasostwo wrosło w Gniezno i nigdy nie było od niego oderwane. Prymasi Hlond, Wyszyński, Glemp byli mianowani prymasami jako arcybiskupi metropolici gnieźnieńscy. Ponieważ nie rezydowali faktycznie w Gnieźnie, wierni mentalnie rozdzielili te dwie funkcje. Tytuł i funkcja prymasa w świadomości większości Polaków stanowi niepowtarzalną godność samą w sobie i stawiana jest nierzadko ponad inne godności. Prymas uznawany jest przez wielu za głowę Kościoła katolickiego w Polsce. Utrwaleniu takiego przekonania służył fakt, że zarówno prymas Wyszyński, jak i prymas Glemp byli równocześnie przewodniczącymi Konferencji Episkopatu Polski. W Gnieźnie natomiast prawie powszechnie za ordynariusza gnieźnieńskiego uważano biskupa pomocniczego, którym za czasów prymasa Glempa był biskup Czerniak. Okazuje się, że nie był to żaden wyjątek, bo widziałem dokumenty z czasów prymasa Hlonda, mówiące: *Kiedy prymasem Polski był August Hlond, a biskupem gnieźnieńskim Antoni Laubitz*. Natomiast nigdy nie zapomnę mojej pierwszej wizyty u Jana Pawła II z księdzem kardynałem prymasem Glempem. Kiedy papież nas zobaczył, przywitał nas uśmiechem i powiedział: *Tego nawet w Watykanie nie pamiętają – prymas i arcybiskup gnieźnieński w dwóch osobach*. Widać, jak integralnie dla Jana Pawła II prymasostwo łączyło się z Gnieznem. Dał temu wyraz w buli Totuus Tuus

Poloniae populus z 1992 roku, na mocy której nastąpił nowy podział administracyjny Kościoła w Polsce. Ponieważ kardynał Glemp wybrał Warszawę, papież zaznaczył w tym dokumencie: *Pomimo że prymas kardynał Józef Glemp mieszka w Warszawie, prymasostwo nadal zostaje związane z osobą arcybiskupa gnieźnieńskiego*. Od tego momentu upłynęło sporo czasu i pewnie niektórzy oczekiwali, że w nowej rzeczywistości prymasostwo będzie połączone z Warszawą, ale oznaczałoby to powrót do czasu rozbiorów, gdy w Warszawie rezydował prymas Królestwa Polskiego. Prymasostwo Polski było zawsze związane z Gnieznem. Historia zatoczyła koło, bo ten problem był już aktualny w latach 1918 i 1919, w Drugiej Rzeczypospolitej, kiedy mieliśmy prymasa Polski w osobie kardynała Edmunda Dalbora, metropolity gnieźnieńskiego i poznańskiego oraz kardynała Aleksandra Kakowskiego, prymasa Królestwa Polskiego. Pierwsze spotkanie Episkopatu Polskiego w 1919 roku odbyło się jednak w Gnieźnie, zwołane było przez prymasa Dalbora. Wiem, że papież Benedykt XVI w tej sprawie konsultował się z wszystkimi metropolitami polskimi. Większość wypowiedziała się za obecnością prymasa w Gnieźnie ze względu na trwającą sześć wieków tradycję, poczynając od arcybiskupa Mikołaja Trąby, który otrzymał tę godność w 1417 roku podczas soboru w Konstancji. Papież podtrzymał tę tradycję. Chcę podkreślić starania Kapituły gnieźnieńskiej, zwłaszcza biskupa Bogdana Wojtusia, jako jej prepozyta, w tej sprawie. Kapituła gnieźnieńska według dawnego kodeksu prezentowała kandydatów na stolicę gnieźnieńską, z którą było związane prymasostwo. Przez cały okres zaborów zawsze prezentowała Polaków, mamy tylko jeden wyjątek – biskupa Juliusza Dindera, który pochodził z Warmii, ale był dwujęzyczny. Kapituła gnieźnieńska również zwróciła się z pismem do Benedykta XVI, przedstawiając racje, głównie historyczne. Decyzja Benedykta XVI została wyrażona prawie słowami Jana Pawła II: *Po ukończeniu osiemdziesiątego roku życia przez kardynała prymasa Polski Józefa Glempa tytuł prymasa Polski powróci do urzędującego arcybiskupa metropolity gnieźnieńskiego*.

W jakich okolicznościach Ksiądz Arcybiskup dowiedział się o tej decyzji? Znów w drodze prekognicji?

Inaczej niż nominacja biskupia, tytuł prymasa nie jest związany z określonymi procedurami, a jest wyrazem osobistej decyzji papieża. Decyzję tę zakomunikował papież Benedykt XVI pismem datowanym dnia 8 grudnia 2009

roku: *W dniu 1 listopada 2006 roku, w liście skierowanym do Kardynała Józefa Glempa, na zakończenie jego posługi Arcybiskupa Warszawy – pisał Papież – postanowiłem, że gdy ukończy 80. rok życia, tytuł Prymasa Polski zostanie przywrócony Arcybiskupowi Gniezna, z motywów historycznych i prawnych, które dotyczą tej stolicy. Była ona pierwszą polską stolicą metropolitalną i tu czczone są relikwie św. Wojciecha, Biskupa i Męczennika, pierwszego Patrona Polski, które są jednym z największych skarbów Narodu polskiego, a których „kustoszem” tradycyjnie jest Arcybiskup Gnieźnieński. Dlatego 19 grudnia br. Wasza Eksceleńcja obejmie tytuł Prymasa Polski, który od tej pory znów będzie związany z tytułem Arcybiskupa Gnieźnieńskiego durante munere. Honorowy tytuł Prymasa Polski, z kompetencjami określonymi w Statutach Konferencji Episkopatu Polski, cieszy się wielkim szacunkiem i znaczeniem w polskim Narodzie i jest znakiem jedności polskich katolików. Przyzywając wstawiennictwa Patrona św. Wojciecha i bł. Radzyna Gaudentego, pierwszego Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, z serca udzielam Waszej Eksceleńcji, Archidiecezji Gnieźnieńskiej i całemu umiłowanemu Narodowi polskiemu Apostolskiego Błogosławieństwa. Benedykt XVI. O tej decyzji dowiedziałem się wcześniej od kardynała Tarcisio Bertone, sekretarza stanu i prawej ręki Benedykta XVI, w czasie jego pobytu w Bydgoszczy, który uprzedził mnie, że w tej sprawie otrzymam oficjalne pismo.*

Papież podkreślił, że godność prymasa jest tytułem honorowym i to durante munere czyli...

To znaczy, że godność prymasa przysługuje arcybiskupowi gnieźnieńskiemu w czasie pełnienia przez niego posługi arcybiskupa.

Chciałbym wrócić do 19 grudnia 2009, kiedy Ksiądz Arcybiskup przyjmował ten tytuł i dokonał ingresu do katedry gnieźnieńskiej. Tego dnia Poczta Polska wydała specjalny znaczek pocztowy w limitowanej serii 300 sztuk, oraz dwie karty pocztowe, jedną z wizerunkiem prymasa Mikołaja Trąby i drugą z fotografią prymasa Henryka Muszyńskiego.

Niewiele z tym miałem wspólnego. Wiem, że z wnioskiem do Poczty Polskiej wystąpił ksiądz kapelan Mirosław Jasiński. Przesłano fotografa, który zrobił mi zdjęcia i zamieszczono je na znaczku i karcie pocztowej. Te znaczki nie weszły do obiegu, dostałem je naklejone na karty pocztowe

i opatrzone okolicznościowym datownikiem. Prawie wszystkie rozdałem najbliższym w dniu ingresu, zostały mi dwa egzemplarze na pamiątkę.

Jaka jest rola prymasa Polski?

Zmieniała się przez wieki w sposób zasadniczy. Kiedyś prymas miał władzę jurysdykcyjną, która obejmowała całą Polskę, zwoływał synody, miał ogromne znaczenie polityczne, był interrexem w okresie bezkrólewia. Za czasów kardynała Hlonda prymas sprawował także opiekę duszpasterską nad całą emigracją. Prymas Wyszyński natomiast otrzymał specjalne upoważnienia ze Stolicy Apostolskiej, które częściowo posiadał również prymas Glemp. Obecnie tytuł prymasa jest tytułem czysto honorowym, ale nadal posiada ogromne znaczenie w świadomości Polaków, głównie dzięki roli, jaką prymasi spełniali w naszych najnowszych dziejach. Począwszy od kardynała Edmunda Dalbora poprzez Augusta Hlonda, Stefana Wyszyńskiego i także Józefa Glempa.

Prymas Edmund Dalbor scalił rozdzielone prymasostwo po okresie zaborów, zwołując w sierpniu 1919 roku do Gniezna Pierwszy Zjazd Biskupów Polskich. Jaka rola przypadła jego następcy, kardynałowi Augustowi Hlondowi?

Działalność prymasa Hlonda wyraźnie dzieli się na trzy okresy. Przedwojenny, kiedy przypadło mu w udziale po latach rozbiorów zorganizować nowe struktury Kościoła w wolnej Polsce. Drugi ważny moment przedwojenny to założenie Zgromadzenia Towarzystwa Chrystusowego dla duszpasterstwa Polonii za granicą i Instytutu Polonijnego. Jego zasługi przedwojenne są trudne do przecenienia, bo po latach zaborów musiał od nowa zorganizować struktury i życie Kościoła. Na szczególne uznanie zasługują jego listy pasterskie, które pisał do narodu, a które mają charakter traktatów teologicznych. Na przykład list z 1936 roku o moralnych zasadach, którymi powinno się kierować społeczeństwo polskie. W czasie wojny musiał opuścić Polskę i ten okres spędził w dużym stopniu w Lourdes, gdzie po zajęciu Francji przez Niemców był internowany. Miał do spełnienia ogromnie ważne zadanie polityczne, był rzecznikiem Polski, zwłaszcza w Stolicy Apostolskiej. Słał do niej opracowania, sprawozdania o prześladowaniach, był świadkiem bardzo niewygodnym dla Zachodu, ponieważ znał całą praw-

dę i mówił o tej prawdzie. Był uważany za wroga numer jeden ze strony hitlerowskich Niemiec, a autorytet, jaki posiadał, podkreśla fakt, że proponowano mu urząd premiera Rzeczypospolitej na uchodźstwie. Oczywiście tej funkcji nie przyjął. Po wojnie odbudował życie religijne w Polsce oraz liczne organizacje katolickie. Był nieprzejednanym przeciwnikiem komunizmu. Był też konfrontowany z nową rzeczywistością komunistyczną. Niesłusznie przypisuje się mu poglądy antysemickie. Żydzi uważają go za antysemitę, pomimo że był ich obrońcą, ujmował się za nimi i w 1948 roku, jeszcze przed powstaniem Izraela mówił wyraźnie, że Żydzi mają prawo do własnego państwa na terenie Palestyny. Po wojnie wielką zasługą kardynała Hlonda było ustanowienie na podstawie szczególnych upoważnień otrzymanych od Stolicy Apostolskiej, polskiej administracji na Ziemiach Odzyskanych. Zasięg tych szczególnych upoważnień jest nie tylko bardzo żywo dyskutowany, ale i kwestionowany przez Niemców. Dzisiaj trwa proces beatyfikacyjny prymasa Hlonda – określenie Sługa Boży najlepiej mówi o jego zasługach. Niemcy przyznają, że Hlond był wielkim Polakiem, mężem stanu, ale nie świętym.

Za to mieszkańcy Gniezna są mu bardzo wdzięczni za to, co zrobił dla odbudowy katedry.

Odbudował katedrę gnieźnieńską po spaleniu jej w styczniu 1945 roku. Podczas poświęcenia katedry, 2 lutego 1947 roku, w kazaniu powiedział: *W tej chwili z Góry Lecha bije znowu stary Wojciech obwieszczając Polsce, że dziś zbawienie stało się temu ludowi. Jak już poprzednio setkom kościołów Wielkopolski, które dzieląc z ludem swym losy najazdu, były ograbione ze wszystkiego i sponiewierane, aż je religijny odruch sponiewieranego narodu wyrwał z profanacji i poświęcił żarliwym pacierzem wdzięczności. Ten szacowny tum odzyskuje z dniem dzisiejszym także godność i funkcję archikatedry, bazyliki prymasowskiej. Jakże najeźdźcom spod znaku zbezczeszczonego krzyża na tym zależało, by Gnieznu odebrać właśnie ten charakter, by przekreślić tę najstarszą w Polsce stolicę metropolitalną i naczelną instytucję kościelną kraju, jaką jest prymasostwo. Ten polski ośrodek hierarchiczny miał przepaść razem ze swą historią i dokumentacją. Ostał się atoli z woli Opatrzności i z woli Stolicy Apostolskiej, ostał się i działa. Prawdopodobnie nigdy nie miał tak rozległego zadania, jak dzisiaj. Gniezno jest nadal tym, czym było za czasów pierwszego metropolity Radzima i zachowuje swoje dostojeństwo pierwszego prymasa Mikołaja Trąby.*

Prymasa Hlonda pochowano jednak w katedrze warszawskiej.

Dlaczego nie w gnieźnieńskiej? Przecież w 1948 roku, kiedy umarł, była już odbudowana.

Zgodnie ze swoją wolą, spoczywa w katedrze warszawskiej, ponieważ to ona wtedy leżała w gruzach i chciał przez ten pochówek dać Polakom nadzieję, że będzie odbudowana, że będzie odbudowana także dotychczasowa stolica. Swoje serce kazał jednak przysłać do Gniezna. Jego zasługą jest też to, że wskazał wyraźnie Ojcu Świętemu swojego następcę – Stefana Wyszyńskiego.

...którego Jan Paweł II nazwał Prymasem Tysiąclecia.

Jego posługa przypadła w najtrudniejszych czasach bezpośredniej walki z Kościołem. Objął posługę jako ojciec nie tylko Kościoła, ale w dużym stopniu całego narodu, który był uciemżony, ujarzmiony, nie miał prawa głosu, bo znajdował się pod dyktandem. W czasie, kiedy naród został w dużym stopniu pozbawiony swojej podmiotowości, on stał się rzecznikiem Kościoła i narodu. Najpierw w obliczu dyktatury sam wziął odpowiedzialność za Kościół polski z wszystkimi konsekwencjami, jakie się z tym wiązały. Służył, żył dla tego Kościoła i był gotów dla niego umierać. Miał tę świadomość, ale szukał także porozumienia z komunistami, boleśnie doświadczony wojną i jak sam powiedział, w obawie by ofiara krwi złożona w czasie wojny nie powiększała się w czasach komunistycznych. W 1950 roku szukając porozumienia, jako jedyny w krajach socjalistycznych zawarł umowę z rządem, ale była ona ustawicznie łamana. Nie było żadnych uregulowań prawnych, Kościół był zdelegalizowany i tolerowany, jeśli było to konieczne. Nie ulega wątpliwości, że założenia komunizmu były identyczne we wszystkich krajach, tylko sposób ich realizacji był odmienny. Ratunkiem Polski było to, że byliśmy dosyć jednolici wyznaniowo i mieliśmy takich ludzi jak kardynałowie Wyszyński czy Wojtyła. To, że w innych krajach wyglądało inaczej, wynikało to z pragmatyki. W 1956 roku doszło do osłabienia indoktrynacji, powrotu religii do szkół, uczyniono to z obawy przed rozruchami społecznymi, później jednak nastąpił powrót do poprzedniego stanu. Szczególne wysiłki, by zniszczyć Kościół, podejmowano w czasach stalinowskich i po śmierci Stalina. Prymas został uwięziony i wtedy powstało opatrnościowe dzieło wielkiej nowenny,

którą przygotował dla odbudowy narodu – wielki, patetyczny gest pojednania z Niemcami w listopadzie 1965 roku, podjęty razem z kardynałem Bolesławem Kominkiem i innymi biskupami obecnymi w Rzymie. Ponieważ w tym czasie byłem w Rzymie, mogłem z bliska obserwować rozterkę polskich biskupów, którzy w duchu chrześcijańskim wyciągnęli rękę do Niemców i usiłowali ich wraz z innymi biskupami, zaprosić na uroczystości milenijne. To nie mogło się odbyć bez jakiegoś profetycznego gestu Episkopatu Polski. Episkopat, a przede wszystkim kardynał Wyszyński, był oskarżany o zdradę narodu. Nawet dzisiaj ze wzruszeniem czyta się jego słowa: *Gdy wam będą mówili, że prymas zdradził Polskę – nie wierzcie, kiedy będą mówili, że prymas jest wrogiem Polski – nie wierzcie*. Warunki były takie, że musiał liczyć się ze śmiercią, nikt nie mógł przewidzieć, jak potoczą się jego losy. A potem ten wielkoduszny gest przebaczenia, kiedy wyszedł z więzienia: *Wybaczam wszystkim, choć wyrządzono mu wiele krzywd*. W tym widać prawdziwego ojca narodu. Podkreślam bardzo szczególny związek prymasa Wyszyńskiego z Gnieznem. Tutaj z Gniezna głosił wszystkie swoje programowe przemówienia. Pod koniec życia, umierając, mówił do biskupów: *Pamiętajcie o prymaturze gnieźnieńskiej. Pamiętajcie, tradycją polskości jest powiązanie prymasury z Gnieznem wbrew jakimkolwiek myślom i zamierzeniom. Polska stała się silna tym, że ziemie nadbałtyckie i diecezje nadbałtyckie miały świadomość bliskości prymatury z tymi diecezjami. Tam wtedy była siła*. Ile razy idę do katedry, tyle razy cieszę się tam widokiem najpiękniejszego z pomników prymasa Wyszyńskiego. Stoi w pięknej wnęcie, jakby przygotowanej przez pradziadów właśnie dla niego, przypomina potomnym to, co zrobił dla Polski.

Prymas Wyszyński także wskazał swego następcę, ówczesnego arcybiskupa Józefa Glempa.

Ksiądz kardynał Józef Glemp jest duchowym uczniem prymasa Wyszyńskiego. Wychował się u jego boku, patrzył na niego z bliska. Chciałoby się powiedzieć, że jak prorok Elizeusz przejął z jego ducha. Przypadło mu przewodzić Kościołowi w czasach nie tak trudnych, ale nie mniej złożonych. Wtedy, gdy w Polsce dokonał się wielki przełom solidarnościowy, przypadło mu budować zręby solidarności w duchu drugiego Vaticanum, sprawował swoją funkcję także w okresie pontyfikatu Jana Pawła II. Nauczanie Jana Pawła II i Sobór Watykański to były te dwa punkty odniesienia dla wszystkich programów duszpasterskich. Czas nie był pozbawiony dramatycznych

momentów, wszyscy pamiętamy stan wojenny. Jest ostatnim prymasem, który jednocześnie był przewodniczącym Episkopatu i programowo dźwigał odpowiedzialność za Kościół w Polsce. W okresie stanu wojennego nikt nie wiedział, co się stanie, czy nie dojdzie do przelania krwi. Prymas Glemp przeżywał osobiście dramat śmierci księdza Jerzego Popiełuszki, który był jego kapłanem. Ja ten czas spędziłem w bezpośredniej bliskości prymasa i z kardynałem Glempem jestem inaczej związany niż z pozostałymi biskupami. Z jednej strony był moim kolegą w czasie studiów, z drugiej – to on oznajmił mi wolę Ojca Świętego, kiedy nie było jeszcze w Polsce nuncjatury. Jest więc moim ojcem w biskupstwie. Jednocześnie jako biskup byłem przez kadencję wiceprzewodniczącym Episkopatu Polski i mogłem bezpośrednio współpracować z prymasem – przewodniczącym. Jeden moment, mało znany, chciałbym przypomnieć. Rozwiązana została oficjalna unia personalna Gniezna i Warszawy, ale mieliśmy faktyczną unię personalną, która trwała nadal. Prymas miał swój skromny apartament w Gnieźnie, a ja byłem jedynym biskupem, który miał swoje stałe zamieszkanie u prymasa w Warszawie. Kiedy papież Benedykt XVI był w Warszawie, w Pałacu Prymasowskim nie mogło być wtedy nikogo poza domownikami. Papież był bardzo zdziwiony, kiedy kardynał Glemp przedstawił mnie jako domownika. Uznaję to za piękny gest. Kardynał Kazimierz Nycz podtrzymuje ten zwyczaj, za co jestem mu ogromnie wdzięczny, choć nie mam okazji, by mu się odwdzińczyć. Natomiast gdy chodzi o stosunek prymasa Glempa do Gniezna, nie trzeba niczego dodawać, bo obejmując posługę gnieźnieńską powiedział, że tutaj się urodził, z tej diecezji pochodzi i miłość do Gniezna od początku jest zapisana w jego sercu.

Prymas Glemp jako pierwszy z prymasów przeszedł na emeryturę i przekazał swoją funkcję prymasowi z Kaszub.

Kiedy sobie myślę o moich wielkich poprzednikach, jestem onieśmielony. Ale też Pan Bóg wyznaczył mnie mniejszą rolę – zwornika pomiędzy dawnymi a nowymi czasami, jako pomost dla prymasa nowych czasów. Obecnie ta funkcja jest wyłącznie honorowa, ale ma nadal ogromny ciężar gatunkowy, z racji historycznych i z racji ścisłego powiązania z grobem i relikwiami świętego Wojciecha.

A co Ksiądz Arcybiskup myśli o swoim następcy, prymasie Józefie Kowalczyku?

Spotykaliśmy się wielokrotnie i mogę powiedzieć, że łączyły nas serdeczne, braterskie więzy wspólnoty, sięgające naszych studiów w Rzymie. Jako nuncjusz reprezentował Ojca Świętego, załatwiał wszystkie sprawy Stolicy Apostolskiej. Jego wielką zasługą pozostaje przygotowanie tekstu konkordatu. Nie ukrywam, że nie spodziewałem się, że będzie moim następcą. Cieszę się szczerze, że Opatrzność Boża tak zrządziła, że podjął i prowadzi moje dzieło w Gnieźnie. Jego doświadczenie, przymioty umysłu i ducha z jednej strony, a z drugiej strony otwartość i gotowość dialogu sprawiają że miałem tę radość i satysfakcję, iż mogłem przekazać swoją posługę w godne i wypróbowane ręce. Z całym przekonaniem powtórzę to, co powiedziałem podczas jego ingresu do katedry gnieźnieńskiej. Cieszę się, że godność prymasa Polski piastuje biskup, który ma wielkie przymioty umysłu, ducha i serca oraz długoletnie doświadczenie w służbie Stolicy Apostolskiej. Ksiądz arcybiskup Kowalczyk jest energiczny, zdecydowany, a równocześnie otwarty, gotowy do dialogu i szukania tego, co łączy i służy dobru wszystkich ludzi w naszej ojczyźnie.

Jakie wielkie zadanie może czekać prymasa Józefa Kowalczyka?

Arcybiskup Józef Kowalczyk rozpoczyna swoją posługę w czasie, gdy kształtuje się przyszła wizja prymasostwa. Widzę w tym znak Opatrzności Bożej, że w tym znaczącym okresie mamy doświadczonego dyplomata, człowieka Kościoła, cieszącego się autorytetem. Od jego postawy zależy w dużym stopniu, jak ukształtują się miejsce i rola prymasa w przyszłości. Prymas nadal jest bardzo ważnym ogniwem łączącym Polaków w Polsce i Polonię rozproszoną po całym świecie. On jako prymas jest spadkobiercą dziedzictwa świętego Wojciecha w naszej ojczyźnie. Wierzę, że zadba też o to, żeby w laicyzującej się Europie Polacy pozostali wierni religijnemu dziedzictwu świętego Wojciecha.

Dla wielu Polaków prymas Polski to nadal zwierzchnik Kościoła w Polsce.

Mogłem tego doświadczyć także podczas mojej krótkiej posługi, czułem jak wielki ciężar gatunkowy ma ten tytuł w świadomości Polaków, pomimo

że prymas nie ma żadnych uprawnień jurysdykcyjnych. Posiada on jednak swoje umocowanie w statucie Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski, prymas jest bowiem jedynym niewybieralnym członkiem Rady Stałej. Zostaje w tym względzie zrównany z kardynałami kierującymi swoimi diecezjami w czasie pełnienia ich posługi. Jest to znak jedności i ciągłości. W czasach zaborów podczas pierwszego soboru watykańskiego w 1881 roku arcybiskup Ledóchowski nosił tytuł prymasa, ale nie mógł go używać. Podczas obrad usiadł wśród prymasów i kiedy wrócił do Polski został uwięziony. Dopiero potem został mianowany kardynałem i wrócił do Rzymu. Ten tytuł honorowy oznacza pierwszy pośród równych i jako taki prymas przewodniczy uroczystościom religijnym i obchodom w wymiarze narodowym. Tytuł prymasa jest też symbolem jedności wszystkich Polaków żyjących w macierzy i poza Polską. Obecnie formuje się nowa rola prymasa w zmieniającej się rzeczywistości. Żywię nadzieję, że posługa prymasa w dobie globalizacji nadal będzie czynnikiem jednoczącym i integrującym historię, dziedzictwo i Polaków. Prymas Wyszyński mówił: *Posługa prymasa jest czuwaniem nad dziedzictwem chrystusowym od grobu świętego Wojciecha w naszej ojczyźnie*. To dziedzictwo wpisane jest bardzo wyraźnie w całe nasze dzieje ojczyste.

Mimo krótkiego, zaledwie kilkumiesięcznego okresu sprawowania godności prymasa Polski, miał Ksiądz Arcybiskup wiele okazji do zabierania głosu w bardzo ważnych momentach.

Pan prezydent Lech Kaczyński zaprosił mnie na spotkanie, podczas którego mogłem zaprezentować, jak widzę rolę i funkcję prymasa. Przedstawiłem moje wyobrażenie posługi prymasowskiej w nowej rzeczywistości, kiedy funkcja prymasa ma charakter honorowy, na czym będą polegały rola i miejsce prymasa. Mówiliśmy także o tym, że w nowej rzeczywistości prymas jest zwornikiem łączącym macierz i Polaków za granicą, wskazałem na symboliczne znaczenie Gniezna – przyjął to z wielkim zrozumieniem. Prezydent Kaczyński dzielił się ze mną swoim wyobrażeniem o przywództwie w Kościele i mówił z troską o przyszłości prymatury. Miał przed oczyma ciągle wizję wielkiego Prymasa Tysiąclecia. Mówiłem, że żyjemy w okresie po drugim soborze watykańskim i trudno sobie wyobrazić przywództwo w sensie kardynała Wyszyńskiego, który był ojcem narodu w okresie komunizmu. Zapewniałem go, że prymas ze względu na swój autorytet będzie zwornikiem łączącym Polaków i tak rzeczywiście się dzieje. Według najnow-

szych ustaleń, bezpośrednią jurysdykcję nad sprawami Polonii przejął ksiądz biskup Wojciech Polak, jako sufragan gnieźnieński. Odbęło się to na zasadzie wyboru Episkopatu Polski, a nie dlatego, że jest sufraganem gnieźnieńskim. Nadal ta posługa jest jednak w jakiś sposób związana z Gnieznem. Niedługo po tym spotkaniu prezydent Lech Kaczyński odwiedził Gniezno, miałem okazję przywitać go na zjeździe gnieźnieńskim. Był to jedyny zjazd, który poprowadziłem jako prymas. Pierwszego marca przewodniczyłem obchodom 200 rocznicy urodzin Fryderyka Chopina w Paryżu, miałem okazję odprawić Mszę świętą w kościele świętej Magdaleny. W Częstochowie 3 maja 2010 roku ksiądz prymas Glemp celebrował mszę, a ja głosiłem kazanie. W okresie pełnienia przeze mnie posługi prymasa rekoronowałem też obraz Matki Bożej Częstochowskiej w stulecie jej koronacji przez biskupa Stanisława Zdzitowieckiego z Włocławka, które miało miejsce w 1910 roku.

W kwietniu zdarzyła się katastrofa w Smoleńsku, a prymas Polski znów stał się po trosze interreksem.

Sięganie do czasów interreksa to pewnie zbyt pretensjonalne, ale faktem jest, że odprawiłem pierwszą Mszę świętą nad trumnami pary prezydenckiej w rezydencji prezydenckiej w Warszawie, wygłosiłem kazanie w katedrze warszawskiej w czasie Mszy świętej sprawowanej przez arcybiskupa Kazimierza Nycza. W imieniu Episkopatu pożegnałem pana prezydenta i jego małżonkę w kościele mariackim w Krakowie. Powiedziałem wtedy między innymi: *W chwili gdy z żalem i bólem Polska i rodacy żegnają swojego prezydenta, wraz z nimi żegna go cała Europa, mężowie stanu prawie z całego świata, nie może zabraknąć słów pożegnania, wdzięczności i uznania ze strony Kościoła katolickiego. Przez całe swoje życie panie prezydencie, byłeś wiernym synem Kościoła i wiarygodnym świadkiem chrystusowej Ewangelii. Twoją dewizą życiową były słowa Bóg, honor i ojczyzna. Gdy Boga skazano na banicję, podniosłeś wysoko sztandar, na który wróciły słowa: Bóg, honor i ojczyzna. Nie tylko na sztandary, ale także w ludzkie serca. Dorzuciłem słowa, których nie było w pisanym tekście: Zastałeś Polskę zniewoloną, a zostawiasz wolną.*

Co przez te słowa chciał Ksiądz Arcybiskup powiedzieć?

W moim zamierzeniu nie było to podsumowanie prezydentury pana prezydenta Lecha Kaczyńskiego, lecz definitywne zamknięcie jego całego życia.

W tym kontekście, w moim przekonaniu, zastał Polskę zniewoloną, a został wolną. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że chodziło o zniewolenie okresu komunistycznego. Jestem przekonany, że olbrzymia większość, jeśli nie wszyscy, rozumieli to właśnie tak, jak to było zamierzone z mojej strony. Nikt z bezpośrednich uczestników tego nie zakwestionował. Według mojej wiedzy, pierwszym, który to skomentował – przynajmniej tak słyszałem – był pan premier Leszek Miller. Powiedział, pewnie z pewną dozą cynizmu: *Ciekawe, o jakim zniewoleniu myślał arcybiskup Muszyński. Pewnie o tym europejskim.* Chcę wierzyć, że ta wątpliwość była szczerą. Z drugiej strony biorę pod uwagę, że nasze doświadczenia zniewolenia komunistycznego były diametralnie różne, dlatego różna mogła być interpretacja. Oczywiście, że tych zmian prezydent Kaczyński nie dokonał sam, ale w szeregach związku „Solidarność”, z którym był związany od samego początku.

Jak Ksiądz Arcybiskup z perspektywy pełnionego urzędu, ocenia wzajemne stosunki między państwem a Kościołem w Polsce?

Stosunki te ogólnie oceniam pozytywnie, choć mam świadomość, że ciągle uczymy się demokracji. Konkordat wprowadził normalność we wzajemne relacje, natomiast do pełnej realizacji tego, co zapisano w konkordacie, jeszcze bardzo dużo brakuje. Poszanowanie autonomii i niezależności powinno obejmować wszystkie dziedziny współpracy i wspólnej posługi dla dobra narodu. Nie mamy długiej tradycji demokratycznej, jak Wielka Brytania czy nawet Stany Zjednoczone, ta forma ustrojowa ciągle jest u nas wypracowywana i doskonalona. To, co budzi polemikę; to zaangażowanie Kościoła w życie publiczne; to należy do posłannictwa Kościoła, a wielu kojarzy się z ingerowaniem w sprawy polityczne. Autonomia i niezależność nie oznaczają, że te zakresy się wzajemnie nakładają, rozumiane są przez wielu tak, jak były rozumiane w czasach komunistycznych, wtedy były parawanem walki z Kościołem. W moim przekonaniu, w niektórych przypadkach zdarza się również zbyt bliskie powiązanie niektórych ludzi Kościoła z określoną orientacją polityczną albo partią. My jako hierarchowie jesteśmy dla wszystkich i naszym zadaniem jest niesienie Ewangelii i jej przesłania wszystkim, bo to ona jest orędziem nadziei. Polityka jest domeną wiernych świeckich, dla których nie ma podziału pomiędzy sferą osobistą i publiczną; chrześcijaninem jest się zawsze i wszędzie. Niestety dla Kościoła i państwa jest to, że nie zawsze respektuje się w sposób dostateczny autonomię i niezależ-

ność. Natomiast mocno podkreślam, że jako naród katolicki mamy prawo kształtować własną wizję życia publicznego. Trzeba pamiętać, że musimy uczyć się tolerancji dla wszystkich, także dla ludzi wierzących. Obecność znaków i symboli religijnych w życiu publicznym, jeżeli jest wolą większości, powinna być respektowana. Takie jest moje odczucie.

Czy zdaniem Księdza Arcybiskupa, istnieje już rozbicie w łonie Kościoła polskiego, podobne do podziału wśród Polaków?

Rozbicie to za mocno powiedziane, natomiast są daleko idące podziały, które się utrwalają. Naszym zadaniem jest budowanie wspólnoty i wzajemnego zaufania w pluralistycznym świecie, wśród ludzi o różnych orientacjach politycznych i religijnych. Wymaga to poszanowania poglądów drugiej strony, gotowości do respektowania inaczej myślących i wartościujących oraz gotowości do dialogu. Natomiast zauważam bardzo wyraźnie to, co papież nazywa dyktaturą indyferentyzmu i laicyzmu.

Czy, zwłaszcza w tej sytuacji, nie jest potrzebny w polskim Kościele lider, który powiedziałby to jasno i dobitnie?

Często się spotykam z takim stanowiskiem, ale myślę, że jest to pewna projekcja dotychczasowej postawy z czasów komunistycznych, kiedy mieliśmy bardzo wyraźnie jednego lidera w osobie prymasa, który był rzecznikiem całego Kościoła. My żyjemy w okresie posoborowym, a sobór watykański podkreśla zarówno wymiar hierarchiczny, jak i kolegialny. Dziś dochodzi do głosu wymiar kolegialny biskupów – każdy biskup jest przede wszystkim nauczycielem i ojcem swojej diecezji, natomiast problemy ogólne omawiane są i rozstrzygane na konferencji Episkopatu, która jest uczestnictwem w kolegialnym wymiarze Kościoła. W zadziwiający sposób, nie są dostatecznie zauważane dokumenty całego Episkopatu, które są wyrazem tej kolegialności. Może jako zbyt ogólnikowe nie są w pełni zadawalające dla czytelnika, ale są owocem szerokiej dyskusji, wyrazem postawy i woli wszystkich biskupów. Jako takie mają walor wiążący dla całego Kościoła w Polsce. Trzeba też uwzględnić zróżnicowanie Kościołów lokalnych. Kiedy się porównuje Kościół na naszych ziemiach zachodnich i Kościół w Małopolsce, widać, jak wielkie są między nimi różnice. Jest jeden czynnik nie do przecenienia – nauczanie to dochodzi do większości wiernych za pośrednictwem mediów,

które biorą pod uwagę z reguły jeden jedyny fragment dotyczący życia politycznego, społecznego, a do spraw etycznych, moralnych podchodzą bez uwzględniania ich głębi, i interpretują je z reguły dość jednostronnie. Przykładem – dyskusja na temat in vitro, traktowanego prawie wyłącznie jako środka zaradzającego bezpłodności, z pominięciem wielu niesłuchanie ważnych wymiarów tego problemu. Cały problem moralny polega na tym, że nie da się ocalić jednego życia bez zniszczenia drugiego, a traktuje się to, jakby to była wyłącznie pomoc dla małżeństw bezdzietnych. To jest tylko jeden z problemów, bardzo ważny zresztą.

Jaki jest stosunek Księdza Arcybiskupa do Radia Maryja? Jest ono jedną z przyczyn podziału, o którym mowa.

Radio Maryja kształtuje w dużym stopniu poglądy i postawy ludzi wierzących. Doceniam w pełni to, co robi Radio Maryja w zakresie religijnym, ewangelizacji, często zresztą z okazji nabożeństw sam korzystam z Radia Maryja. Natomiast trudno mi zaakceptować linię społeczną Radia Maryja, która nie odzwierciedla wiernie katolickiej nauki społecznej, tylko jest drogą na skróty, wspieraniem określonej partii, a partia ta popiera Radio Maryja z racji czysto pragmatycznych. Jest to przejaw daleko idącej krótkowzroczność. Bardzo żałuję, że w katolickiej rozgłośni nie ma katolickości w głębokim znaczeniu, świadomości, że misja Kościoła przeznaczona jest dla wszystkich i ma wymiar uniwersalny. Trzeba pamiętać, że wspieranie jednej opcji politycznej pociąga za sobą zrażanie ludzi o innych poglądach politycznych. Rozgłośnia katolicka powinna formować ludzi, przygotowywać do życia publicznego w sferze kultury i polityki jako świadków Ewangelii. Jest to o tyle ważne, że przyszłość w dużym stopniu będzie się decydowała właśnie w tych zakresach. Mamy doskonały przykład obydwu papieży naszych czasów, którzy głoszą naukę klarownie, jednoznacznie katolicką, a jednocześnie nie zwalczają nikogo, z szacunkiem odnoszą się do inaczej myślących, inaczej wartościujących. Głoszenie całej Ewangelii musi budzić reakcję, bo ona także dzisiaj jest znakiem sprzeciwu wobec mentalności laickiej, w której zaciera się granica między dobrem a złem, proklamuje się wręcz postawy amoralne, ale ten sprzeciw musi dotyczyć orędzia Ewangelii, a nie ludzkich ułomności i słabości.

Czy Episkopat odniósł się krytycznie do Radia Maryja?

Zarówno ksiądz prymas Glemp jako przewodniczący, jak i arcybiskup Józef Kowalczyk, jako ówczesny nuncjusz w Polsce, zabierali głos w sprawie Radia Maryja. Pracuje też osobny zespół Konferencji Episkopatu do spraw Radia Maryja. Pilną sprawą jest status tak zwanej rodziny Radia Maryja. Nie bardzo wiadomo, jaki jest jej status prawny w Kościele. Jest to oczywiście wygodne dla ojca Rydzyka, bo nie podlega żadnym rygorom ze strony hierarchii kościelnej, a doświadczenie uczy, że działania tej instytucji daleko wykraczają poza wsparcie modlitewne, które deklaruje, a które nie jest jej głównym celem. Odnoszę również wrażenie, że nie ma zdecydowanej woli w zespole powołanym przez Konferencję Episkopatu, by doprowadzić do końca zlecone jej dzieło.

Ksiądz Arcybiskup także stanął po stronie krytykujących Radio Maryja?

Była krytyka z mojej strony, ale powiedziałem: *Nie wystarczy krytykować, trzeba pomóc. Radio katolickie powinno reprezentować inny poziom, ale nie kwestionuję tego, co dobre. Bogu dzięki, że mamy takie radio. Uważam, że mamy tutaj problem nie radia, ale ojca Tadeusza Rydzyka.* Byłem pierwszy, który usiłował mu pomóc. Sam ofiarowałem swoją pomoc. Cały rok głosiliśmy z Gniezna katechezy biblijne, które nadawano przez Radio Maryja. Głosili je tacy ludzie jak profesorowie Anna Świderkówna, Waldemar Chrostowski, prelegenci z Poznania, Jan Kanty Pytel, arcybiskup Stanisław Gądecki i inni. Świderkówna mówiła na temat Biblii i helenizmu, Chrostowski na temat Biblii i judaizmu, każdy cykl wydano w formie książeczki. Komuś się to nie podobało, oświadczyli, że nie przyjadą więcej. Nie akcentuję tego, żeby nie wyglądało, że to jest motyw osobisty. Dodam, że ksiądz Rydzyk był moim studentem na ATK. A to co zrobił, jest wielką rzeczą.

Ksiądz Arcybiskup jako wikariusz uczył religii w szkole, jako biskup zajmował się problematyką oświaty w diecezji. Czy uważa Ksiądz Arcybiskup, że obecny system nauczania religii w szkołach sprzyja wiązaniu młodzieży z Kościołem?

Problematyką oświatową wprost nigdy się nie zajmowałem. Za młodych lat uczyłem w szkole i większość mojego życia spędziłem w środowisku

studenckim, dlatego ta problematyka nie jest mi obca. Problem, jak to zwykle bywa, jest złożony. Katecheza sprawowana w salkach katechetycznych, w bezpośredniej bliskości kościoła, a więc w środowisku kościelnym, miała niewątpliwie tę przewagę, że bardziej łączyła dzieci i młodzież z Kościołem. Była jednak wynikiem konieczności, obejmowała tylko część młodzieży i niezastępowała w żadnym stopniu praktyk religijnych.

Powrót katechezy do szkół jest dla mnie znakiem normalizacji i dobrym przygotowaniem do życia w środowisku pluralistycznym. W tym wypadku katecheza obejmuje znacznie większą grupę młodzieży. Decydujące słowo w tym przypadku mają, a przynajmniej powinni mieć, rodzice. Nie widzę w tym nic niewłaściwego, że w społeczeństwie w większości katolickim, katecheza odbywa się w szkole. Człowiek jest istotą wartościującą i od wczesnej młodości powinien otrzymać jasne kryteria wyboru dobra i zła. Jest też możliwość wyboru innego przedmiotu – etyki. Niezmiernie ważną rolę odgrywa w tym względzie osobowość katechety.

Ksiądz Arcybiskup był pierwszym prymasem Polski, który złożył życzenia świąteczne przez internet, za pośrednictwem You Tube.

Życzenia przez internet wygłosiłem z konieczności. Rada Stała podjęła decyzję, że życzenia przez telewizję będzie składał przewodniczący Episkopatu, wobec czego doszedłem do wniosku, że mam prawo złożyć życzenia w inny sposób. Obecnie wracamy do dawnej formy, w moim przekonaniu słusznie. Prymas to nie jest funkcja jurysdykcyjna, lecz związana z autorytetem, ma długą tradycję i nie widzę żadnego powodu, żeby ją zmieniać. Nigdy nie słyszałem żadnych zastrzeżeń, co do tej formy i ucieszyłem się, gdy zobaczyłem mojego następcę w telewizji.

Były życzenia przez internet, wcześniej otwarcie w Gnieźnie katolickiej rozgłośni radiowej, inicjatywa głoszenia katechez przez radio. To tylko niektóre dowody na docenianie roli mediów w życiu.

Tak, mam tę świadomość, że żyjemy w świecie mediów, że bez mediów niczego nie zbudujemy, bo sama ambona już dziś nie wystarczy. Najnowszy dokument Ojca Świętego dotyczy internetu, na co dzień doświadczam siły internetu. Pierwszy raz przekonałem się o niej w dniu śmierci papieża. Nie było czasu, żeby to ogłosić. Idę do katedry, w powszedni dzień w środku tygo-

dnia, a tam pełno młodych ludzi. Pytam: – *A skąd żeście się dowiedzieli?* A oni się dziwią: – *Jak to skąd? Z internetu.* To było dla nich zupełnie oczywiste. I to było pierwsze moje doświadczenie mocy internetu. Po raz kolejny poznałem ją w minioną niedzielę.

Ksiądz Arcybiskup, głosami internautów, otrzymał nagrodę specjalną w plebiscycie na Człowieka Roku 2010, organizowanym przez lokalny portal informacyjny. W głosowaniu podkreślano zasługi Księdza Arcybiskupa dla ponownego związania prymasostwa z Gnieznem i przywrócenie diecezji ordynariusza. Serdecznie gratuluję.

Mojego wyboru dokonano ponoć bez internetu, ale proszę zobaczyć tę siłę. Oceniam, że internet jest chyba najważniejszym środkiem budowania wspólnoty. To jest pewne novum, na które ja osobiście patrzę z pewnym dystansem, bo dostrzegam niebezpieczeństwo internetu, ale także wiązę z nim ogromną nadzieję. To jest więź, a więź międzyludzka oparta na zaufaniu jest niezwykle cenna. Internet to jest przyszłość, nie budzi to wątpliwości. Nie mówiąc o telewizji, która przynajmniej część z nas obraża. Odpowiedzialność mediów jest przeogromna. Ja mimo wszystko usiłuję pozytywnie je oceniać, przekazy są przecież różne, ale bardzo nie lubię tak częstych w mediach: demagogii, populizmu, nieuczciwości. Czasami słuchając niektórych polityków, pytam: *Człowieku, czy ty sam wierzysz w to, co mówisz?* Na szczęście jest ten duży plus, że można telewizor wyłączyć. Jeżeli chodzi o polityków, to tych których cenię, chętnie słucham, bo się na polityce nie znam i chcę się czegoś nauczyć.

A jak Ksiądz Arcybiskup odebrał polityczną burzę po tragedii w Smoleńsku?

Upolitycznienie tragedii smoleńskiej uważam za żenujące. Jest to zniewaga wyrządzona zmarłym, wszystkim zmarłym, a zwłaszcza parze prezydenckiej. Czysto instrumentalne traktowanie, dla czysto doraźnych celów. Nie wykluczam dyskusji, czy to był najlepszy sposób prowadzenia dochodzenia, czy też można było wybrać inny, ale ferowanie wyroków, zanim zostały ogłoszone wyniki badania prokuratury i innych gremiów do tego powołanych, uważam za nieodpowiedzialne. Tak samo jak piętnowanie odpowiedzialnych zanim poznamy pełną dokumentację. Natomiast mam ogromne współczucie

dla rodzin i tych, których bezpośrednio tragedia dotyczy. Traktuję to wydarzenie inaczej niż wszystkie inne, trudno je zrozumieć i trudno oceniać tych, których to dotknęło w sposób bezpośredni. Zginęła elita ludzi młodych, którzy wchodzili w życie, piastowali odpowiedzialne funkcje państwowe. Powstała wyrwa, luka, której nigdy nie da się zapełnić.

Wśród ofiar tej tragedii był Maciej Płażyński, prezes „Wspólnoty Polskiej” w Warszawie, jeden ze zwolenników i orędowników utworzenia w Gnieźnie Muzeum Polonii. Wraz z jego śmiercią stracił Ksiądz Arcybiskup sojusznika tej idei.

W osobie pana Płażyńskiego straciliśmy rzeczywiście oddanego rzeczni-ka utworzenia muzeum. Znałem go osobiście. Udałem się do Gdańska z okazji rocznicy umów gdańskich, by małżonce i rodzinie złożyć osobiście wyrazy współczucia. Nie zwalnia to jednak nikogo z dalszych starań i zabiegów, by idea ta doczekała się urzeczywistnienia. Utworzenie Muzeum Polonii leży mi na sercu, bo uważam, że Gniezno powinno mieć taką placówkę i przypominam o tym wszystkim możliwym władzom, a zwłaszcza senatorom i panu marszałkowi województwa wielkopolskiego. Uważam, że Gniezno wraz z władzami wojewódzkimi powinno zrobić wszystko, żeby to muzeum powstało i stało się czymś w rodzaju pomostu. Wiem, że sprawa utworzenia muzeum jest w toku, postępuje, są konkretne plany, w tej sprawie wypowiadają się bardzo odpowiedzialni ludzie. Wszyscy powinniśmy wykorzystać gnieźnieński genius loci, jak to pięknie nazywał prymas Wyszyński. Większość obiektów muzealnych jest rozproszonych po świecie, tak jak rozrzucony po nim są Polacy. Te pamiątki powinny wrócić do Gniezna. Intuicyjnie czuję, że wielu, jeżeli nie większość, zgodzi się przekazać je do Gniezna, nie gdzie indziej. Doświadczam tego w rozmowach z Polakami za granicą. Wszędzie, gdzie jestem, reklamuję i propaguję ideę Muzeum Polonii tak, jakby było już faktem i wierzę, że ono będzie zrealizowane wśród tylu innych, bardzo śmiałych projektów europejskich. Muzeum Polonii powinno być znakiem, który łączy dziś i jutro, przeszłość i przyszłość, czasy zniewolenia i wolności. Powinno być znakiem, że nareszcie jest jedna Polska, jeden naród, niezależnie od tego, gdzie żyją Polacy – w Ameryce, Australii, Nowej Zelandii czy w Polsce. Usiłowano nas podzielić i było to sztuczne. Polonia, Polacy za granicą bali się tych, którzy przyjeżdżali z komunistycznej Polski – tego niejednokrotnie doświadczyłem. Ci, którzy chowali się w macierzy, w Polsce, bardzo nieudolnie

poruszali się za granicą. Obecnie zniknęła większość granic w Europie, ale nie wszystkie – żebyśmy o tym pamiętali. Jestem na to bardzo uwrażliwiony. Doświadczyłem, że przez długi czas Europa Zachodnia utożsamiana była z Europą. Nas jakby za życia wypisano z Europy. Dziś zniknęły granice, dla nas to wielkie zobowiązanie, żeby scalić to, co scalić jeszcze można. Dlatego bardzo leży mi na sercu powołanie Muzeum.

W osiemnastym wieku król August III nadał arcybiskupowi gnieźnieńskiemu Adamowi Ignacemu Komorowskiemu i jego następcom przywilej noszenia purpury na wzór szat kardynalskich, z wyjątkiem piuski i biretu. Zatwierdziła go Stolica Apostolska, a później Pius VII rozciągnął ten przywilej także na prymasa Królestwa Polskiego. Ksiądz Arcybiskup skorzystał z tego prawa do włożenia purpury?

Jeśli chodzi o prymasa, to jest przywilej. Z przywileju można korzystać albo z niego zrezygnować. Gniezno nie jest wyjątkiem, prymas Germanie w Salzburgu także nosi szaty kardynalskie. Kardynał Glemp, zanim został mianowany kardynałem, jako arcybiskup gnieźnieński i prymas Polski również nosił szaty kardynalskie. Ja nie chciałem być tym, który rezygnuje z tego przywileju. Gdy zostałem mianowany prymasem, założyłem te szaty. Liczyłem przy tym i myślę, że się nie pomyliłem, na zrozumienie ze strony wiernych, ponieważ z góry wiedziałem, że moja funkcja będzie bardzo krótka. Więc myślę, że trudno by mi było zarzucić, że ze względów osobistych o to zabiegałem. Jak długo byłem prymasem, nosiłem szaty kardynalskie. Brałem pod uwagę przede wszystkim odczucia gnieźnian, wiernych z terenu diecezji gnieźnieńskiej, dla których ta tradycja jest czymś ważnym. Mój następca ich nie używa i należy to respektować.

A właściwie dlaczego kapelusz kardynalski nie jest przypisany na stałe do metropolii gnieźnieńskiej? Godność kardynalską od lat piastowali ordynariusze najważniejszych polskich diecezji – gnieźnieńskiej, warszawskiej, krakowskiej, wrocławskiej, a przede wszystkim prymasi. Co jakiś czas podnoszą się głosy i pytania, kiedy kapelusz kardynalski założy arcybiskup gnieźnieński?

Trudno wypowiadać mi się w tej sprawie, tej funkcji udziela Ojciec Święty. Liczba tytułów kardynalskich jest ograniczona. Godność kardynalską piasto-

wał prymas Wyszyński, prymas miał wtedy funkcję jurysdykcyjną i stał na czele dwóch diecezji. Czasy się zmieniają, prymasostwo jest już godnością honorową. Ten tytuł jest bardziej związany z miejscem niż z osobą. Zdarza się, że jeden arcybiskup zostaje kardynałem, a inny nie. Są wypadki, kiedy arcybiskup otrzymuje godność w związku z miejscem, ale też za specjalne zasługi dla Kościoła. Są też tak zwane stolice kardynalskie, jak Kraków. Warszawa jako stolica doczekała się również purpury kardynalskiej.

A co z Gnieznem?

Z Gnieznem jest związana godność prymasowska. Cieszę się, że papież Benedykt XVI zdecydował, że wróciła do arcybiskupa gnieźnieńskiego. Godności kardynalskie trzeba widzieć w perspektywie ogólnokościelnej, która nie musi się pokrywać z naszym gnieźnieńskim spojrzeniem. Oczywiście będziemy się cieszyć, jeżeli papież zadecyduje inaczej.

Arcybiskup senior

Po raz drugi w krótkim czasie prymas Polski przekazał swoją funkcję następcy i odszedł na emeryturę. Najpierw kardynał Józef Glemp, po nim Ksiądz Arcybiskup. To także jest nowość, bo wcześniej prymasi sprawowali swoje obowiązki dożywotnio.

Jestem wdzięczny Bogu, że doczekałem tego momentu, ale nie nazywam mojego obecnego statusu emeryturą. Nie jestem emerytem lecz arcybiskupem seniorem. Tylko funkcja prymasa była na czas posługi, a Ewangelia nie zna pojęcia emerytury. Jak często powtarzam, Mojżesz nic nie wspomina o możliwości emerytury. W Kościele wygląda to w ten sposób, że na miarę możliwości pełniemy nasze funkcje kapłańskie do końca, chociaż punkt ciężkości z czynnej posługi przesuwa się na funkcje tak niesłychanie ważne jak spowiedź, pomoc duszpasterska, modlitwa. Nie ukrywam, że w momencie, gdy odpadły obowiązki administracyjne, odczułem ogromną ulgę. Wiek też ma swoje prawa i dostrzegam, że młodszych stać na wiele więcej. Ja miałem sporo dodatkowych funkcji i dziękuję Bogu, że daje mi zdrowie, bo na brak pracy nie narzekam, jeszcze ciągle nadrabiam zaległości. Brat kierowca był uprzejmy zauważyć, że teraz przejechaliśmy więcej kilometrów niż wtedy, kiedy byłem ordynariuszem; pełnię posługę zarówno w diecezji jak i poza nią. Moją wielką miłością jest Biblia, zapotrzebowanie na nią jest ogromne, z radością wracam do tematów biblijnych i chętnie wspomagam duszpasterzy na miarę moich możliwości. Jako motyw dla ostatniego etapu mojego życia wybrałem słowa: *Misericordias Domini in aeternum cantabo* czyli *Miłosierdzie Boże będę wystawiał na wieki*. Tego nie muszę już zmieniać. Podobnie jak

Jan Paweł II, miłosierdzie postrzegam jako znak nadziei dla dzisiejszego, moralnie rozchwianego świata i dla mnie osobiście. Na początku mojej posługi kapłańskiej, ponad pięćdziesiąt lat temu napisałem: *In te Domine speravi*, czyli *Tobie Panie zawierzyłem*. Jestem człowiekiem zawierzenia i to czyni życie naprawdę bardzo pięknym. Mam tę świadomość, że stoję wobec największej i najważniejszej decyzji, która będzie wiążąca na całą wieczność. Ktoś pięknie zdefiniował życie jako zdolność wybierania pomiędzy różnymi możliwościami, które coraz bardziej się zacieśniają, aż w końcu zostaje jedna jedyna nieubłagana konieczność, której na imię śmierć. Albo jeden jedyny, prawdziwie wolny wybór ku pełni, ku wieczności. Życie jest dojrzewaniem ku takiej właśnie decyzji. Dobrze rozumiemy się z moim następcą, gdzie potrzeba tam go wspieram. Prosił, żebym nadal patronował zjazdowi gnieźnieńskiemu, jesteśmy w trakcie przygotowań do następnego zjazdu. Wiem, że pracy mi nie zabraknie. Mam też dużo do nadrobienia w zakresie modlitwy. Jest taka książeczka, którą wydał Watykan „Biskup na emeryturze”. Tam bardzo wyraźnie napisano, że punkt ciężkości przesuwa się na kontemplację, na życie modlitwy, ofiarę. W starszym wieku dochodzą też rozmaite, najczęściej zdrowotne dolegliwości. To jest normalny proces. Kiedy jednej dziennikarce powiedziałem, że mam dużo do nadrobienia w zakresie modlitwy, bo zawsze byłem bardzo zajęty, zapytała czy tak można.

No właśnie – można nadrobić zaległości w modlitwie?

Odpowiedziałem i odpowiadam, że tak trzeba, jak Pan Bóg daje czas, to tak trzeba, i błogosławię Pana Boga i dziękuję, że daje mi taką szansę. Ciągłe powtarzam: *Bogu dzięki, że nie ma w Kościele emerytury, każdy pracuje tak długo, jak Bóg i zdrowie jemu pozwalają*. Kiedy kapłan czy biskup nie może już czynnie sprawować swoich funkcji, pozostaje zawsze jeszcze to, co jest najważniejsze – budować Kościół Boży przez modlitwę i ofiarę cierpienia i dolegliwości, nieodłącznie związane z sędziwym wiekiem – jak pięknie mówił i czego doświadczał Jan Paweł II. Dziękuję Bogu, że doczekałem statusu seniora, a Pan mnie zachował.

A Kościół nadał tytuł Arcybiskupa Seniora.

Na tytuł seniora pracowałem najdłużej w całym moim życiu i dlatego bardzo go sobie cenię. Ale znowu patrzę na niego w perspektywie biblijnej,

gdzie istniała specjalna instytucja seniora, począwszy od czasów Starego Testamentu. Starzec – hebrajskie zaken, łacińskie presbyteros to była ongiś instytucja czcigodna i myślę, że dzisiejsze społeczeństwo nie docenia starszych, dlatego że jest społeczeństwem sukcesu. Starsi ludzie mają bardzo ważne zadania do spełnienia w każdym społeczeństwie. Gdzie się nie szanuje ludzi starszych, nie szanuje się prawdziwych wartości, na których budowane są trwałe cywilizacje. Takich wartości, które nie przemijają wraz z wiekiem. Szczególnym motywem wieku sędziwego jest wdzięczność. Wdzięczność to jest pamięć serca. Wdzięczny może być tylko człowiek, który pamięta, ile dobra zaznał w życiu. Teraz często przypominam sobie ludzi, których dane mi było spotkać w życiu, choćby moje kontakty z jednym i drugim papieżem, a także z najbardziej zwyczajnymi ludźmi, którym tak wiele zawdzięczam. Pamiętam kobietę, która sparaliżowana trzydzieści lat leżała na łóżku, a nigdy nie widziałem jej niezadowolonej czy biadającej. Kiedy się denerwuję, myśląc o niej czuję się zawstydzony. Przypominam sobie kapłana, który najpierw stracił jedną nogę, później drugą i gdy potężnego mężczyznę zobaczyłem na wózku, bez nóg, to nie mogłem powstrzymać łez. Zauważył to i kiedy myślałem, co ja temu człowiekowi powiem, żeby to nie zabrzmiało pusto, on wyciągnął do mnie ręce i powiedział: *Proszę księdza, mówią że potrzeba nóg do szczęścia. To nieprawda. Ja nie mam nóg a jestem szczęśliwy. Dlaczego? Bo żyję!*

Skoro mówimy o wdzięczności... Mieszkańcy Gniezna, wierni z terenu diecezji, niejednokrotnie okazywali Księdzu Arcybiskupowi swoją wdzięczność, przyznając różne tytuły i medale. Są wśród nich między innymi: honorowe obywatelstwo Gniezna, Gołańczy, Mogilna, Włocławka i także Kościerzyny; Medal Koronacyjny za zasługi dla grodu Lecha i jego mieszkańców, honorowy tytuł Gnieźnianin Roku 1995 – że przypomnę tylko niektóre.

Traktuję to jako wielki, niezasłużony dar. Takie wyróżnienia przynoszą wielką satysfakcję i przyjmuję je z ogromną radością. One także zobowiązują.

Wiele miast uznaje Księdza Arcybiskupa za swego honorowego obywatela. Obywatelem której ziemi czuje się Ksiądz Arcybiskup najbardziej?

Nigdy nie czyniłem tajemnicy z tego, skąd jestem, nie ukrywałem swego pochodzenia, Kaszuby to moja mała ojczyzna, z której wyrosłem i właściwie wszystko, co najważniejsze w moim życiu, świadomość własnej tożsamości, wiarę, system wartości, przynależność etniczną, wszystko przejąłem stamtąd. Zresztą przez długi czas, łącznie z seminarium, Kaszuby to była dla mnie cała Polska, bo innej nie znałem. Nigdy dla mnie nie było problemu opozycji tego, co kaszubskie wobec tego, co polskie, To, co kaszubskie, jest również polskie i w dużym stopniu odwrotnie – co polskie, jest również kaszubskie. Nie mogę jednak za profesorem Labudą powiedzieć, że śnię po kaszubsku, bo nie mówię po kaszubsku. U mnie w domu mówiono po polsku. Natomiast faktem jest, że w czasie okupacji, kiedy nie można było mówić, że jestem Polakiem, ratowaliśmy się i mówiliśmy: *Jestem Kaszubą* i stąd moja ustawiczna wdzięczność wobec Kaszubów i mój obowiązek, żeby być zgodnym samemu ze sobą. Dopiero jednak od księdza Bernarda Sychty, wielkiego kaszubologa, dowiedziałem się, że sprawy te są bardziej złożone, niż mogłem sobie wyobrazić. Istnieje także niemiecka wersja kaszubszczyzny.

Czy w spisie powszechnym Ksiądz Arcybiskup zaznaczy swoje kaszubskie pochodzenie i poda narodowość kaszubską?

Poczuwam się do pewnego wyznania wobec moich ziomków Kaszubów. Do niedawna nie miałem z tym żadnego problemu ani żadnych trudności. Obecnie jednak jest spis ludności i pojawił się problem deklaracji. Sprawy się skomplikowały, ponieważ najnowszy spis ludności pozwala deklarować narodowość kaszubską. Jednakże, ponieważ miałem zaszczyt przez krótki czas piastować godność prymasa Polski, byłbym nie w porządku, gdybym deklarował narodowość kaszubską. Jako były prymas Polski proszę o wyrozumiałość moich współziomków Kaszubów i wybaczenie, że podam: narodowość polska. Być może, papież Benedykt XVI miał podobny dylemat, gdy pojechał do Bawarii, gdzie bardzo skrupulatnie rozróżniają to, co niemieckie i co bawarskie. Papież wtedy powiedział: *Oczywiście, jestem Niemcem, ale moje serce bije po bawarsku*. Ja za papieżem powtórzę: *Jestem Polakiem, ale moje serce bije po kaszubsku*.

Wobec tego jakie obecnie ma Ksiądz Arcybiskup relacje z Gniezmem i jego mieszkańcami. Czy po prawie dwudziestu latach pobytu tutaj czuje się Ksiądz Arcybiskup związany z tym miastem?

Proszę wybaczyć moją zuchwałość: czuję się podwójnie Gnieźnianinem: honorowym i rzeczywistym. Święty Wojciech był moim patronem od najwcześniejszych lat. Prawie przez dwadzieścia lat miałem honor pasterzować w Archidiecezji, która Jemu zawdzięcza swoje powstanie. Tutaj jest z nami od samego początku w swoich śmiertelnych szczątkach czyli relikwiach. Trudno tego nie doceniać. Wzywam Go często we wszystkich ważniejszych sprawach, przez co moja pobożność i miłość do świętego Wojciecha bardzo się pogłębiła. Cieszę się pięknem Bazyliki Prymasowskiej, która mówi do mnie mocno i wyraźnie mową wieków. W międzyczasie nawiązałem także liczne osobiste kontakty z mieszkańcami Gniezna. Ogromną pomocą jest dla mnie świadomość, że jest to miejsce, gdzie jestem z woli samego Boga, którą odczytuję w decyzji Papieża.

Czy patrząc wstecz na swoje życie i dokonania, czuje się Ksiądz Arcybiskup człowiekiem spełnionym i szczęśliwym?

Człowiek odczuwa wraz z postępem wieku słabości – choćby słabnącą pamięć, ale w to miejsce dostrzegam syntezy, których wcześniej nigdy nie widziałem. Fakty i wydarzenia mi się łączą, gdy rozmyślam nad nimi w perspektywie światła Ewangelii, układają mi się one w bardzo harmonijny obraz, który w biblijnym rozumieniu nazywa się dziejami zbawienia. Patrząc z perspektywy wiary, widać tę złotą nić, która łączy wiele wydarzeń, faktów, które układają się w jakiś Boży, po ludzku niekoniecznie logiczny, ciąg. Logika Boża jest inna i drogi Boże są inne. Są jednak miejsca, gdzie krzyżuje się to, co Boże i to, co ludzkie. Ale to wymaga niejednokrotnie bardzo długiej drogi życiowej. Wszystko to odczuwam jako wielki dar i błogosławieństwo. Umieję cieszyć wieloma rzeczami, które były dla mnie bardzo zwyczajne, a może i niedostrzegalne – promieniem słońca, bielą śniegu, małym kwiatkiem a nawet listkiem. A jak jestem nad morzem, godzinami bym siedział i podziwiał lot mew i rybitw, zwłaszcza gdy krzyżują się prądy powietrzne, wtedy lecą bardzo wysoko i fruują bez poruszania skrzydłami i cieszą się lotem. Mały ptaszek frunie pod wiatr, którego ja nie mogę przemóc, albo lot mewy – samolot wobec niej jest nieudolną maszyną. Tego dawniej nie widziałem.

Patrząc z perspektywy swojej minionej funkcji, jaką wizję prymasostwa widzi Ksiądz Arcybiskup dla następców?

Ksiądz arcybiskup Józef Kowalczyk ma teraz bardzo ważną rolę do spełnienia. Kształtuje w rzeczywistości posoborowej nową wizję prymasa w kolegium biskupów. Wydaje mi się, że robi to z dużym zaangażowaniem i dużą determinacją. Ma przy tym taki autorytet, z którym trzeba się liczyć. Dostrzegam w tym Boży znak, który usiłuję odczytać.

Miał Ksiądz Arcybiskup bardzo urozmaicone życie, obfitujące w niespodziewane zwroty losu. Jaki wniosek wypływa z tego bogactwa doświadczeń, co jest najważniejsze w życiu?

Jako młody ksiądz byłem pokłócony z Panem Bogiem i w pewnym sensie z samym sobą. Miałem w głowie wiele formuł, norm, zasad, usiłowałem życie dostosować do tych formuł i nic mi się nie zgadzało. Dopiero z czasem, przez doświadczenie, zacząłem stawiać sobie pytania, co jest ważne, najważniejsze, konieczne. Powoli uczyłem się oceniać ludzi i wydarzenia i własne życie z perspektywy miłości, tak układała mi się – głównie dzięki Biblii – obiektywna, na ile można osądzić, hierarchia wartości, która stanowi bardzo mocny fundament mojego życia. Dostrzegam, że jest jedna busola wszystkiego, tą busolą, środkiem do celu, jest miłość.

Kiedyś fascynowałem się nazwami i tytułami Boga. Niektórzy mówią, że mużułmanie zamiast je wymawiać, mają swój różaniec, w którym wystarczy przesuwając koraliki, żeby wielbić wielkość i wspaniałość przymiotów Bożych. Dzisiaj formułuje mi się jedyna prawda o Bogu, której doświadczam każdego dnia od nowa. Deus semper maior. Bóg jest zawsze większy. Większy niż nasze oczekiwania, nadzieje, niż nasze możliwości. W tym wypadku nie myślę o funkcji arcybiskupa, tylko o tym, jak często byłem małoduszny i jak Pan Bóg mnie zaskakiwał. Nigdy nie myślałem, że będę żył w wolnym świecie – dziś przepraszam Pana Boga za swoją nieufność. Nigdy nie myślałem, że doczekam się Europy bez granic. Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że większość mojego biskupiego życia spędzę w Gnieźnie. Wydawało mi się, że droga naukowa nie jest dla mnie, a okazuje się że Biblia stała się wielką miłością mojego życia, chociaż w innym wymiarze, niż tego oczekiwałem. Dzisiaj robię rachunek sumienia, podsumowuję i dziękuję Panu Bogu za to wszystko, co dał mi przeżyć w moim życiu. Deus semper maior.



Kościerzyna, 1934 rok.



Janina i Henryk, 1938 rok.

W Liceum Ogólnokształcącym im. Józefa Wybickiego w Kościerzynie,
1949 rok. Henryk Muszyński siedzi w środku pierwszego rzędu.





Z rodziną przed
wstąpieniem
do seminarium,
w maju 1951 roku.

Kleryk Henryk
Muszyński, lata
pięćdziesiąte
XX wieku.





Koledzy z jednej ławy w seminarium.



W seminarium, podczas przedstawienia „Pana Tadeusza”.

Seminaryjna
orkiestra podczas
„andrzejek”. Henryk
Muszyński stoi
pierwszy z prawej
w drugim rzędzie.





Z rodziną podczas święceń kapłańskich.

Z wykładowcami i kolegami w dniu święceń kapłańskich.



Na pierwszym
motocyklu
w 1958 roku.



Gdynia Leszczynki. W środku siedzi ks. Józef Rotta, obok wikariusze
– z lewej ks. H. Muszyński, z prawej ks. Feliks Miszewski.





Z najbliższą rodziną przed
wyjazdem na studia do Rzymu.

Podczas soboru w 1963 roku,
biskupi wracają z uroczystości
w bazylice św. Piotra. W środku
bp K. J. Kowalski, z prawej
ks. H. Muszyński.





Nad Jordanem, w miejscu chrztu Chrystusa, 1966 rok.



Palestyna, 1966 rok.

Palestyna, napis na odwrocie zdjęcia: Dziwi się stara oślica, skąd ta nagła przyjaźń...







Na sąsiedniej stronie:
Rzym, 1970 rok.

Od lewej: siostra Janina Aleksandrowicz, jej córka Katarzyna,
matka Maria, ks. H. Muszyński. Kościerzyna 1982 rok.

Z ks. Januszem Pasierbem (pierwszy z lewej) i ks. inf. Antonim Lidtke.





Na sąsiedniej stronie:
Przyjęcie sakry biskupiej
w katedrze w Pelplinie,
błogosławi bp Marian
Przykucki.

Bp Bogdan Wojtuś wita
nowego metropolitę
w Gnieźnie 3 kwietnia
1992 roku.

Ingres do katedry
z kościoła św. Michała
w płaszczu kardynalskim,
3 kwietnia 1992 roku.





Z Janem Pawłem II na balkonie rezydencji arcybiskupów, 3 czerwca 1997 roku.

Msza święta na placu św. Wojciecha, 3 czerwca 1997 roku.





Z Janem Pawłem II.



Przy tumbie
św. Wojciecha
w katedrze
gnieźnieńskiej.



Złożenie relikwii
 św. Wojciecha
 do odtworzonego
 relikwiarza, rok 1998.
 Od prawej: bp S. Gądecki,
 abp H. Muszyński,
 bp B. Wojtuś,
 Bogdan Trepieński,
 prezydent Gniezna.



Replika relikwiarza głowy
 powstała z fundacji kapłanów
 Archidiecezji Gnieźnieńskiej.



Spotkanie premierów w Gnieźnie, 28 kwietnia 2000 roku.

Podczas Spotkania Młodych na Lednicy.





Na plaży w Kołobrzegu, 2004 rok.

Wizytacja kanoniczna w Skokach.





Wierni z Bydgoszczy w kaplicy rezydencji arcybiskupiej, 2005 rok.

Uroczystość Niedzieli Palmowej w Gnieźnie, 2006 rok.





Rozmowa z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim.

Z Donaldem Tuskiem i Pawłem Arndtem, 2005 rok.





Konferencja prasowa podczas Zjazdu Gnieźnieńskiego.

Powitanie prof. Władysława Bartoszewskiego na Zjeździe Gnieźnieńskim.





Delegacja z Gniezna w Rzymie z ikoną św. Wojciecha.

Obchody jubileuszu 50-lecia kapłaństwa.





Podczas VII Zjazdu Gnieźnieńskiego z prezydentem Lechem Kaczyńskim i kardynałem Tarcisio Bertone, sekretarzem stanu Stolicy Apostolskiej.

Odświeżenie pomnika papieskiego na placu św. Wojciecha, 31 maja 2009 roku.





Podczas pielgrzymki młodzieży w sanktuarium
Matki Bożej w Łakiczynie na Białorusi, 2009 r.

W katedrze po koncercie Ireny Santor.





Do Czcignego Brata
Jego Ekscelencji Henryka Józefa Muszyńskiego
Arcybiskupa Gnieźnieńskiego
i Prymasa Polski

W dniu 1 listopada 2006 roku, w liście skierowanym do Kardynała Józefa Glempa, na zakończenie jego posługi Arcybiskupa Warszawy, postanowiłem, że gdy ukończy 80. rok życia, tytuł Prymasa Polski zostanie przywrócony Arcybiskupowi Gniezna, z motywów historycznych i prawnych, które dotyczą tej stolicy.

Była ona pierwszą polską stolicą metropolitalną i tu czczone są relikwie św. Wojciecha, Biskupa i Męczennika, pierwszego Patrona Polski, które są jednym z największych skarbów Narodu polskiego, a których „kustoszem” tradycyjnie jest Arcybiskup Gnieźnieński.

Dlatego 19 grudnia br. Wasza Ekscelencja obejmie tytuł Prymasa Polski, który od tej pory znów będzie związany z tytułem Arcybiskupa Gnieźnieńskiego *durante munere*.

Honorowy tytuł Prymasa Polski, z kompetencjami określonymi w Statutach Konferencji Episkopatu Polski, cieszy się wielkim szacunkiem i znaczeniem w polskim Narodzie i jest znakiem jedności polskich katolików.

Przyzywając wstawiennictwa Patrona św. Wojciecha i bł. Radzyna Gaudentego, pierwszego Arcybiskupa Gnieźnieńskiego, z serca udzielam Waszej Ekscelencji, Archidiecezji Gnieźnieńskiej i całemu umiłowanemu Narodowi polskiemu Apostolskiego Błogosławieństwa.

W Watykanie, 8 grudnia 2009 r.



Benedictus XVI

List papieża Benedykta XVI
zapowiadający
przywrócenie tytułu
prymasa Polski metropolicie
gnieźnieńskiemu.



Znaczek i karta pocztowa wydane z okazji ingresu prymasowskiego.

Podczas ingresu prymasa H. Muszyńskiego w katedrze gnieźnieńskiej.





Poświęcenie nowej siedziby
Państwowej Straży Pożarnej
w Gnieźnie.

Podczas spotkania
prezydenta Lecha
Kaczyńskiego
z gnieźnianami
przy pomniku
Bolesława Chrobrego.





Z prezydentem Lechem Kaczyńskim na otwarciu wystawy „Stolica Prymasów” w Muzeum Początków Państwa Polskiego.

Uroczystości odpustowe ku czci św. Wojciecha, 2010 rok.





Abp H. Muszyński prowadzi do katedry abp. Celestino Migliore, nowego nuncjusza apostolskiego i abp. Józefa Kowalczyka, nowego prymasa Polski.

Wręczenie pamiątkowej plakiety przez członków Zarządu Towarzystwa Miłośników Gniezna.





Podczas IV Zjazdu Gnieźnieńskiego po raz pierwszy została odprawiona Ekumeniczna Droga Krzyżowa z udziałem przedstawicieli ośmiu Kościołów chrześcijańskich.





Uroczystość 25-lecia
sakry biskupiej w katedrze
gnieźnieńskiej,
25 marca 2010 r.





Trzej prymasi w procesji świętowojskiej w 2011 roku – od lewej abp H. Muszyński, kardynał J. Glemp, kardynał S. Dziwisz, abp Józef Kowalczyk, abp S. Gądecki.

Spotkanie z prof. Zbigniewem Brzezińskim w Ambasadzie Niemieckiej w Waszyngtonie, 2011 rok. W środku Małgorzata Izdebska.





Na następnej stronie:
Z siostrą Janiną,
w Gnieźnie 2011 rok.

W Świnoujściu
na ORP Gniezno.

Spotkanie z rodziną.







**Powiat
Gniezno**

Królewska Tradycja



Arcybiskup Henryk Józef Muszyński

Urodził się 20 marca 1933 roku w Kościerzynie. Wyświęcony w 1957 roku jako kapłan diecezji chełmińskiej (dziś pelplińskiej). Profesor teologii i doktor nauk biblijnych. Studiował Pismo Święte w Jerozolimie, Rzymie i Heidelbergu. Profesor Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie (obecnie Uniwersytet Stefana kardynała Wyszyńskiego). Dziekan Wydziału Teologicznego tej uczelni. W roku 1985 mianowany biskupem pomocniczym diecezji chełmińskiej.

W latach 1987 do 1992 biskup diecezjalny we Włocławku. Od 1992 roku arcybiskup gnieźnieński. Był wiceprzewodniczącym Konferencji Episkopatu Polski, przewodniczącym Komisji Episkopatu Polski do Dialogu z Judaizmem, Komisji Nauki Wiary Episkopatu Polski i Komitetu Krajowego Obchodów Wielkiego Jubileuszu roku 2000, członkiem Rady Stałej Episkopatu Polski i delegatem KEP przy ComEce (Radzie Biskupów Unii Europejskiej), Kongregacji Nauki Wiary, Papieskiej Rady Popierania Jedności Chrześcijan, Rady Synodu Biskupów. Inicjator i gospodarz zjazdów gnieźnieńskich, autor licznych prac naukowych. Prymas Polski od 2009 do 2010 roku.